

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/621

1999



• « La Culture » • Revue mensuelle •

A. HRYNKIEWICZ: PROBLEMY POLSKIEJ NAUKI

**A. KORASZEWSKI: MIĘDZY ZAMOŻNOŚCIĄ
I BIEDĄ**

**M. MATYJA: INTEGRACJA EUROPEJSKA
KRAJÓW ŚRODKOWOEUROPEJSKICH**

**T. TORAŃSKA: ROZMOWA Z MINISTREM
ANDRZEJEM ZAKRZEWSKIM**

SPIS RZECZY

Andrzej Hrynkiewicz:	<i>Problemy polskiej wsi</i>	3
Andrzej Koraszewski:	<i>Między zamożnością i biedą</i>	19
Magdalena Rostron:	<i>Uwagi o terroryzmie i fundamenta-</i> <i>lizmie islamskim</i>	31
Stefan Abner:	<i>Trzy kryzysy</i>	46
WIERSZE		
Tadeusz Chabrowski:	<i>Tatarak</i>	56
Wojciech Kawiński:	<i>Mały pastisz z aluzjami – 35 lat te-</i> <i>mu</i>	56
Kowal:	<i>Marcowe tłumaczenie powstania</i> <i>warszawskiego w Kanadzie w</i> <i>1999 roku</i>	58
Irving Layton:	<i>Dla 7515 – 0326 (tłum. Kowal)</i> ..	60
Tadeusz Tutak:	<i>Murawy Dobromierskie – Wielka</i> <i>Sowa</i>	61
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Mirosław Matyja:	<i>Integracja europejska krajów śród-</i> <i>kowoeuropejskich</i>	62
WYWIADY „KULTURY”		
Teresa Torańska:	<i>Rozmowa z Andrzejem Zakrzewskim,</i> <i>ministrem kultury i sztuki</i>	75
Remigiusz Grzela:	<i>Dresy Wokulskiego. (Rozmowa ze</i> <i>Stefanem Chwinem)</i>	87
KRAJ		
Andrzej Micewski:	<i>Postkomunizm</i>	94
Krzysztof Wolicki:	<i>Coraz ciekawiej...</i>	98
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	105
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	125
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadcuk:	<i>Między Warszawą, Wołyniem i</i> <i>Lwowem</i>	134
CI, CO ODESZLI		
Leszek Szaruga:	<i>Odpowiedzialność</i>	141
Teresa Siedlar Kotyżsko:	<i>Jerzy Szwede</i>	143
NOTATKI REDAKTORA		
145		

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec/Juin 1999

INSTYTUT



LITERACKI

KULTURA

Żakice • Opowiadania • Sprawozdania

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Maria Andrzejczek, Dianella, WA (Australia) – na potrzeby Kultury dla uczczenia pamięci mego męża Tadeusza w dwunastą rocznicę Jego zgonu	F. 1.515,00
Caroline i Mikołaj Barakońscy, Sherman Oaks (USA) – dol. 31,00	F. 186,00
Alicja Carls, Jackson, TN (USA) – po raz 4-ty	F. 400,00
Dla uczczenia pamięci naszego Przyjaciela Stefana Strelcyńskiego, w 18-tą rocznicę Jego śmierci – Kamila Halpern-Chylińska, Kolonia (Niemcy)	F. 400,00
Maria i Jacek Kryt, Toronto, ON (Kanada) – dla uczczenia pamięci śp. Marii Rostockiej, zmarłej 6 kwietnia 1999 w Kentville, NS (Kanada) – dol. can. 500,00	F. 2.000,00
Zbigniew Okołowicz, Borrego Springs, CA (USA) – po raz 12-ty – dol. 76,00	F. 456,00
Zamiast kwiatów na grób Adama Offmańskiego, zmarłego w kwietniu 1999 w Rueil-Malmaison, W. Raczynski, Charente (Francja)	F. 500,00
Zamiast kwiatów na grób Ireny Szymańskiej-Matuszewskiej od rodziny Stauber z Frankfurtu i Paryża	F. 300,00

DZIĘKUJEMY

LITERACKI



INSTYTUT

Problemy polskiej nauki

Ostatnio w środkach masowej informacji pojawiło się wiele kasandrycznych wypowiedzi na temat sytuacji finansowej polskiej nauki. Przedstawiciele różnych kierunków badań naukowych mówią i piszą o zapaści nauki w Polsce, o jej katastrofalnej kondycji. Pojawiają się dosadne wyrażenia, jak na przykład wypowiedzi o mordowaniu polskiej nauki przez ministra finansów. Powstał Komitet Ratowania Nauki Polskiej, który skierował apel do społeczeństwa podpisany przez grono wybitnych polskich uczonych.

Rzeczywiście, nakłady finansowe na naukę spadają z roku na rok: z 0,76% produktu krajowego brutto (PKB) w 1991 r. do 0,48% w 1998 r. Nauka została najgorzej potraktowana przez rząd J.K. Bieleckiego. Ratuując latem 1991 r. budżet przez jego nowelizację, rząd obniżył skromne nakłady na naukę o 37% (!) z 0,76% do 0,48% PKB. Kolejne rządy nieznacznie zwiększyły środki na naukę, lecz ten wzrost był stale mniejszy niż wskaźnik inflacji. Rząd broni się twierdząc że wobec wzrostu dochodu narodowego, zmniejszenie udziału nauki w PKB zachowuje realne finansowanie na tym samym poziomie, a nawet rośnie. Nie jest to prawda. Łatwo obliczyć, że skumulowany wskaźnik inflacji wyniósł w latach 1991-1998 850%. Wobec tego rzeczywiste nakłady na naukę zmalały od 1991 r. prawie dwukrotnie. Naprawdę spadek nakładów był jeszcze większy, gdyż zapomina się o tym, że na początku lat 90-tych polska nauka otrzymała duży zastrzyk finansowy przez rozdysponowanie tzw. Centralnego Funduszu Rozwoju Nauki i Techniki. Fundusz ten został zgromadzony w poprzednich latach przez wpłaty na rzecz nauki

1,2% wartości sprzedanej przez wielkie przedsiębiorstwa państwowe. Była to niebagatelna kwota, która nie tylko pozwoliła zasilić placówki naukowe, ale także utworzyć Fundację na Rzecz Nauki Polskiej, która wspomaga wybrane kierunki oraz przyznaje stypendia i nagrody naukowe.

Porównanie finansowania nauki w Polsce i w rozwiniętych krajach świata pokazuje, że jest ono żenująco niskie w stosunku do potrzeb i roli jaką nauka odgrywa w kulturalnym i gospodarczym rozwoju nowoczesnego państwa. Mimo, że w latach 1985-1990 nakłady na działalność badawczo-rozwojową w dochodzie podzielonym kształtowały się na poziomie 1,7-1,9%, to sposób ich wykorzystania nie był racjonalny. Pieniądze przeznaczone na naukę były wydatkowane na budowę i uruchamianie pilotażowych urzędów przemysłowych oraz na finansowanie działalności placówek, które z nauką nie miały nic lub bardzo mało wspólnego. O rozdziale środków na naukę decydowali urzędnicy hołdujący zasadzie prymitywnego praktycyzmu. Doprowadziło to do wielu wynaturzeń, m.in. w relacji między badaniami podstawowymi i stosowanymi. Wynikały one przede wszystkim z błędnego rozumienia znaczenia i roli badań podstawowych oraz z fetyszyzowania tzw. badań rozwojowych i wdrożeń. Tymczasem zainteresowanie wynikami badań ze strony gospodarki miało przeważnie charakter pozorny. W warunkach niewymienialności złotego i braku dopływu kapitału zagranicznego w postaci inwestycji opartych na nowoczesnych technologiach, często bardziej opłacało się prowadzenie badań stosowanych w kraju i utrzymywanie specjalnie w tym celu tworzonych placówek, niż transfer technologii przez zakup licencji. Zajmowano się przez lata problemami, które gdzie indziej zostały dawno rozwiązane. Była to chlubna działalność antyimportowa, uzasadniająca prowadzenie tzw. prac badawczo-rozwojowych, polegających na naśladownictwie i kopiowaniu opracowań zagranicznych, a wymagająca dużych zespołów pracowników i budowy kosztownej aparatury. Pisałem o tych sprawach w artykułach, do których odsyłam zainteresowanych czytelników [np. *Nauka Polska* Nr 1 (1993) s. 12].

Uważam, że utworzenie w 1991 r. Komitetu Badań Naukowych usunęło znaczną część niedomagań organizacyjnych polskiej nauki i uporządkowało sposób jej finansowania.

Byłem naocznym świadkiem narodzin i dojrzewania KBN. W styczniu 1990 r. zostałem powołany przez Premiera Tadeusza Mazowieckiego do Komitetu d/s Nauki i Postępu Technicznego przy Radzie Ministrów, który był kontynuatorem Komitetu Nauki i Techniki, a równocześnie prekursorem Komitetu Badań Naukowych, gdyż przygotowywał ustawę o nowym Komitecie. W 1991 r. zostałem wybrany do KBN i brałem udział w kształtowaniu jego postaci w czasie pierwszej i drugiej kadencji. Jestem zdania, czego ostatnio dałem wyraz w wywiadzie dla *Forum Akademickiego*, że „nauka odżyła pod władzą KBN“. Nie znaczy to, że nie widzę pewnych wynaturzeń w działaniu Komitetu, a także niespełnienia szeregu pokładanych w nim nadziei.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że KBN był bardzo potrzebną instytucją w czasie transformacji nauki i edukacji w Polsce. Dzięki temu, że w jego skład weszli uczeni wybrani przez różne środowiska naukowe, wydatkowanie pieniędzy na naukę stało się o wiele bardziej rozsądne niż poprzednio. Wprowadzone zostały różne strumienie przedmiotowego finansowania projektów badań i zespołów je zgłaszających. Pojawiły się racjonalne metody przyznawania środków na inwestycje i współpracę międzynarodową. Zabrakło jednak wytypowania konkretnych, dalekosiężnych programów badawczych w dziedzinach ważnych dla gospodarki. Zabrakło pomysłów i stanowczości w forsowaniu nowych i nowelizacji starych rozwiązań legislacyjnych w sferze nauki. KBN wprowadził rozsądne zasady wykorzystania środków budżetowych przyznawanych nauce, nie potrafił jednak wywalczyć wzrostu tych środków, a w sytuacji braku funduszy wyszły na jaw wszystkie mankamenty ich sprawiedliwego rozdziału.

Transformacja w nauce i edukacji

Polska nauka odziedziczyła po minionym okresie, jak często nazywa się czasy realnego socjalizmu, podział na trzy piony: szkolnictwo wyższe i jego placówki naukowe, instytuty i zakłady Polskiej Akademii Nauk i jednostki badawczo-rozwojowe nadzorowane przez różne resorty. Ten stan rzeczy już dawno powinien być zmieniony. Powinna powstać jednolita

ustawa o nauce i edukacji w Polsce. O tym jak trudno jest stworzyć taką ustawę i zreformować zastane struktury może świadczyć następujące opowiadanie.

W 1993 r. wicepremier Paweł Łączkowski utworzył, pod kierunkiem ministra edukacji narodowej profesora Zbysława Flisowskiego, Komisję d/s Transformacji w Nauce i Edukacji. Przewodniczący KBN, profesor W. Karczewski, delegował mnie do tej Komisji jako przedstawiciela Komitetu. Przygotowując się do pracy w Komisji zapoznałem się z projektami zmian, które pojawiły się wcześniej. Okazało się, że nasza Komisja jest 17-tym zespołem zajmującym się przekształceniami w nauce i edukacji. Zorientowałem się, że prawie każdy projekt spotykał się ze sprzeciwem grup, które obawiały się iż zgrozi on ich interesom. Na pierwszym posiedzeniu kilkudziesięcioosobowej Komisji, w której brali udział przedstawiciele trzech pionów nauki oraz resortów związanych z nauką lub edukacją, można było się przekonać, że uzgodnienie poglądów będzie sprawą trudną, jeśli nie wręcz niemożliwą. Napisałem do ministra Flisowskiego list z propozycją zadania członkom Komisji „wypracowania domowego” na temat jak sobie wyobrażają jednolity system nauki i edukacji, nie obecnie, ale w perspektywie 10-15 lat. Dzięki temu będą mogli zaproponować wizję oderwaną od bieżących, partykularnych interesów. Niestety, zmiana rządu spowodowała, że 17-ta Komisja po dwóch posiedzeniach przestała istnieć, podziеляjąc los swoich poprzedniczek.

Uważam, że pion jednostek badawczo-rozwojowych (JBR) powinien zostać zlikwidowany, ku czemu zresztą zmierzają przedstawiony ostatnio przez KBN projekt przekształceń własnościowych JBR. Powinny pozostać dwa piony: Szkolnictwa Wyższego i Krajowych Instytutów Naukowych. Szkoły wyższe powinny być podporządkowane w zasadzie Ministerstwu Edukacji Narodowej. Sieć Krajowych Instytutów Naukowych, z których nieliczne, spełniające odpowiednie warunki, mogą mieć rangę Instytutów Państwowych, powinna objąć dotychczasowe placówki Polskiej Akademii Nauk oraz te JBR, w których rzeczywiście prowadzona jest działalność naukowa. Pozostałe, jeżeli w ogóle są potrzebne, powinny stać się ośrodkami wdrożeniowymi poszczególnych resortów gospodarczych i być finansowane przez te resorty. Krajowe

Instytuty Naukowe powinny być nadzorowane przez Polską Akademię Nauk, a ściślej mówiąc, przez jej wydziały, w których komitety dyscyplinowe mogą odgrywać rolę doradczą. Będzie to podobne do pionu CNRS w nauce francuskiej, z tym, że zależność od zmian politycznych będzie mniejsza.

W jednolitej ustawie o polskiej nauce i edukacji powinny zniknąć sprzeczności i nonsensy charakteryzujące obecne ustawy o szkolnictwie wyższym, o Polskiej Akademii Nauk i o jednostkach badawczo-rozwojowych. Ustawa powinna m.in. ujednoczyć stopnie, tytuły i stanowiska naukowe, a także wprowadzić możliwość przepływu kadry między oboma pionami nauki. W szczególności musi zniknąć nonsens jakim jest rzucający się w oczy brak stanowiska docenta w szkołach wyższych. Jest to przecież, jak sama nazwa wskazuje, stanowisko nauczyciela akademickiego. Tymczasem, stanowisko to jest nadal zachowane w placówkach PAN i w JBR-ach. Wiele nieporozumień wywołało utworzenie w uczelniach stanowisk profesorów nadzwyczajnych i zwyczajnych, których z kolei nie ma w PAN i JBR-ach. Pojawili się profesorowie „przedni“, którymi są profesorowie tytularni, o czym informuje tytuł prof. przez nazwiskiem, i profesorowie „tylni“, o których informuje zapis za nazwiskiem w postaci np. „Profesor nadzwyczajny Uniwersytetu X”. Powszechne niestosowanie się do tej zasady jest źródłem bałaganu i nieporozumień. Stanowisko docenta powinno zastąpić profesora nadzwyczajnego, a profesorami mianowanymi powinni być profesorowie tytularni.

Badania podstawowe i stosowane

Często wyrażany jest pogląd, że podział działalności naukowej na badania podstawowe i stosowane godzi w jedność nauki. Jako argument przytaczane są przykłady placówek naukowych lub poszczególnych uczonych zajmujących się obu rodzajami badań. Podkreśla się związek badań stosowanych z podstawowymi i wymienia wspólne metody i urządzenia badawcze. Te argumenty mnie nie przekonują. Podział na badania podstawowe i stosowane jest w pełni uzasadniony, przede wszystkim ze względu na ich inne cele, z czego

wynikają: inna organizacja badań, inny sposób finansowania, różna rola współpracy międzynarodowej i odmienne kryteria oceny wyników. Mój pogląd na różne aspekty obu rodzajów badań przedstawiłem w kilku artykułach. Mimo to, często wyrażałem opinię, że podział KBN na dwie Komisje: Badań Podstawowych i Badań Stosowanych, jest szkodliwy. Utrudnia on porozumienie i współpracę między przedstawicielami obu zakresów działalności naukowej. Jest konfliktogenny, gdyż wywołuje rywalizację przy ubieganiu się o środki finansowe i prowadzi do odmiennych zasad postępowania np. przy ocenie projektów badań własnych (grantów). Uważam, że wobec różnych celów badań podstawowych i stosowanych, granty powinny w zasadzie dotyczyć badań podstawowych, natomiast domeną badań stosowanych powinny być projekty celowe i badania zamawiane.

Niestety, w zakresie finansowania badań stosowanych nasuwa się najwięcej zarzutów pod adresem KBN. Wprowadzenie w 1991 r., na podstawie ustawy o utworzeniu KBN, finansowania „projektów celowych” wydawało się godne poparcia. Polega ono na finansowaniu przez KBN prac badawczo-rozwojowych, stanowiących część przedsięwzięcia wdrożeniowo-inwestycyjnego. Dofinansowanie przez KBN obejmuje prace badawczo-rozwojowe niezbędne do realizacji projektu celowego i wynosi 50% zaplanowanych kosztów. Bardzo mało wiadomo o wdrożeniach, które nastąpiły w wyniku realizacji projektów celowych. W odpowiedzi na zapytania w tej sprawie słyży się o przykładach projektów zakończonych sukcesem, brak jednak bliższych informacji o dochodach jakie przyniosły te wdrożenia. Są to zresztą dochody zasilające budżet państwa (w formie podatków), a nie fundusze nauki.

W 1996 r. Sejm przyjął ustawę o utworzeniu Agencji Techniki i Technologii. Miałem nadzieję, że utworzenie Agencji pozwoli rozwiązać problem etapu inwestycyjno-wdrożeniowego projektów badań stosowanych. Do zadań Agencji należy, zgodnie z ustawą, promowanie i wspomaganie wdrażania innowacyjnych technik i technologii oraz komercjalizacja wyników badań. Spodziewałem się, że Agencja, w ścisłej współpracy z Komitetem Badań Naukowych, zadba m.in. o to, aby etap inwestycyjno-wdrożeniowy, do którego przeprowadzenia zobowiązali się wnioskodawcy i wykonawcy

projektów celowych, został zrealizowany, żeby wielkie środki finansowe wniesione przez KBN na badania rozwojowe nie zostały zmarnowane przez to, iż opłacane przez KBN prace nie dały żadnych wymiernych korzyści dla gospodarki państwa. Obawiam się, że działalność Agencji Techniki i Technologii nie idzie w oczekiwanym przeze mnie kierunku, a jej kontakt z KBN ogranicza się do uczestnictwa przedstawiciela przewodniczącego KBN w wielosobowej Radzie Agencji.

Odrębnym zagadnieniem jest dofinansowanie przez KBN projektów celowych, związanych z obronnością państwa. W latach 1992-1996 na sfinansowanie takich badań zużyto 45% środków przeznaczonych na dofinansowanie wszystkich projektów celowych. Warto przy tym zaznaczyć, że w większości krajów świata ministerstwa obrony przeznaczają duże środki na finansowanie różnych dziedzin badań, podczas gdy w Polsce badania związane z obronnością są finansowane ze szczupłych środków na naukę, którymi rozporządza KBN. Ciekaw jestem jak te sprawy będą uregulowane w związku z przystąpieniem Polski do NATO.

Zastrzeżenia może także budzić realizacja „badań zamawianych” przez kierowników naczelnych lub centralnych organów administracji państwowej lub wojewodów. Projekty są zatwierdzane przez specjalny zespół opiniodawczo-doradczy KBN, a wyniki badań powinny być wykorzystane w praktyce. W 1996 r. jednym z najkosztowniejszych projektów badań zamawianych była „Analiza i ocena średniookresowej strategii finansowej” zamówiona przez ministra finansów. Z tytułu wynika, że projekt ma tak ogólny charakter, iż powinna być przeprowadzona kompetentna analiza przydatności sporządzonego opracowania. Powstaje pytanie, czy zafundowany przez KBN kosztowny prezent ma dla ministra finansów wartość i czy jest we właściwy sposób wykorzystany.

Strategiczne kierunki badań

W dziedzinie badań podstawowych tworzenie jakichkolwiek programów strategicznych czy formułowanie tematów zamawianych przez kierowników organów administracji państwowej lub wojewodów jest pozbawione sensu. Byłoby to

działanie sprzeczne z duchem tych badań, które muszą się rozwijać na zasadzie swobodnej konkurencji w skali światowej, przy pełnej jawności wyników. Są one przedstawiane na konferencjach lub publikowane w czasopismach o międzynarodowym zasięgu. Nikt nie mógłby sobie pozwolić na dublowanie kosztownych eksperymentów. Wielkie urządzenia i przedsięwzięcia badawcze powstają w wyniku współpracy międzynarodowej. Biorą w niej udział ekipy uczonych z wielu krajów. Udział Polski w organizacjach międzynarodowych i członkostwo w międzynarodowych instytutach stwarza możliwość uczestniczenia w najbardziej nowatorskich programach naukowych i korzystania z urządzeń badawczych, których nie jesteśmy w stanie budować w kraju. Międzynarodowa współpraca w dziedzinie badań podstawowych odgrywa wielką rolę w tworzeniu wzajemnego zrozumienia i poszanowania. Uczni przyczyniają się do odprężenia w stosunkach międzynarodowych i torują drogę innym kontaktom.

Wiadomo jednak, że nawet bogate kraje nie mogą finansować wszystkich kierunków badań. W Polsce musimy dokonać rozsądnego wyboru, opartego na kompetentnej analizie obecnego stanu. Musi o tym decydować rozwój polskiej nauki. Osiągnięcia polskich uczonych określają priorytetowe obszary badań, obejmujące takie kierunki, w których nauka polska wnosi znaczący wkład do nauki światowej lub takie, w których Polacy mają szansę rozwinięcia badań na poziomie światowym. W przypadku nauk humanistycznych preferowane muszą być te badania, które mają szczególne znaczenie dla społecznego i kulturalnego rozwoju kraju. W czasie kryzysu, w sytuacji drastycznego ograniczenia środków na naukę w budżecie państwa, trzeba zapewnić przetrwanie przede wszystkim tym priorytetowym obszarom badań, umożliwiając przeżycie i warunki pracy najlepszym zespołom badawczym.

Inna powinna być strategia państwa w odniesieniu do badań stosowanych. W ich przypadku pełna jawność procesu badawczego, a nawet wyników badań, jest niemożliwa. Dokonywane wynalazki są przedmiotem patentów, a to stwarza bariery przedwczesnej wymianie informacji. Taka sytuacja nie może jednak prowadzić do podejmowania prac rozwojowych we wszystkich ważnych kierunkach badań stosowanych. Nawyk myślenia „my sami” nie może być podstawą działania.

W minionym okresie tańsze było, ze względu na ograniczenie wydatków dewizowych, tworzenie zespołów naukowych, a nawet instytutów, zamiast korzystania z gotowych rozwiązań i kupowania licencji. Dziś złoty jest wymierny i stał się możliwy poprawny rachunek ekonomiczny. Jeżeli transfer zagranicznych technologii okaże się tańszy nie powinniśmy „wymyślać prochu” ale z tego transferu korzystać. Aby przy tym uniknąć trwałego uzależnienia technologicznego, muszą być prowadzone w kraju studia postlicencyjne, które umożliwią udoskonalenie przyjętych technologii i zapewnią posiadanie kadry specjalistów gotowych podjąć badania w przypadku pojawienia się nowych idei w danej dziedzinie zastosowań. Polskie JBR-y mają nikłe szanse konkurowania ze świetnie wyposażonymi laboratoriami badawczymi wielkich koncernów przemysłowych. Nasi specjaliści powinni w takich laboratoriach znajdować zatrudnienie i sprzedawać swoje pomysły, a nie gotowe wyroby. Wielkie firmy przejmujące sprywatyzowane przedsiębiorstwa i inwestujące w Polsce powinny korzystać z polskich pracowników naukowych i zatrudniać ich w tworzonych w Polsce laboratoriach przemysłowych, co powinno wynikać z podjętych zobowiązań.

Programy strategiczne badań stosowanych powinny dotyczyć dziedzin, w których Polska może sprostać konkurencji światowej. Przykładem może być przemysł farmaceutyczny lub kosmetyczny. Inne programy strategiczne badań stosowanych, które powinny być w Polsce rozwijane, to programy o znaczeniu regionalnym: poszukiwanie i wydobywanie surowców, gospodarka wodna, nowe proekologiczne technologie zwłaszcza z zakresu pozyskiwania energii. Powinny to być również programy z dziedziny rolnictwa, otrzymywania nowych ras zwierząt hodowlanych i nowych gatunków roślin uprawnych, produkcji proekologicznych nawozów sztucznych i środków ochrony roślin. Powinny zostać utworzone strategiczne programy ważne ze względów społecznych. Na przykład w dziedzinie medycyny – programy walki z chorobami nowotworowymi, chorobami układu krążenia, a także program zwalczania narkomanii. Niestety Komitet Badań Naukowych nie zajął się w szerokim zakresie zaproponowaniem i utworzeniem strategicznych programów rządowych.

Przytoczone przykłady pokazują, że KBN nie jest

właściwym ciałem dzielącym fundusze na badania stosowane. Przy braku obiektywnych kryteriów przydatności badań, partykularne interesy w gronie uczonych tworzących KBN utrudniają racjonalny rozdział środków.

Wstydlivy temat – wynagrodzenia pracowników naukowych

Niezależnie od tego jakie algorytmy dla obliczania finansowania działalności statutowej jednostek naukowych wymyśla i jeszcze wymyśli KBN, dla mnie jest oczywiste, że wydatki każdej placówki składają się z trzech składników: kosztów utrzymania placówki, wynagrodzeń pracowników i działalności naukowej. Proporcje tych trzech składników zależą od charakteru placówki. Każdy racjonalny przydział funduszy na działalność placówki musi się z tym liczyć, i chociaż wprowadzenie obliczeń do jednego parametru może się wydawać kuszącym uproszczeniem, to na pewno nie doprowadzi do ustalenia właściwych proporcji między placówkami, nawet zajmującymi się tym samym kierunkiem badań. Czy tym parametrem będzie liczba pracowników od stopnia doktora wzwyż, czy liczba publikacji lub ich cytowań, czy powierzchnia zajmowanych pomieszczeń, czy też liczba zainstalowanych aparatów telefonicznych, nie osiągniemy powszechnie akceptowanego rozdziału finansowania. O ile kategoryzacja placówek naukowych może być oparta na jednym parametrze, jakim jest suma ocen punktowych osiągnięć placówki podzielona przez liczbę pracowników uczestniczących w badaniach, to finansowanie placówki nie może być wprost proporcjonalne do tego jednego parametru. Kilkakrotnie pisałem o trójczłonowym algorytmie, ale zwolennicy jednoparametrowego wskaźnika nie dają za wygraną.

Prosta analiza wydatków kilku placówek z różnych pionów polskiej nauki pokazuje, że 70-85% finansowania działalności statutowej jest wykorzystywane na wynagrodzenia pracowników, a mimo to szczupłość środków powoduje, że wynagrodzenia te są żenująco niskie. Jest to wstydlivy temat, wszakże gentelmeni nie dyskutują o pieniądzach, ale będąc od kilku lat na emeryturze, mogą ten temat podjąć bez narażenia

się na zarzut, że mam na względzie własny interes. Uważam, że nie w szczupłym finansowaniu projektów badawczych, inwestycji aparaturowych i współpracy międzynarodowej, ale w skandalicznie niskich uposażeniach pracowników naukowych kryje się największe zagrożenie polskiej nauki. Może warto skorzystać z prawnych uregulowań w II Rzeczypospolitej, przyjętych w ustawie z 9 października 1923 r. „O uposażeniu funkcjonariuszy państwowych i wojska”. Ta ustawa zrównuje uposażenia:

- profesorów zwyczajnych z uposażeniami dyrektorów departamentów, komendanta głównego policji, wojewodów, generałów brygady, itp.
- profesorów nadzwyczajnych i nauczycieli po 27 latach pracy z uposażeniami wicewojewodów, pułkowników, komandorów, nadinspektorów PP, prezesa GUC, itp.
- adiunktów i nauczycieli po 6 latach pracy, z uposażeniami nadkomisarzy PP i kapitanów WP.

Tymczasem obecnie, uposażenie zasadnicze netto profesora tytularnego w placówkach PAN i uniwersytetach, a także w nietypowych JBR-ach zajmujących się badaniami podstawowymi, waha się ok. 2000 zł. Tylko JBR-y prowadzące służby państwowe lub dofinansowywane przez resorty gospodarcze lub z centralnych funduszy, takich jak np. Fundusz Ochrony Środowiska, mogą sobie pozwolić na wyższe uposażenia profesorów. Typowe uposażenie adiunkta (ze stopniem doktora) wynosi 1200 zł.

Nic więc dziwnego, że profesorowie pracują na kilku etatach, jeżdżą po Polsce i wykładają w różnych uczelniach, co im pozwala z trudem utrzymać rodzinę, ale fatalnie odbija się na pracy naukowej. Dotyczy to profesorów wyższych uczelni. W placówkach PAN i JBR-ach o podobnym profilu są oni na ogół pozbawieni tej możliwości. Przed transformacją ustrojową wyjazdy za granicę stanowiły poważne źródło dochodów. Miesięczne pensje w krajach Europy Zachodniej przekraczały roczne wynagrodzenie w Polsce. Polski pracownik naukowy po kilku latach pracy „na Zachodzie” przywoził dobry samochód, mógł w kraju kupić mieszkanie lub nawet wybudować domek letniskowy. Obecnie wyjazdy przestały być tak atrakcyjne finansowo jak przedtem. Pisanie książek naukowych nie przynosi dodatkowych dochodów, liczących

się w budżecie. Jeżeli autor książki naukowej, której napisanie wymaga wielu miesięcy lub nawet kilku lat pracy, otrzymuje w wydawnictwach PWN, WNT lub PAN 300 zł za arkusz, to tego rodzaju twórczość staje się praco- i czasochłonnym hobby, a nie działalnością poprawiającą sytuację materialną. Oczywiście każda reguła ma wyjątki. Dla profesorów prawa lub ekonomii, zasiadających w różnych radach nadzorczych, uposażenie na uniwersytecie przestaje się liczyć, a humaniści piszący poczytne książki mogą w ten sposób dorobić do pensji. Słyszysz się o kilkudziesięciotysięcznych zarobkach profesorów pracujących w uczelniach technicznych, instytutach państwowych i prywatnych szkołach wyższych, a także o szokujących premiach za doktoraty i habilitacje, ale ci, w dosłownym znaczeniu, „wybrańcy losu” stanowią bardzo mały procent 70-tysięcznej rzeszy pracowników naukowych. Takimi wyjątkami mogą jednakże szermować władze, uspakajając siebie i innych, że z polską nauką nie jest tak źle.

Najsmutniejsze jest to, że chodzi tu nie tylko o samych uczonych, ale o „zły przykład” jaki stanowią dla swoich uczniów. Studenci, widząc jaka jest sytuacja materialna „mistrzów”, w przeważającej większości przypadków traktują karierę naukową jako smutną ostateczność, dobrą dla gamoniów, którzy nie znaleźli posady w bankach, spółkach itp. Ten aspekt braku środków na naukę jest bardzo groźny gdyż powoduje spadek zainteresowania młodzieży badaniami naukowymi i wytworzy lukę pokoleniową, która stanie się klęską polskiej nauki. O powstawaniu tej luki pisał w artykule o kryzysie nauki w Polsce profesor A. Wyczański [*Kultura*, wrzesień 1998, s. 39], podając dane statystyczne na ten temat.

Pracownicy naukowcy nie przystąpią do strajków, nie będą blokować dróg, nie będą okupować budynków KBN i Ministerstwa Edukacji Narodowej. Nie mogą wykorzystać atutu zagrożenia zdrowia pacjentów. Studenci byliby, oczywiście tylko na krótką metę, zadowoleni z zawieszenia zajęć dydaktycznych na uczelniach, a administracja miałaby mniej roboty. Do członków rządu i parlamentarzystów muszą przemówić nie strajki ale argumenty, które powinny przekonać każdego rozsądnego człowieka. Uposażenia pracowników naukowych w Polsce nie mogą być niższe od zarobków robotników sezonowych, żądających 100-złotowej dniówki. Muszą zostać

średnio zwiększone co najmniej trzykrotnie, co będzie stanowiło podniesienie rocznych nakładów na naukę o ok. 2 mld zł, czyli wzrost nakładów do 1% PKB. Wówczas można będzie zrezygnować z dodatkowych wynagrodzeń w ramach grantów, przeznaczając oszczędności na lepsze wyposażenie stanowisk badawczych. Dotyczy to również innych form zgłaszanych projektów. Od początku istnienia KBN sprawa wynagrodzeń w kosztorysie grantów budziła kontrowersje. Stałem na stanowisku, że możliwość proponowania dla siebie wynagrodzenia wypacza ideę grantu. W wielu przypadkach pracownicy naukowcy starają się o grant po to, żeby uzyskać dodatkowe źródło dochodów. Uważałem, że w projekcie grantu można planować wynagrodzenia tylko dla pracowników z zewnątrz, jeżeli tego wymaga wykonanie zamierzonych badań. Usunięcie wynagrodzeń innych wykonawców zmniejszy liczbę wniosków, pozwoli lepiej finansować najlepsze z nich, a pieniądze będą wydawane przede wszystkim na poprawę wyposażenia aparaturowego i na niezbędną współpracę zagraniczną. Powinna istnieć także możliwość opłacania przejazdu i utrzymania współpracowników zapraszanych z innych placówek z kraju i za granicą, uczestniczących w badaniach. Oczywiście zwolennicy usunięcia wynagrodzeń z preliminarzy zgłaszanych projektów stale podkreślali iż jest to możliwe pod warunkiem znacznego wzrostu uposażeń pracowników naukowych. Za realizację projektów badawczych mogą być przyznawane premie ale nie honoraria proponowane przez samych wykonawców.

Rola Komitetu Badań Naukowych w przyszłości

Komitet Badań Naukowych okazał się instytucją potrzebną, która odegrała ważną pozytywną rolę w uporządkowaniu organizacyjnym polskiej nauki oraz w usunięciu wypaczeń systemu finansowania placówek naukowych i projektów badawczych. Pochwała KBN, wyrażona przeze mnie w stwierdzeniu, że badania naukowe odżyły pod władzą KBN, dotyczyła sfery badań podstawowych. Podział KBN na dwie komisje, powodował różne kryteria oceny zespołów i placówek naukowych oraz projektów badawczych w zakresie badań

podstawowych i stosowanych, stwarzał konflikt w staraniach o przyznanie środków finansowych i rozmywał pojęcie nauki.

W zakresie badań stosowanych KBN nie spełnił, bo chyba nie mógł spełnić, pokładanych w nim nadziei. Zgadzam się z poglądem profesorów W. Karczewskiego i A. Ziabciego [*Kultura*, styczeń 1999], że oddanie w ręce, a raczej pod osąd uczonych, zarządzania badaniami podstawowymi dało dobre rezultaty i badania naukowe powinny się znaleźć pod władzą zmodyfikowanego KBN lub instytucji do niego podobnej. Natomiast rządy nad zastosowaniami gospodarczymi i społecznymi wyników naukowych powinny zostać przekazane agencjom nadzorowanym przez odpowiednie resorty. Proponowana w znowelizowanej ustawie o Komitecie Badań Naukowych likwidacja obu Komisji jest krokiem w tym kierunku. Umożliwi to KBN-owi zajmowanie się po prostu nauką, i nieangażowanie środków z budżetu nauki w unowocześnianie fabrycznych linii produkcyjnych lub projektowanie frezarek.

Projekt nowelizacji ustawy o KBN przewiduje znaczne rozszerzenie uprawnień przewodniczącego. Uważam to za słuszne, gdyż podzielam wyrażoną w wywiadzie dla *Polityki* opinię profesora A. Wiszniewskiego, że nauka nie znosi demokracji. W związku z tym powstaje pytanie czy sensowne jest przeprowadzanie wyborów do Komitetu według obecnej ordynacji, przewidującej głosowanie wszystkich pracowników naukowych ze stopniem doktora. Wydaje mi się, że prościej byłoby wybrać członków KBN przez takie gremia naukowe jak na przykład Komitety Dyscyplinowe PAN, w których skład wchodzi przedstawiciele wszystkich pionów nauki w szerokim zakresie wieku. Klucz wyboru do KBN może objąć też inne grupy uczonych.

Dwa piony polskiej nauki: placówki szkół wyższych i Krajowe Instytuty Naukowe byłyby nadzorowane odpowiednio przez Ministerstwo Edukacji Narodowej i Polską Akademię Nauk, które otrzymywałyby z budżetu państwa środki na utrzymanie placówek i wynagrodzenia ich pracowników. KBN przestałby się zajmować tymi elementami działalności statutowej, a przyznawałby środki na badania naukowe w postaci dwóch funduszy badań statutowych dla szkół wyższych i dla placówek PAN. Nowy KBN powinien zajmować

się także finansowaniem rządowych programów strategicznych, grantów i badań zamawianych typowanych przez sam Komitet, a dotyczących przede wszystkim wyprzedzających badań rozwojowych, to jest takich, które są ukierunkowane na ważne zastosowania ale mogą doprowadzić do ich wdrożenia za wiele lat.

Nauka i polityka

Nie znam się na polityce, ale o wielu politykach mam negatywną opinię. Razi pazerność na władzę, stanowiska i związane z nimi apanaże. Szokujące jest porównanie uposażenia profesora o kilkudziesięcioletniej praktyce w dziedzinie badań naukowych i dydaktyki, z przyznawanymi sobie nawzajem pensjami członków samorządów terytorialnych. Trzeba również wziąć pod uwagę wielkie przywileje polityków natury materialnej w postaci mieszkań i samochodów służbowych, wysokich diet, darmowych przejazdów i wielu innych świadczeń oraz ulg.

Cieszę mnie sukcesy polskiej gospodarki, wzrost dochodu narodowego, zdławienie inflacji do jednocyfrowej. Cieszę się, że Polska jest „tygrysem gospodarczym” naszej części Europy. Rozumiem konieczność reform, szczególnie trudnych wobec odziedziczonych paradoksalnych struktur i zaniedbań. Czy jednak niezbędne reformy muszą się tak odbijać na kondycji wielkich grup społecznych: rolników, lekarzy, nauczycieli, emerytów i rencistów, a niestety także pracowników naukowych?

Politycy, z obawy przed utratą elektoratu, nie mogą się zdecydować na podniesienie podatków, nie dopuszczają nawet myśli o takiej możliwości. Jeżeli jednak państwa nie stać na pokrycie wydatków kluczowych dla normalnego rozwoju kraju, to należy w sposób rozsądny zmodyfikować ustawę podatkową, zwiększając obciążenia osób o nieuzasadnionych, wysokich dochodach. Trzeba zaostrzyć przepisy ograniczające nadużycia podatkowe. Co roku moje oświadczenie podatkowe jest bardzo szczegółowo analizowane przez urząd skarbowy. Muszę się tłumaczyć z zakupu potrzebnych mi do pracy książek i innych pomocy naukowych. Tymczasem są

ludzie, którzy zarabiają wysokie kwoty na ulgach podatkowych, a istnienie wielkiej „szarej strefy”, unikającej płacenia jakichkolwiek podatków, oburza i demoralizuje społeczeństwo.

Wracając do spraw polskiej nauki, polityka zaciskania pasa i traktowania tej sfery jako źródła oszczędności budżetowych jest polityką błędną i krótkowzroczną. Przynosi Polsce szkodę gdyż stwarza w sferze nauki bardzo niebezpieczną lukę pokoleniową i pogłębia różnicę między Polską a krajami Unii Europejskiej, do której zmierzamy. Obawiam się, że poczynione szkody w znacznym stopniu mogą okazać się nieodwracalne.

Andrzej HRYNKIEWICZ

Między zamożnością i biedą

Kiedy kardynał Glemp 3 maja, w klasztorze na Jasnej Górze, ubolewa nad mizernymi postęпами lustracji, równocześnie przypomina z gniewem, że uczestnicy Targowicy umarli w spokoju i dobrobycie, a wreszcie krytykuje podporządkowanie Unii Europejskiej gospodarce, można się zastanawiać, czy nie pomylił przypadkiem Konstytucji 3 Maja z Konfederacją Barską. Konstytucyjne reformy otworzyć miały drogę dla zmian gospodarczych i takiego wzmocnienia kraju, aby mógł się oprzeć naciskom zewnętrznym. Nie wydaje się, aby kardynał pamiętał i gotów był przypominać, że większość hierarchii kościelnej należała do przeciwników reform państwa polskiego, tak w pierwszym okresie panowania Stanisława Augusta, jak i w momencie uchwalania hucznie świętowanej dziś konstytucji Kościół obawiał się wówczas o swoje dobra i o chrześcijańskie wartości, a większość hierarchii była głęboko przekonana, iż reformy prowadzić będą do naruszenia tak cenionego przez nią ładu społecznego. Próba lustracji uczestników ówczesnych wydarzeń byłaby równie kłopotliwa jak ta nasza dzisiejsza. Łatwiejsze jest operowanie symbolami bez przypominania szczegółów.

Prymas jest zdania, że budowanie wspólnej Europy na poglądach wszystkich nie jest do zaakceptowania dla katolików. *Nihil novi*.

Jak ważne jest jednak to wystąpienie i czy warto podejmować z nim dyskusję? Przede wszystkim zarówno treść jak i ton tego wystąpienia, nie tylko nie były zaproszeniem do dyskusji, ale wręcz przeciwnie, wydawały się być wyrazem poglądów wszelką dyskusję wykluczających.

Zwolennicy reform, w szczególności ci z lewej strony barykady, wiążą swoje nadzieje z laicyzacją, ze zjawiskiem postępującego ignorowania Kościoła przez większość wiernych. Inni mają nadzieję na większą otwartość Kościoła, na zmianę typu religijności i przejście od płytkiego symbolizmu do religijności refleksyjnej. W efekcie jednak, postępujący proces laicyzacji społeczeństwa wywołuje frustracje i wzrost radykalizmu wśród dominującej części kleru i wzrastające wyobcowanie nurtu liberalnego w kościele.

Nie wydaje mi się, aby tę frustrację można było po prostu zlekceważyć. W Polsce zapewne nie grozi ona odwróceniem biegu historii jak w Iranie czy kilku innych krajach muzułmańskich, ale może poważnie wpłynąć na postawy społeczeństwa i to zarówno tych, którzy pójdą za głosem katolickich radykałów jak i tych, którzy próbować się będą temu nurtowi przeciwstawiać.

Religia to część kultury, może nawet dominująca część kultury, wehikuł kształtujący sposób naszego myślenia i cały system odczuć moralnych. Niewierzący, czy po prostu antyklerykałowie, mają czasem wrażenie, że ta waga religii w naszym życiu ich nie dotyczy ale jest to wrażenie złudne. Jesteśmy dziedzicami ukształtowanej w długim procesie historycznym mentalności i to całkowicie niezależnie, czy należymy do wyznawców tradycji, czy do buntowników. Teoretycznie wszyscy jesteśmy świadomi tego, że religie byłyby zaczynem i fundamentem nowych cywilizacji i te same religie stawały się ich kamieniem młyńskim u szyi, uniemożliwiając zrozumienie i dostosowanie się do nowych warunków w zmienionym świecie. W praktyce z reguły odnosimy tę wiedzę do odległej historii, w głębokim przekonaniu, iż nie ma ona większego odniesienia do współczesności. Wiemy, że świat arabski utracił swoją prężność i chłonność na przełomie XIII i XIV wieku i do dziś jej nie odzyskał. Chiny przez stulecia czerpały natchnienie z pism Konfucjusza, by utknąć w aroganckiej pewności, że świat nie ma im nic do zaoferowania. Im bardziej ortodoksyjny odłam chrześcijaństwa, tym większy procent czekających na zmiłowanie boskie ubogich. Wszystkie kraje prawosławne są dziś bardziej zacofane niż kraje katolickie, zaś kraje o tradycji katolickiej z zadyśką odrabiają dziś zaległości w stosunku do krajów z tradycją protestancką. Poszukując źródeł bogactwa narodów, Adam Smith

na pierwszym miejscu wymieniał swobodną wymianę towarów i usług. W tym samym czasie w Polsce znakomita większość elit politycznych i religijnych traktowała takie idee jako herezję obrażającą Boga. Ponieważ Bóg milczy, więc interpretacja tego, co Go obraża, pozostaje w rękach śmiertelników. Czasem śmiertelni zmieniają swoje wyobrażenia na temat tego, co właściwie obraża Boga, ale instytucje takie jak Kościół lubią zachowywać co najmniej pozory niezmienności.

Pytanie Adama Smitha o źródła bogactwa narodów pozostaje w mocy. W Stanach Zjednoczonych przed dwoma laty ukazała się książka jednego z najlepszych współczesnych historyków gospodarki, Davida Landesa, pod znamienym tytułem: „The Wealth and Poverty of Nations”. W ciągu kilku miesięcy książka ta miała kilka wydań oraz liczne przedruki i tłumaczenia poza granicami USA. Landes nie ma jednej odpowiedzi na pytanie o źródła bogactwa jednych i przyczyny ubóstwa innych narodów. Niezwykle barwnym stylem opisuje historię gospodarczą świata, ukazując jak niezliczona ilość czynników (i przypadków) decyduje o losach narodów. Przede wszystkim jednak jest uczniem Adama Smitha i Maxa Webera. To kultura, czy też raczej ukształtowana przez religijną tradycję mentalność, decyduje o zdolności przewyciężenia pojawiających się problemów lub pozostawania w błędnym kole ubóstwa, obrażonej dumy (honoru), nieudanych powstań i rewolucji oraz dyktatur.

Uwaga autora koncentruje się przede wszystkim na zmianach pałeczki w sztafecie liderów oraz na losach tych, których nagrodą pocieszenia jest wyłącznie martyrologia. W wielu wypadkach wczorajsi liderzy lądują na końcu peletonu. Chińczycy do dziś pocieszają się, że wiele wynalazków, które stały się kamieniem węgielnym rozwoju Europy, zapożyczonych zostało od nich. Problem polega jednak na tym, że podczas gdy cywilizacja chrześcijańska produkowała ludzi ciekawych, zainteresowanych nowościami, szukających nowych zastosowań dla różnych wynalazków, cywilizacja chińska wykształciła osobowość człowieka przekonanego o własnej doskonałości, myślącego, że reszta świata to barbarzyńcy, od których należy się odciąć. Kiedy pierwsi portugalscy misjonarze dotarli do Chin, przywieźli ze sobą zegar, epokowy wynalazek otwierający drogę do nauki, nowych form mechanizacji, nowego porządku

społecznego. Zegar wzbudził ciekawość nawet Chińczyków ale ponieważ spór toczył się o to, czyj umysł ma bardziej boskie atrybuty, a jezuici nie ukrywali, że zegar i inne wynalazki są dowodem europejskiej wyższości i służyć winny jako argument skłaniający do przejścia na prawdziwą wiarę, Chińczycy zrozumieli aluzję i dla samej zasady wylali dziecko wraz z kąpielą.

Zdaniem Landesa to, co wypchnęło Europę na czoło peletonu, to było wynalezienie wynalazku. I tu znów odwołuje się do Smitha – warunkiem pojawienia się zapotrzebowania na innowacje było przejście do gospodarki towarowej i systematyczne rozszerzanie się rynku. Pod koniec średniowiecza, wraz z wycofywaniem się z poddaństwa i stopniowym przechodzeniem na gospodarkę czynszową, w Europie Zachodniej obserwujemy eksplozję technologiczną. Znany jeszcze starożytnym wodny młyn znajduje nowe zastosowania, zaś wykorzystanie siły wodnej prowadzi do „mody” na spiętrzanie wody i nowej gospodarki wodnej, Landes nieślychanie wysoko plasuje wynalazek okularów, które już w początkach XIV wieku były masowo produkowane we Włoszech, a które nie tylko wydłużały wiek produkcyjny wielu rzemieślników ale otwierały nową dziedzinę, rewolucjonizującą badania otaczającego nas świata. Zegar mechaniczny był nie tylko kluczem do nowej mechaniki, ale i wynalazkiem o ogromnej doniosłości politycznej. Wynaleziony pod koniec XIII wieku rozprzestrzenił się błyskawicznie, podważając kościelny monopol na miarę czasu. Czas kościelny był czasem „naturalnym” i przez ponad sto lat Kościół odmawiał uznania diabelskiego wynalazku. Tak więc, w pierwszym okresie nowe cuda techniki paradowały na wieżach ratuszy, budząc zainteresowanie gawiedzi i podważając splendor świątyń. Nie kościelny dzwon, a zegar na ratuszu zaczął stopniowo regulować czas pracy i publicznych spotkań. Była to rewolucja, której znaczenia nie doceniali nawet jej twórcy. Przeczuli ją jednak muzułmanie, którzy podobnie jak Chińczycy odrzucili nowy wynalazek w głębokim przekonaniu, że nie maszyna, a modlitwa winna regulować czas człowieka.

Wraz z pojawieniem się mechanicznego zegara otwierała się w technice droga do precyzji i miniaturyzacji. Istnieje ścisły związek między mechanicznym zegarem a całą gamą narzędzi, które natychmiast rozprzestrzeniały się i w miastach i na wsi.

Kolejnym wynalazkiem, który w niemałym stopniu zaważył na długotrwałym objęciu przewodnictwa w gospodarczej konkurencji przez Europejczyków był druk. Podobnie jak papier, proch i dziesiątki innych rzeczy, wynaleziony przez Chińczyków, ale udoskonalony i wprowadzony do powszechnego użytku przez Europejczyków, stał się rozsądnikiem nauki, wynalazków technicznych i organizacyjnych.

Skąd ta różnica w podejściu, skąd wzięło się owo zainteresowanie otaczającym światem i techniką, jak powstał ów popyt na nowe wynalazki? Zanim wytworzył się stosunkowo duży rynek z pieniędzmi i klientelą, poprzedziła go tradycja ateńskiej demokracji, a później chrześcijańskiej dwuwładzy. Chrześcijańska Europa nie doświadczyła despotycznego monopolu władzy religijnej i politycznej. Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie. Z dwoma panami mimo wszystko zawsze łatwiej. Wschodni despotyzm, który Landes nazywa hydraulicznym, miał jednak swoje gradacje. Japończycy, którzy pismo, religię i większość kultury technicznej przejęli od Chińczyków, nie mieli moralnych oporów przed przyjmowaniem nowości również od innych. Na europejskie wynalazki od pierwszej chwili zareagowali wręcz fascynacją i to nie tylko wobec samej techniki, ale i wobec popularyzowanej za jej pośrednictwem nowej religii. Kto wie, jak potoczyłyby się losy Japonii, gdyby nie bezwzględna szczerłość europejskich przybyszów informujących, że podboje nowych krajów są łatwe i skuteczne, dzięki pomocy nowych współwyznawców. W tej sytuacji Japończycy zabili kilkuset białych oraz kilkadziesiąt tysięcy skośnookich chrześcijan i zamknęli sklepik na kilka stuleci. Co najdziwniejsze, ich gotowość przejmowania nowości od innych przetrwała tę dość długą przerwę.

Niezwykłe pouczająca jest wędrówka gospodarczego przewodnictwa w samej Europie. Nieprawdopodobne sukcesy miast włoskich, Francji, małej Portugalii, Hiszpanii i niemal natychmiastowa utrata tej przewagi z chwilą gdy Kościół stawał się jedynym strażnikiem wszelkiej prawdy. Religijna poprawność prowadziła z jednej strony do eksplozji ksenofobii (tak religijnej, jak i etnicznej), z drugiej do chorobliwej podejrzliwości wobec wszystkiego co nowe. Lustrowano wszystko i wszystkich, zaś placówki oświatowe zajmowały się głównie zabijaniem niezdrowej ciekawości. Skutki nie kazały

na siebie długo czekać, obserwujemy wyludnianie się miast, ucieczkę fachowców do innych krajów, czystki rasowe i religijne powodujące spustoszenia w dziedzinie bankowości, handlu, w medycynie itp., odwrót od nauki i kurczenie się rynku. Wkrótce też te wszystkie zmiany zaczynają dawać o sobie znać w organizacji i uzbrojeniu armii. Duch Święty był po stronie jezuitów, ale rachunki za stawkę na nietolerancję płacili poddani świątobliwych władców. Warto tu dodać, że udział w czystkach etnicznych i religijnych dostarczał jednak wartości nie tylko duchowych, zaś późniejsza frustracja z powodu powtarzających się klęsk i rosnącego zubożenia znakomicie wzmacniała dumę narodową i religijną.

David Landes sporo miejsca poświęca analizie odmiennych wzorów protestanckiego i katolickiego kolonializmu. Hiszpanie i Portugalczycy udają się w świat w poszukiwaniu złotego runa. Dziś, z perspektywy historii możemy powiedzieć, że Ameryka Północna miała po prostu lepsze warunki naturalne – lepsza ziemia, lepszy klimat, lepsze możliwości komunikacyjne, ważne surowce naturalne. Jednak od samego początku protestanci i katolicy kolonizatorzy mają całkowicie odmienne cele. Hiszpanie i Portugalczycy poszukują przede wszystkim złota i srebra. Kolejne wyprawy składają się niemal w stu procentach z młodych, samotnych mężczyzn, rekrutujących się ze zubożałej szlachty. Tymczasem wśród kolonizatorów brytyjskich czy holenderskich dominują całe rodziny, z reguły są to również rolnicy lub rzemieślnicy. W pierwszej fazie kolonizacji gwałtownie puchną hiszpańskie i portugalskie zasoby złota i srebra, powodując lawinowy wzrost importu i stopniowe kurczenie się własnej produkcji. System osadnictwa w podbitych krajach podporządkowany jest tej samej zasadzie ksenofobii, jaka obowiązuje w metropolii. Do kolonii hiszpańskich wpuszcza się tylko Hiszpanów-katolików, Portugalczycy są z konieczności bardziej tolerancyjni i gotowi są zaakceptować każdego, byle był czystej wody katolikiem. System administracyjny tych kolonii zajmował się przede wszystkim organizacją transportu łupów do macierzy oraz pilnowaniem duchowej czystości. To pierwsze było zajęciem wystarczająco intratnym, by korupcja stała się naczelną zasadą rozdziału stanowisk w koloniach, to drugie pozwalało na usuwanie z pola bitwy o stołki wszystkich niewygodnych

przeciwników. Hiszpanie czuli się posiadaczami najwyższej kultury duchowej i bez zazdrości patrzyli na podboje „ubogich” terenów przez Brytyjczyków i na prymitywne obyczaje mieszkańców brytyjskich kolonii. Podczas gdy kolonie brytyjskie i holenderskie błyskawicznie uzyskiwały samowystarczalność w dziedzinie produkcji narzędzi, broni, okrętów itp., kolonie katolickie niemal wszystko sprowadzały ze swoich macierzystych krajów (a ponieważ tam produkcja słabła, więc często były to wyroby brytyjskie lub niemieckie). Stany Zjednoczone zdobyły niepodległość, ponieważ czuły się wyzyskiwane, a ludność nie miała ochoty godzić się na narzucane przez Londyn ograniczenia gospodarczego rozwoju. Kraje Ameryki Południowej stają się w XIX wieku niepodległe z powodu politycznego i gospodarczego bankructwa ich metropolii. Niepodległość spadała na nie tak, jak współcześnie spadła na byłe republiki sowieckie.

Landes powraca do pytania, które frapowało już wielu innych, dlaczego rewolucja przemysłowa wybuchła w Anglii i czy rzeczywiście była rewolucją? Dla niego druga część tego pytania jest wstępem do odpowiedzi na pierwszą. Eksplozja wynalazczości na początku XIX stulecia jest tylko przyspieszeniem procesu, który trwał już od dłuższego czasu. Dlaczego w Anglii – bo Anglia najwcześniej odeszła od poddaństwa i przestawiła się na gospodarkę czynszową w rolnictwie, bo miała najbardziej rozwinięty podział pracy, bo miała najwyższy procent ludności umiejącej czytać i pisać, bo rzemiosło nie było skrępowane przez cechy w takim stopniu jak w innych krajach, bo tu był największy rozwój nauk ścisłych i największe nagromadzenie wiedzy technicznej. Dlaczego w Anglii, a nie w Niemczech, we Włoszech, czy we Francji? Renesans z jego zwrotem w kierunku nauk ścisłych rozpoczął się we Włoszech, ale miasta włoskie czy miasta hanzeatyckie cierpiały na przerost władzy cechów rzemieślniczych, dbających by masowa produkcja nie popsukała zysków. Podobnie było we Francji. Co więcej, Francja i Włochy na skutek kontrreformacji, prześladowań protestantów oraz Żydów utraciły ogromną masę fachowców. (Landes zwraca uwagę, że na przykład znakomita większość francuskich zegarmistrzów to byli protestanci, którzy albo zginęli, albo zostali wygnani).

Innym dziedzictwem średniowiecza (zdecydowanie sil-

niejszym na kontynencie niż w Anglii) były utrudniające handel bariery graniczne i celne. Opłaty na wszystkich rogatkach miejskich i na rzekach. „Woły i Żydzi po cztery fenigi” cytuje Landes informację spotykaną na wielu bramach niemieckich miast. Oczywiście te wszystkie opłaty nie tworzyły bynajmniej funduszy rozwoju infrastruktury, stanowiąc wyłącznie utrudnienia w handlu. W Niemczech te cła zakrawały na paranoję. Dopiero Napoleon zmusił Niemcy do uwolnienia handlu na linii Renu, potem system celny próbowano uporządkować w 1834 roku, ale w poszczególnych krajach niemieckich rogatki stanowiły skuteczną zaporę dla nowości handlowych jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Kto wie, czy tylko rozwinięty handel zamorski, czy również inne czynniki zadecydowały o tym, że plaga barier celnych była znacznie mniej dolegliwa w Anglii niż w jakimkolwiek innym kraju Europy Zachodniej, jednak było to nie bez znaczenia dla rozwoju rynku i dla rozprzestrzeniania się nowości technicznych.

O tym, że rewolucja przemysłowa rozpoczęła się w Anglii, zapewne w niemałym stopniu zadecydował fakt bardzo rozwiniętej wcześniej chałupniczej produkcji tkanin wełnianych. Zabawne, bo na długo przed rewolucją przemysłową poszukiwano możliwości zmechanizowania przędzenia i tkania, ale przełom dokonał się w związku z importem bawełny z Indii. Bawełna, ze względu na dłuższe włókno okazała się łatwiejszym materiałem. Z chwilą jednak gdy powstały pierwsze maszyny przędzalnice i krosna, mechanizacja w całym włókiennictwie ruszyła z kopyta.

Landes wielokrotnie i na różne sposoby podkreśla, że przy wszelkich skokach innowacyjnych wszystko zależy od tego, czy społeczeństwo jest do nich gotowe, czy wykorzystaniu nowych urządzeń towarzyszyć będzie ich właściwa konserwacja, czy pojawi się serwis ich napraw i tendencja do ich systematycznego ulepszania. Brak konserwacji i serwisu jest systematyczną przyczyną klęsk wprowadzanej odgórnie industrializacji, czy (jak to było w przypadku byłych kolonii) przejmowania gotowej infrastruktury przez nowe władze. Landes prezentuje statystyki dróg komunikacyjnych pozostawionych przez kolonialistów w Indiach i Afryce oraz błyskawicznego tempa ich dewastacji. Pokazuje również jak często kompletnym nieporozumieniem okazywały się różne projekty

pomocy tym krajom, nieodmiennie pomijające różnice kulturowe, klimatyczne i poziom przygotowania odbiorców. Marzenia o gwałtownym skoku w nowoczesność stworzoną przez innych, z reguły okazują się skokiem na głowę do pustego basenu. Jedną z przyczyn tych tragicznych w skutkach pomysłów jest błędna interpretacja przyczyn własnego zacofania. Byłe kolonie czy półkolonie mają głęboką potrzebę wyjaśniania wszystkich swoich klęsk wyzyskiem i celowym uniemożliwianiem przemysłowego rozwoju w ich krajach przez kolonialistów. Jeśli dochodzą do tego różnice religijne, gorycz uzyskuje dodatkowy wymiar sakralny. Fakt, że kraje te popadły w zależność z powodu wcześniejszych słabości, wśród których z reguły najważniejszą była praca przymusowa, brak podziału pracy, fanatyzm, blokowanie oświaty przez własne elity i głęboka niechęć do wolnego handlu jest całkowicie ignorowany. Widząc wszelkie przeszkody tylko w czynnikach zewnętrznych, ładują się w kolejne tarapaty wyłącznie zwiększając ich dystans od krajów najbardziej rozwiniętych. Pojawia się tu kolejny element błędnego koła – ponieważ to świat jest winny naszej niedoli, więc nowe problemy powodują nasilenie się różnego rodzaju fanatyzmów i radykalizmów. Landes nie należy do politycznie poprawnych. W żaden sposób nie próbuje umniejszać chciwości i drapieżności silniejszych, ale też uważa, że tani sentymentalizm wobec tych, którzy znaleźli się po stronie przegranych nikomu nie pomaga. Kraje arabskie w dalszym ciągu charakteryzuje despotyzm, a wpływy ze sprzedaży ropy naftowej bynajmniej nie zwiększają ich zdolności produkcyjnych. Ameryka Łacińska częściowo wytraciła swoją głęboką niechęć do Stanów Zjednoczonych i ze zmiennym szczęściem próbuje dziś modernizować swoją gospodarkę. Ale nadal nie widać tu nawet próby analizy i zrozumienia wewnętrznych przyczyn narosłych problemów. Podobnie, tylko znacznie gorzej, sytuacja przedstawia się w Rosji. W jakim stopniu decyduje o tym scheda komunizmu, a na ile mamy tu do czynienia z odległym dziedzictwem? David Landes na marginesie rozważań o tym dlaczego rewolucja przemysłowa dokonała się właśnie w Anglii pisze:

Europa Wschodnia była jak inny świat. W krajach słowiańskich, a w szczególności w Rosji, system pańszczyźnia-

ny utrzymywał się w swojej najgorszej formie. Niezmierzone bogactwa w rękach arystokracji oznaczały niesłychaną minimalizację popytu na podstawowe towary przemysłowe, popytu, który mógłby prowadzić do powstania masowej produkcji. (...) Ludność była przyzwyczajona do biedy i nie miała pojęcia o zewnętrznym świecie. Rosja była mocarstwem z wielkimi terytorialnymi ambicjami. Wcześniej (od XVI stulecia) próbowała uczyć się od Zachodu, chociażby po to, aby uzyskać samowystarczalność w produkcji broni. Jako mocarstwo Rosja potrzebowała przemysłu i carski rząd zachęcał cudzoziemców do zakładania fabryk lub do pracy w fabrykach rosyjskich. Poszczególni arystokraci zachęcali nawet bardziej przedsiębiorczych chłopów do zakładania warsztatów w zamian za czynsze. Ale rezultat prowadził tylko do powstawania wysepek chlerawego przemysłu.

Rosyjskie przedsiębiorstwa nie działały nigdy w tym samym świecie co przedsiębiorstwa zachodnie.

Zmieniają się szczegóły historyczne i scenaria nieudanych reform gospodarczych, pozostaje sama istota problemu – dławiona przez własne elity wolność handlu, stanowy czy kastowy system, chroniony przez struktury religijne. Wszystko jedno, czy jesteśmy w Rosji, w imperium otomańskim, w Indiach, czy w Ameryce Łacińskiej, wszędzie widzimy ten sam heroiczny wysiłek obrony boskiego porządku społecznego. Niemal wszędzie również skutki trwającego do niedawna poddaństwa uzupełniane są przez walkę o zachowanie „tradycyjnego” miejsca kobiety w społeczeństwie. Porównując islam i Japonię Landes pokazuje jak bardzo pozory mogą mylić. Japońska kultura jest niesłychanie *macho*, kobiet nie widać ani na arenie politycznej, ani w wielkim biznesie. Wystarczy jednak spojrzeć na statystyki wykształcenia i przyjrzeć się nieco bliżej japońskiej gospodarce, by zrozumieć, że mamy tu do czynienia z jakościowymi różnicami. Jest dyskryminacja płacowa, kobiety bardzo często wycofują się z pracy zawodowej w momencie zamążpójścia, nie widać ich na arenie politycznej, ale nie ma tu jednak żadnego porównania do sytuacji kobiety w świecie islamu, kobieta ma zupełnie inny status w japońskiej rodzinie i w społeczeństwie. Landes jest zafascynowany Japonią i innymi krajami południowo-wschodniej Azji. W wielu dziedzinach Stany Zjednoczone przegrały konkurencję z Japonią a sama

Japonia coraz częściej musi się wysilać, żeby dotrzymać kroku swoim sąsiadom. Landes całkowicie zgadza się z Weberem, że kalwińska odmiana protestantyzmu była najlepszym motorem kapitalizmu. W rozwoju Europy i Japonii są jednak pewne podobieństwa. „Japonia nie miała kalwinizmu – pisze Landes – ale jej przedsiębiorcy praktykowali analogiczną etykę pracy. Kluczem jest tu zaangażowanie w pracę. Wyznawca Zen, mnich Suzuki Shosan (1579-1655) postrzegał chciwość jako duchową truciznę; ale sama praca jest czymś zupełnie innym. ‘Wszystkie zawody są formą praktykowania buddyzmu; poprzez pracę osiągamy buddyjskość.’ Nie trzeba być weberiańskim protestantem, żeby działać dokładnie w taki sam sposób” – komentuje Landes.

Etyka pracy jest niewątpliwie kluczem do azjatyckiego sukcesu, ale kooperacja z innymi jest grą. Od połowy ubiegłego stulecia Japończycy byli całkowicie świadomi, że układ sił jest nierówny i że muszą sobie radzić z niekorzystnymi traktatami. Kiedy w roku 1873 książę Okubo powrócił z dwuletniej wyprawy do Stanów Zjednoczonych i Europy, jedna z jego obserwacji stwierdzała, że Brytyjczycy porzucili protekcyjizm dla filozofii *laissez-faire* dopiero po umocnieniu swojego gospodarczego przewodnictwa. Nawet Adam Smith musiałby się zgodzić z tą obserwacją, pisze David Landes i dodaje, że Japończycy stali się mistrzami w omijaniu niekorzystnych dla nich postanowień narzuconych siłą traktatów. Dziś nie jest to już kwestia bezpośredniego przymusu, a raczej nacisków i dialogu. Amerykańscy i europejscy ekonomiści często zadają pytanie, czy Japończycy nie rozumieją że ich polityka chronienia własnego rynku uderza w ich własnych konsumentów? Czy nie rozumieją, że wolny handel otwiera drogę do rozwoju i bogactwa?

Na te retoryczne pytania – pisze Landes – Japończycy odpowiadają, że celem polityki ekonomicznej nie są niskie ceny i tania konsumpcja. Celem jest zdobycie jak największych udziałów w rynku, wzrost potencjału, siła przemysłowa i wojskowa. Producenci są ważniejsi niż konsumenci. Każdy potrafi kupować, ale nie każdy potrafi produkować.

David Landes kończy swoją książkę w nastrojach milenijnych. Na przestrzeni ostatniego tysiąca lat ludzkość powiększyła się z kilkuset milionów do sześciu miliardów. Od-

rzuciwszy magię i przesady przeszliśmy od niepewnych, inteligentnych obserwacji do potężnej i ciągle rosnącej porcji wiedzy naukowej. Nasza wiedza o naturze jest zdecydowanie większa i pewniejsza niż nasza wiedza o człowieku. Niewielu chciałoby zawrócić czas, ale nawet ci, którzy odwracają się od nowoczesności, posługują się książką, okularami, jeżdżą samochodami i korzystają z najnowszych osiągnięć medycyny (czasem po to, aby odradzać innym nadmierne zainteresowanie materialnym światem.) Współczesny świat dzieli się na tych, którzy wydają pieniądze na to, aby stracić nadwagę, na tych, którzy jedzą aby żyć i na tych, którzy nie są pewni gdzie i kiedy zdobędą następny posiłek. Jeśli czegokolwiek możemy się dowiedzieć z historii gospodarczego rozwoju – pisze Landes – to przede wszystkim tego, że kultura jest głównym źródłem owych różnicowań. Ludzie, którzy żyją swoją pracą są niewielką i uprzywilejowaną elitą ale jest to elita otwarta dla wszystkich. Wniosek, który się z tej lekcji wyłania, to to, że musimy nieustannie podejmować próby. Nie ma tu nadziei na cud, na doskonałość, na millenijny przełom. Musimy kulturować sceptyczną wiarę – pisze Landes – unikać dogmatów, umieć słuchać i patrzeć, próbować precyzować i definiować swoje cele i poszukiwać coraz lepszych środków ich realizacji.

Unia Europejska jest wspólnotą, w której toczą się przyziemne spory o ceny śledzi lub wołowiny, o taryfy celne, o możliwości stopniowego znoszenia granic. Jest wspólnotą w której ludzie i narody wzajemnie się od siebie uczą, w której od samego początku jest prymat spraw gospodarczych nad politycznymi, nie wspominając nawet o pryncypiach ideowych czy religijnych. Parlament Europejski nie zajmuje się problemem lustracji, ani nawet chrześcijańskich wartości. W krajach Unii praktycznie rzecz biorąc nie ma już ludzi, którzy nie wiedzą gdzie i kiedy zdobędą następny posiłek. Uczestnictwo w tej wspólnocie wydaje mi się nie najgorszym celem, a Kościół, gdyby zechciał, mógłby niebywale pomóc w takiej transformacji naszej mentalności, abyśmy mogli w tej wspólnocie wypracować sobie dobre, partnerskie miejsce. Może jestem w błędzie, ale wydaje mi się, że kardynał Glemp zupełnie nie o tym mówił w swoim kazaniu na Jasnej Górze. A szkoda.

Andrzej KORASZEWSKI

Uwagi o terroryzmie i fundamentalizmie islamskim

Terroryzm

Terroryzm należy do ponurego kanonu zjawisk postmodernistycznego świata, tak jak krucjaty stanowiły niegdyś część polityczno-społecznego krajobrazu średniowiecza. Będąc fragmentem współczesności, terroryzm jako technika wymuszania ustępstw pod groźbą śmierci, nie jest jednak jej wytworem. Jego początki da się umiejscowić na Bliskim Wschodzie, gdzie miał dwa źródła. Jedno, dość odległe, w I w.n.e., stanowił ekstremalny odłam opozycji żydowskiej przeciwko rządowi Rzymu – *Sicarii* (ang.), od greckiego *sikaroi*, „sztyletowcy”. Ich taktyka walki z przeciwnikami politycznymi, w tym wypadku ze zwolennikami Rzymian, polegała na mordowaniu ich za pomocą ukrytego w fałdach szat sztyletu. Błyskawicznie dokonywane zabójstwo odbywało się najczęściej w miejscu publicznym.

Drugi, bliższy nam w czasie korzeni terroryzmu wywodzi się sprzed prawie tysiąca lat, kiedy to między XI a XIII stuleciem działała nielegalna, rewolucyjna grupa islamska zwana *Assassins* (ang.), stanowiąca odłam szyickiej sekty islamistów z obszarów Iranu i znana z tego, że za obowiązek religijny uznawała mordowanie swoich wrogów. Angielska nazwa *assassins* oznacza w dosłownym tłumaczeniu zamachowców, czy jeszcze dokładniej zabójców, zwłaszcza zabójców polityków lub innych ważnych osobistości, ale zdaje się pochodzić od arabskiego słowa *hashshash* (l.poj.); *hashshashin* (l.mn.). Członków tej sekty określano mianem *hashishi* najpewniej ze

względu na środki, jakich używali przed „akcją” w celu wywołania religijnej ekstazy i wizji raj u wiernych, pragnących zasłużyć sobie na nimb męczenników islamu. W anglo-europejskim rozumieniu jednakże słowo to, przyniesione do Europy przez krzyżowców, stało się synonimem politycznej taktyki sekty czyli zamachów i skrytobójstwa.

Dopiero jednak rewolucja francuska, a potem rosyjska, „uintelektualniły” terroryzm dorabiając doń ideologię polityczną na usprawiedliwienie jego środków. Współczesny terroryzm bliskowschodni zawiera więc zarówno elementy tradycji anarchistycznej, nihilistycznej i marksistowskiej, jak i bardziej ekstremalnych interpretacji islamu.

W oficjalnym języku wielu państw – nie tylko bliskowschodnich czy północnoafrykańskich, najczęściej wymieniających w tym kontekście – których struktura polityczna jest zagrożona brakiem stabilizacji, używa się terminu „terroryzm” w odniesieniu do uzbrojonej opozycji, bez względu na zakres jej poczynań militarnych czy formę organizacyjną. Terroryzm stanowi jednak zjawisko o tyle „specyficzne”, że wymaga odrębnej definicji. Głównym wyróżnikiem terroryzmu jest rozmysłny brak rozróżnienia na cele militarne i cywilne. Drugą cechą jest realizacja zamierzeń politycznych drogą zastraszania czyli terroryzowania przeciwnika. Definicja powyższa, choć nader ogólnikowa, jest przy tym na tyle szeroka, że obejmuje nie tylko wyjęte spod prawa grupki fanatyków politycznych lub religijnych, ale, jak na ironię, także rządy państw w różnych rejonach świata.

W potocznym rozumieniu jednak terroryzm pozostaje bronią słabych – niewielkich organizacji o utajnionej strukturze, których siłę stanowią karabiny AK-47 oraz postawa fanatycznej determinacji. Organizacje takie nie są w stanie osiągnąć wyznaczonych sobie celów politycznych żadnymi innymi środkami bo albo zostały kompletnie wykluczone ze sceny legalnych rozgrywek o władzę w swoim kraju, albo rząd tegoż nie uznaje żadnych prób pokojowej partycypacji we władzy, na którą dierży monopol.

W poczynaniach terrorystów liczy się efekt. Nieprzewidywalność ich działań w połączeniu z towarzyszącą im społeczną paniką oraz rozgłosem, jaki nadają im media, to dodatkowe atuty przydatne ugrupowaniom terrorystycznym w świecie,

gdzie informacje rozchodzą się z cybernetyczną szybkością internetu i telewizji satelitarnej. Tym między innymi różni się terroryzm od działań grup partyzanckich (*guerrillas*), których akcje mają zasadniczo charakter militarny, to znaczy wymierzone są głównie przeciwko celom wojskowym, a jednocześnie są o wiele mniej spektakularne w skali społecznej. W wielu przypadkach jednak to dość sztuczne rozróżnienie ulega zawieszeniu w sytuacji, kiedy partyzant z *quasi*-żołnierza przeistacza się w terrorystę mordującego cywili z wrogiego plemienia, jak w niektórych krajach afrykańskich albo porywa samolot, by wymusić ustępstwa polityczne, jak ostatnio w jednym z państw Ameryki Południowej.

Prawdą jest, że grupy terrorystyczne budzą na ogół lęk i niechęć u sporej części społeczeństwa, które, zastraszone i niepewne celu kolejnego ataku, staje się w ten sposób bezwolnym nośnikiem wymuszanych przez terrorystów zmian. Nie należy jednak sądzić, iż w obrębie tegoż społeczeństwa nie znajdują się zwolennicy danego ugrupowania: pomijając organizacje o dużym oddźwięku społecznym jak PLO lub Hezbollah, przykładem może być też ETA w Hiszpanii czy nawet IRA, choć ta ostatnia straciła znaczną część poparcia wśród bardziej umiarkowanych północno-irlandzkich katolików, zmęczonych wieloletnią wojną domową.

Terrorysta w oczach rządu i policji może więc być bojownikiem o wolność w oczach ludu. Wyraźną tego ilustracją jest kontrowersyjna postać A. Ocalana, przywódcy bojowej frakcji PKK przechwyconego ostatnio przez tureckie siły bezpieczeństwa, z pomocą, jak się okazuje, samej CIA! (Nic dziwnego, Amerykanom potrzebne są tureckie bazy wojskowe, a Kurdowie tak długo obchodzili się bez własnego państwa, że mogą jeszcze poczekać.) Schwytywanie legendarnego przywódcy Kurdów wzbudziło ogromną falę protestów społecznych na zachodzie Europy, gdzie mieszka wielu kurdyjskich imigrantów. Niemal od razu wzrosła też fala terrorystycznych zamachów organizowanych przez PKK przeciwko Turkom – nie tylko urzędnikom administracji państwowej oraz wojskowym, ale i osobom cywilnym.

Rząd Turcji nie chce uznać, że Kurdowie są mniejszością etniczną, odrębną od rdzennych Turków narodowościowo i kulturowo. Z tej racji Kurdowie jako Kurdowie nie mają

w Turcji żadnych praw. Nawet ich język został wyjęty spod prawa i nielegalne jest jego używanie poza domem. Od dłuższego czasu więc tureccy Kurdowie, którzy wysuwają żądania separatystyczne, oraz turecki aparat państwowy, który pozostaje na nie kompletnie głuchy, znajdują się po przeciwnych stronach politycznej barykady. Kurdowie popierają postulat odrębnego państwa działaniami zbrojnymi, rząd Turcji zaś reaguje na to wprowadzając stan wyjątkowy w prowincjach południowo-wschodnich, pacyfikując tamtejszą ludność i tworząc lokalne oddziały uzbrojonej i brutalnej milicji państwowej.

W podobnych wypadkach, kiedy całe społeczeństwo lub jakiś jego odłam występuje z pewnych względów przeciwko rządowi swojego państwa, przemoc i terroryzm definiuje się w języku oficjalnym jako legalne lub nielegalne, zależnie od tego, kto ucieka się do nich w swoich działaniach. Ich legalność określana jest w kategoriach celów i w kontekście polityki państwa. Państwo przyznaje sobie monopol na zalegalizowaną przez siebie przemoc i wtedy jego przeciwnikom używającym podobnych środków do walki z państwem w imieniu ciemiężonej społeczności nadaje się miano terrorystów. Przemoc aparatu państwa wymierzona przeciwko własnym (jakkolwiek zbuntowanym) obywatelom jest wówczas nie tylko oficjalnie tolerowana, a nawet usprawiedliwiona, ale wszelkie językowe odniesienia do niej w państwowych mediach mają postać eufemizmów, omówień, niedomówień, przekłamań. Przemoc stosowana przez państwo służy przecież realizacji politycznych zamierzeń rządu i utrzymaniu *status quo*, co zmienia jej status na akceptowalny. Polityczna definicja i ocena terroryzmu jest więc zatem zdeterminowana zakresem, w jakim sankcjonuje go państwo na własny użytek.

Indywidualny osad terroryzmu opiera się natomiast o fundament etyczny – niezależny od przekonań religijnych czy politycznych – a nie o zasadę przydatności i dogodności działania. I tak, zabijanie niewinnych osób cywilnych, w tym dzieci i kobiet, może budzić wyłącznie moralną odrazę i potępienie, bez względu na sprawę, jakiej służy.

Terrorystyczna działalność państw

Niektóre państwa sankcjonują również terroryzm uprawiany poza obrębem swoich granic usprawiedliwiając go zwykle względami bezpieczeństwa albo wyższością moralną czy religijną własnej ideologii narodowej. Armia izraelska na przykład, tocząc wojnę przeciwko uzbrojonym grupom (terrorystycznym) palestyńskim i libańskim, weszła na teren Libanu i dokonała szeregu akcji w rodzaju bombardowania południa kraju w roku 1993 i 1996. Działania te obliczone były przede wszystkim na sterroryzowanie ludności cywilnej, bo bazy wojskowe terrorystów arabskich, przeciwko którym oficjalnie przeprowadzono akcje, nie doznały większych szkód. W ten sposób spodziewano się wyrzucić presję na rządzie libańskim i zmusić go do usunięcia PLO z granic Libanu oraz unieszkodliwienia Hezbollah. Cele tych operacji były więc polityczne, a nie militarne, co wskazuje na ich terrorystyczny charakter: była to przemoc wymierzona przeciwko ludności cywilnej, mająca wymusić określone ustępstwa na rządzie libańskim.

Bliskowschodni terroryzm państwowy nie zawsze jednak stanowi część konfliktu palestyńsko-izraelskiego, a właściwie arabsko-izraelskiego. Konflikt ów, choć niezwykle poważny i nadający rację bytu wielu ekstremistycznym ugrupowaniom islamskim, istnieje też w pewnym sensie jako rodzaj negatywnego spoiwa świata arabskiego, którego oficjalnie proklamowana jedność jest w rzeczywistości tylko retoryczną fikcją. Fikcyjność tej jedności potwierdza fakt, że czasami terroryzm bliskowschodni w swoim wydaniu politycznym wymierzony jest w zupełnie inne cele, nie związane z Izraelem i wygląda raczej na substytut otwartej, międzyarabskiej konfrontacji militarnej.

Prawie wszystkie państwa Bliskiego Wschodu i niektóre kraje Afryki Północnej regularnie uciekają się do terroryzmu jako instrumentu sąsiedzkiej polityki zagranicznej. Na przykład serię zamachów bombowych w Syrii dokonanych w połowie roku 1996 przypisuje się niebezpodstawnie – Turcji, rozwścieczonej poparciem syryjskiego rządu dla PKK (Abdallah Ocalan przez całe lata rezydował w Damaszku, jego

ekspulsja z Syrii stała się pośrednią przyczyną ostatecznego schwytania go przez siły tureckie). Z kolei zmarły niedawno król Hussein oskarżył swego czasu Syrię (1996) o inicjowanie akcji terrorystycznych na terenie Jordanii. W latach 80-tych na skutek irańskiej polityki „eksportu islamskiej rewolucji” dokonano wielu operacji terrorystycznych nie tylko w niektórych krajach europejskich, ale i w Libanie oraz w Kuwejcie. Podobnie Libia, jeszcze jeden państwowy terrorysta, która w latach 70-tych i na początku 80-tych przeprowadziła szereg zamachów przeciwko własnym dysydentom mieszkającym w Europie i Stanach Zjednoczonych, ale także po sąsiedzku w Egipcie i Maroku.

Departament Stanu USA posiada czarną listę państw popierających terrorizm, czyli takich, które, według Amerykanów, międzynarodowa społeczność powinna karnie odizolować. Na liście tej znajduje się między innymi Iran, Irak, Libia, Syria, Sudan. Problem polega jednak na tym, że jakkolwiek istnieje pewien ogólny *consensus* co do faktycznych związków tych państw z ugrupowaniami terrorystycznymi, to często brak jest przekonujących rzeczowych dowodów na taką działalność, bo rola danego państwa w zamachach terrorystycznych jest zawsze niejawna.

Nawiasem mówiąc, jednym z największych sponsorów międzynarodowego terroryzmu był Związek Sowiecki, który przez całe lata szkolił, zbroił i finansował PLO oraz cały szereg innych ugrupowań. Także Polska uprzejmie gościła u siebie w hotelu Victoria w Warszawie niejednego z palestyńskich „bojowników” o wolność, nie mówiąc już o tym, że Karlove Vary w ówczesnej Czechosłowacji były autentyczną bazą szkoleniową PLO, a czeski wynalazek *semtex* bardzo przydawał się między innymi w zamachach dokonywanych przez IRA. Pozycja Stanów w kontekście terroryzmu również jest dość dwuznaczna: w końcu to sami Amerykanie w latach 80-tych udzielali poparcia finansowego (600 mln dolarów w broni, wyposażeniu i szkoleniu) mudżahedinom afgańskim, głównie zwolennikom Gulbakiana Hekmatyara. Po zakończeniu wojny afgańsko-sowieckiej, tysiące „bezrobotnych” bojowników o wolność Afganistanu, często przybyłych na „świętą wojnę” z muzułmańskich krajów Bliskiego Wschodu, straciło swój militarny status, stając się

potencjalnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa wewnętrznego Pakistanu, gdzie CIA utrzymywała ich bazy. Co więcej, ze względu na ich często fanatyczne przekonania religijne, wykazywali oni zawsze głęboką wrogość wobec Zachodu, głównie, cóż za ironia, Ameryki, co jednak nie przeszkodziło ani Amerykanom w dostarczaniu im pomocy w wojnie przeciwko Związkowi Sowieckiemu, ani mudżahedinom w jej przyjmowaniu (wróg mojego wroga...). Rząd amerykański trochę za późno zorientował się, że ci wyszkoleni przez CIA islamscy fanatycy w przyszłości mogą stać się zawadą na drodze do rozszerzania wpływów amerykańskich w arabsko-muzułmańskich rejonach świata oraz że są potencjalną antyamerykańską siłą terrorystyczną. I rzeczywiście, wielu arabskich mudżahedinów, wyrzuconych z Pakistanu po roku 1989, wróciło do siebie na Bliski Wschód, gdzie na przykład niektórzy zaciągnęli się w szeregi organizacji takich jak Hezbollah czy inne i gdzie ich legenda wojowników świętej wojny z niewiernymi włączona została do mitologii bliskowschodniego terroryzmu.

Fundamentalizm islamski

Jednym z „afganistów” – arabskich mudżahedinów walczących po stronie afgańskiej z Rosją – był Osama bin Laden, obecnie podejrzany o udział w zamachach bombowych na ambasady amerykańskie w Kenii i Tanzanii (sierpień 1998). Po wyjściu Rosjan z Afganistanu w roku 1989, bin Laden wrócił do ojczyzny Arabii Saudyjskiej (gdzie jego rodzina jest jedną z najbogatszych) w nimbie świętego wojownika o słuszną sprawę. Nawet jednak ultrareligijna i wyjątkowo konserwatywna Arabia nie znalazła uznania w oczach tego muzułmańskiego purysty. W roku 1990, po inwazji Iraku na Kuwejt, rząd króla Fahada udzielił pozwolenia Amerykanom na stacjonowanie na terenie kraju wojsk i wszelkich służb pomocniczych, w szeregi których wchodziły także kobiety, a nawet osoby pochodzenia żydowskiego. W oczach bin Ladena święta ziemia Mekki i Medyny uległa profanacji. Po czterech latach, rząd saudyjski, zirytowany jego nieustającą i coraz bardziej zapalczywą krytyką swojej pro-

zachodniej postawy (prozachodniej z konieczności, dodajmy, nie z wyboru) wyrzucił bin Laden z kraju, pozbawiając go przy tym obywatelstwa, a także rodziny, która się go bardzo szybko wyrzekła. Na wygnaniu bin Laden związał się z ekstremistycznymi grupami islamskimi, a usunięty z kolei z Sudanu, gdzie zamieszkał, znalazł ostatnio schronienie w Afganistanie, skąd dochodzą jednak chaotyczne wieści o poważnych konfliktach między Osama bin Ladenem a Talibami.

Osama bin Laden to w tej chwili najbardziej znany islamski fundamentalista, który wykorzystuje środki terrorystyczne do walki z USA, tym uosobieniem wszelkiego zła. Według raportów CIA to bin Laden sfinansował zamach bombowy w World Trade Center (1993), a także współdziałał w organizowaniu zamachu w Khobar Towers w Arabii Saudyjskiej (1996), gdzie zginęło 19 amerykańskich żołnierzy. Oficjalnie, bin Laden zaprzeczył, że miał cokolwiek wspólnego z tymi akcjami, ale ich wykonawców nie zawahał się określić mianem „bohaterów”. Do niedawna, „bin Laden był nikomu nieznanym ekstremistą, który obracał się w niebezpiecznych kołach. Teraz jednak, kiedy arabsko-izraelski proces pokojowy legł w gruzach, jego słowa zaczynają znajdować oddźwięk u wielu zwykłych Saudyjczyków. Twierdzi on, że amerykańska polityka zagraniczna ma silnie negatywne nastawienie wobec 1,2 miliarda muzułmanów żyjących na świecie. Cytuje cichą zgodę Amerykanów na ekspansjonistyczną politykę rządu izraelskiego oraz ich odmowę potępienia Izraela za ostrzelanie libańskiej ludności cywilnej w miejscowości Qana w 1996 roku. Amerykę obarcza też winą za śmierć tysięcy irackich dzieci spowodowaną przedłużającymi się sankcjami ONZ. Bez względu na fakty, opinie te podzielają miliony Arabów, łącznie z wieloma członkami saudyjskiej rodziny rządzącej” (*The Economist*, 29.08.1998).

Poglądy Osamy bin Ladena zbiegają się z ideologią fundamentalizmu islamskiego w jej wymiarze politycznym.

W książce „The Dual Nature of Islamic Fundamentalism” (Ithaca, Cornell University Press, New York, 1997), jej autor Johannes J.G. Jansen definiuje fundamentalizm islamski jako połączenie religii z polityką. W ten sposób kładzie nacisk na oczywisty, lecz czasami ignorowany fakt, że u jego podstaw leżą doktryny i idee religijne, a nie wyłącznie

warunki socjo-polityczne. Te ostatnie faktycznie mogą stanowić wystarczający warunek powstania innych fundamentalizmów i niektórzy znawcy przedmiotu chętnie podają je jako główny trzon radykalizmu muzułmańskiego, pomijając niezwykle istotny jego wymiar religijny. Definicja Jansena jest przesłanką o tyle kluczową dla zrozumienia zjawiska fundamentalizmu islamskiego, że mahometanizm jako religia żąda od swoich wiernych totalnego poddania („islam” znaczy właśnie poddanie, *submission*) i wysuwa roszczenia do władzy nad wszystkimi dziedzinami życia, nie tylko osobistego, ale także publicznego, w jego wymiarze politycznym, kulturalnym i gospodarczym. Fundamentalizm islamski, stanowiąc ścisły związek religii z polityką, paradoksalnie ma głęboki sens, gdyż jest jedynie logicznym dopełnieniem czy konsekwencją jednoznacznych zaleceń Koranu. Na dobrą sprawę każdy muzułmanin głębokiej wiary jest potencjalnym fundamentalistą.

Gwoli sprawiedliwości, należy jednak odróżnić postawę fundamentalizmu od konserwatyzmu islamskiego. W walce o ustanowienie muzułmańskiego państwa opartego o przepisy Koranu, radykalni fundamentaliści popierają używanie przemocy i uciekają się do antyspołecznych aktów terroru. Konserwatyści natomiast wybierają działania w obrębie istniejącego systemu politycznego i nie są adwokatami środków siłowych, choć ich celem także jest między innymi dogłębna islamizacja zsekularyzowanego społeczeństwa (jak np. w Egipcie i w Algierii). Fundamentalisci w ogóle odrzucają pojęcia społeczeństwa i rządu w rozumieniu zachodnich demokracji jako niezgodne z islamem. Allah będąc najwyższym suwerenem rządzi przecież także ziemskimi sprawami człowieka, w tym układami społeczno-politycznymi. Rozwinięcie tej koncepcji wyraża się w nawoływaniu do dżihadu czyli świętej wojny przeciwko wszystkiemu, czego nie sankcjonuje doktryna islamu, a więc systemowi państwa opartemu o model zachodni, świeckiemu wymiarowi sprawiedliwości, neutralnej religijnie edukacji, nie mówiąc już o wolności w sztuce, kulturze, rozrywce, telewizji, prasie itp. Konserwatyści z kolei nie zajmują się problemem koranicznej legitymizacji (czy raczej jej braku) doczesnej władzy, choć ze względów religijnych naturalnie interesują ich takie jej aspekty jak

kultura, pozycja społeczna kobiet i system kształcenia.

Warunki socjo-polityczne stanowią drugi filar islamskiego fundamentalizmu, który znajduje coraz szerszy i mocniejszy oddźwięk wśród uboższych warstw społecznych. Nieliczni bogaci, jak Osama bin Laden, zostają fundamentalistami dla idei, biedniejsi – z desperacji. Fundamentalizm nazywany jest islamem rewolucji, konserwatyzm zaś to islam bogactwa. Islam konserwatywny utożsamia się więc z petrodolarami, natomiast jego radykalny odłam przyciąga raczej tych, którzy i tak nie mają nic do stracenia, bo prowadzą egzystencję na tyle beznadziejną, że wolą przyłączyć się do fundamentalistów, i w ten sposób nadać swojemu życiu jakiś kształt i sens, nawet za cenę utraty życia w walce o zwycięstwo islamu nad światem. Kalkulacja zysków i strat zahacza tu jednak o metafizykę, gdyż muzułmanin poległy za islam automatycznie staje się męczennikiem i zaraz idzie do nieba, co jest dla niego najwyższym zaszczytem i wyróżnieniem (no i te rajskie chóry i rajskie hurysy...)

Fundamentalisci islamscy – Talibowie z Afganistanu, członkowie Bractwa Muzułmańskiego z Egiptu, Frontu Islamskiego z Algierii i innych, mniej znanych ugrupowań – wierzą, że w następstwie pełnej, dosłownej i powszechnej implementacji prawa koranicznego możliwe byłoby odrodzenie złotego wieku islamskiego (jak za czasów panowania pierwszych kalifów). Walka o wprowadzenie rządów koranicznych jest dla nich obowiązkiem religijnym i politycznym. Istniejące rządy świeckie w krajach tradycyjnie muzułmańskich, jak Egipt czy Algieria, stanowią tylko przeszkodę na drodze do tego celu i z tej przyczyny obalenie ich staje się misją fundamentalisty. Dokonane w tych krajach przejście od monolityczności władzy islamu do czegoś na podobieństwo zachodniego pluralizmu i demokracji widziane jest w kategoriach odstępstwa od samej religii. Prawo koraniczne apostazje bez wyjątku karze śmiercią, z tego zatem przepisu czerpią fundamentalisci prawo do terroru i zabijania politycznych przeciwników.

Fanatyczna wiara fundamentalistów w to, że islam jako system religijno-społeczno-polityczny rozwiąże wszelkie problemy nękające ludzkość w wymiarze globalnym oraz człowieka w jego indywidualnym wymiarze duchowym, czyni

z tej religii totalitarny reżim jednej racji i czarno-białego widzenia świata. Paradoksalnie, sam fundamentalizm nie powinien jednak być postrzegany w tak jednoznacznej płaszczyźnie ponieważ niejednokrotnie to, przeciwko czemu występuje w imię islamu, może wzbudzić sprzeciw w imię zupełnie odmiennych wartości. I tak, wracając do warunków socjo-politycznych, jakie sprzyjają rozwojowi islamskiego fundamentalizmu, nie da się zaprzeczyć, że pewne reżimy, które rządzą krajami muzułmańskimi w Afryce Północnej czy Azji, cynicznie przedstawiają się jako reprezentanci zachodnich idei demokracji oraz sprawiedliwości społecznej, podczas gdy w rzeczywistości pauperyzują i brutalizują całe społeczeństwa poprzez odmowę przeprowadzenia autentycznych reform socjalnych i politycznych. Tylko takie reformy bowiem dałyby szansę na złagodzenie istniejącego systemu, a zarazem stępiłyby ostrze wystąpień coraz bardziej zdeterminowanych fundamentalistów islamskich.

W tej sytuacji nietrudno jest radykałom zrzucić całkiem sporą część zła obecnej sytuacji w danym państwie na Zachód i jego cywilizację. Scenariusz konfrontacji ze światem zachodnim jest wygodnym, obszernym workiem, do którego z jednej strony wkłada się zepsucie moralne współczesnego świata, chciwość, materializm, permisywizm, upadek wartości duchowych, ateizm – z drugiej gestem prestidigitatora wyciągając hasło dżihadu, świętej wojny ze światem niewiernych, a także, obowiązkowo, z Izraelem, archetypicznym wrogiem Arabów i islamu. Głównym przedstawicielem świata zachodniego są Stany Zjednoczone, stały sojusznik Izraela. W płacówce reprezentującej ten kraj wymierzona jest duża część zamachów terrorystycznych przeprowadzanych przez radykalne ugrupowania islamskie i to zarówno te o ideologii wyłącznie religijnej, jak też bardziej upolitycznionej. Amerykanie zresztą nie pomagają sobie wcale swoimi politycznymi ekscesami, butą, arogancją, niekiedy mało przemyślanymi wystąpieniami oficjałów (jak np. szeroko i negatywnie komentowane oświadczenie z grudnia 1998, że bombardowanie Iraku będzie kontynuowane bez względu na rozpoczynający się właśnie, święty dla muzułmanów miesiąc postu, Ramadan). Wyjątkowo jednak trudne do przełknięcia jest dla Arabów nieugięte poparcie Stanów udzielane Izraelowi.

Z nadzwyczajnego radykalizmu i wrogości wobec Ameryki oraz państwa izraelskiego zasłynęła w pierwszych latach swojego istnienia Hezbollah, szyicka Partia Boża, powstała w roku 1982 w Libanie, a sponsorowana przez Iran. Jej żądania całkowitego wycofania się Izraela z południowego Libanu i wzgórz Golan popierane były nieprzejednaną retoryką religijną, czerpiącą inspiracje z Iranu; na wzór Ayatollaha Khomeiniego, Hezbollah ostro potępiała politykę bliskowschodnią Stanów Zjednoczonych jako antyarabską i antymuzułmańską, a jednocześnie niedwuznacznie dała do zrozumienia, że Amerykanie stacjonujący w Libanie będą celem jej bojowych poczynań. Groźby nie były pustosłowne: w roku 1983 w wyniku ataku Hezbollah na amerykańskie koszary zginęło 240 żołnierzy, terroryści dokonali też porwania Terry'ego Andersona i szefa stacji CIA Williama Buckleya oraz przeprowadzili co najmniej jeden zamach bombowy na ambasadę USA w Bejrucie.

Hezbollah, podobnie jak kilka innych organizacji fundamentalistycznych, oprócz frakcji walczącej posiada też odłam socjalno-polityczny. Ugrupowaniu temu udało się stworzyć imponującą bazę socjalną: posiada ono własne szpitale, daleko lepiej wyposażone niż rządowe, ma swoją sieć szkół, firm inżynierskich i budowlanych, ośrodków społecznych, gdzie między innymi rozdziela się żywność potrzebującym. Rodziny „męczenników” poległych za sprawę islamu oraz zwycięstwa nad Izraelem otrzymują od Hezbollah regularne zapomogi pieniężne. W ciągu wielu lat swojej radykalnej, terrorystycznej działalności Hezbollah konsekwentnie poszerzała wpływy wśród libańskich szyitów, ale nie tylko: z ich szpitali na przykład mogli też korzystać chrześcijanie. Partia Boża faktycznie zyskała wielu zwolenników, choć nie wszyscy okazują się fundamentalistami: duża część szyickiej klasy średniej popierającej Hezbollah w Libanie ma dość luźny stosunek do praktyk religijnych.

Ostatnimi laty Hezbollah z radykalnej islamskiej organizacji terrorystycznej zaczęła przeistaczać się – częściowo – w partię polityczną, przechodząc coś na kształt metamorfozy „od radykalizmu do pragmatyzmu”, jak określił to w tytule swojego eseju na ten temat A.R. Norton (*Middle East Policy*, vol. V, Nr 4, styczeń 1998). Wygląda na to, że od

połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy izraelsko-palestyński proces pokojowy począł nabierać jakby bardziej realnych wymiarów, Hezbollah coraz wyraźniej zaczyna zdawać sobie sprawę ze stojącego przed nią pytania: co robić, jeśli Izrael faktycznie wycofa się z południowego Libanu, a może nawet ze wzgórz Golan? Dać się rozbroić? Pozwolić odsunąć się na margines mniej wojowniczym ugrupowaniom, które zgarną władzę? Względy *realpolitik*, jak pisze Norton w swoim szkicu, okazują się silniejsze niż religijne i polityczne krasomówstwo walczącego radykalizmu. W oficjalnych wypowiedziach Hezbollah coraz częściej podkreśla konieczność nawiązania dialogu z USA, a nawet naprawy swojego wizerunku w Ameryce. Rzecz jasna, Izrael nadal pozostaje wrogiem, ale wraz z upływem czasu i rozwojem sytuacji (a w Izraelu wybory za pasem) i z Tel Avivem trzeba się będzie układać. Dlatego Hezbollah stała się poważnym graczem na libańskiej scenie politycznej, biorąc na przykład udział w wyborach do parlamentu w latach 1992 i 1996.

Norton zadaje istotne pytanie: w jaki sposób włączenie radykalnych opozycyjnych ugrupowań islamskich do otwartej gry politycznej może wpłynąć na ich poczynania i cele? Jest to pytanie niezwykle istotne wobec żywotności fundamentalistycznej opozycji na Bliskim Wschodzie i w niektórych krajach Afryki Północnej. Trzeba przyznać, pisze Norton, że w większości przypadków ruchy islamistyczne nie mają jak na razie dużych szans na zdobycie więcej niż jednej czwartej lub co najwyżej jednej trzeciej miejsc w parlamentach swoich krajów. W tym sensie doświadczenie algierskie (po wyborach do algierskiego Zgromadzenia Narodowego wygranych w grudniu 1991 przez islamską partię FIS, władzę w kraju przejęło wojsko, zamiast oddać ją w ręce zwycięskich islamistów) stanowiło wyjątek zaistniały ze względu na samą strukturę wyborów, dzięki której zwycięzca bierze wszystko, co być może przesadnie wyolbrzymiło sukces FIS.

Ruchom fundamentalistycznym bez wątpienia chodzi o władzę. Siłowe jej zdobycie okazuje się o tyle nierealne, że nawet stosując jak najbardziej krwawe środki terrorystyczne radykalne ugrupowania islamskie nie mają fizycznych szans na wyeliminowanie z gry rządowej armii i policji oraz obalenie chronionego przez nie systemu państwowego. Muszą też

liczyć się z poparciem lub raczej jego brakiem ze strony społeczeństwa, które na dłuższą metę nie zaakceptuje terroryzmu, bo to jemu w ostatecznym rozrachunku przyjdzie zań zapłacić.

Szyicka Hezbollah stanowi tu dobry przykład organizacji, która nie rezygnując z celów politycznych, zdecydowała się jednak choć w pewnym stopniu upragnatycznic swoje dzialania. Szyici to zaledwie 40% mieszkancow Libanu, a przy tym nie kazdy szyita popiera Partie Boza. Poza tym, zgodnie z libanskim systemem parlamentarnym, muzulmanie mogu ubiegac sie tylko o polowe miejsc w parlamencie, druga polowa bowiem przyznana jest wyznaniom nie-islamskim. Hezbollah, chcac legalnie brac udzial we wzladzy, musi wziec wziaz pod uwage i religijna heterogenicznosc libanskiego spoleczenstwa, i sam system obieralnosci jego reprezentantow w rzadzie. Norton przekonuje nas w swoim eseju, ze mozliwosc partycypacji radykalnych ugrupowan islamskich w rzadach kraju zacheca do myslenia pragmatycznego i kompromisowego, zniecheca natomiast do rozwiazan silowych. Oczywiscie, mozna kontrargumentowac, ze „udzial takich grup w polityce jest czysto instrumentalny, ze ich celem jest polityczna dywersja, a partycypacja w legalnym systemie tylko fortelem”. Norton pisze jednak dalej, ze „perspektywa taka jest bledna, zakorzeniona w idealistycznej wizji polityki partycypacji, ktora to wizja po pierwsze nie docenia stopnia, w jakim polityka sama w sobie stanowi cel dzialan, a po drugie ignoruje „pragmatyzujacy” efekt zwyczajnej polityki na grupy ja uprawiajace”. Inne ugrupowania o radykalnym, islamskim profilu – takie jak Jamaat i Islami w Pakistanie, Refah w Turcji czy Front Akcji Islamskiej (The Islamic Action Front) w Jordanii – z powodzeniem wzspolzawodniczyly z innymi partiami w wyborach w swoich krajach, ale musialy zarazem przyjac do wiadomosci oraz pogodzic sie z faktem, ze nie sa w stanie bez rewolucji zmienic obecnych struktur politycznych na teokracje muzulmanska, bo wieksznosc spoleczenstw nie pragnie wcale religijnego reżimu na wzor panujacego w Iranie czy – w jeszcze bardziej skrajnej postaci – w Afganistanie.

Fundamentalizm jest ruchem oddolnym, popularnym wzród slabiej wykształconych i biedniejszych rzesz muzulma-

nów. Ci tylko wyjątkowo mogą wybić się na polityczne szczyty i zacząć ubiegać się o legalną władzę. Tak zwane brzydki masy nadal będą podatne na populistyczne hasła islamskiego fundamentalizmu, na muzulmański fanatyzm, na wezwanie do zabijania „wrogów”. Warto przypomnieć sobie słowa Jerzego Stempowskiego, który pisał: „Człowiek zabijający i znęcający się nad innym z fanatyzmu jest najbardziej przynębiającym widokiem. (...) Nawet widok człowieka, który zabił za 10 zł nie jest tak beznadziejny, bo zostawia otwarte przypuszczenie, że dając mu 10 złotych, można było powstrzymać go od zbrodni. Fanatyk nie zostawia nawet tego złudzenia”. (Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, „Listy 1946-69”, cz. I, list z dn. 27 X 1957). Słowa Stempowskiego stanowiły komentarz do rozfanatyzowanych Żydów, ale równie dobrze mogłyby się odnosić do każdego innego fanatyzmu. Przywykliśmy ostatnio kojarzyć fenomen fanatyzmu i fundamentalizmu prawie wyłącznie (i często zasłużenie) z radykalnymi odłamami islamu, ale przecież istnieje wiele jego rodzajów: fanatyczni fundamentalisci hinduizmu zabijają indyjskich muzulmanów, fanatyczni protestanci – irlandzkich katolików. I *vice versa*. Fundamentalizm i jego nieodłączny cień, fanatyzm, wydaje się być chorobą wirusową, najlepiej więc jak ognia unikać kontaktu z osobami zarażonymi.

Magdalena ROSTRON

Trzy kryzysy

W niniejszym tekście spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy kryzysy lat 90-tych: szwedzki, meksykański i azjatycki stanowiły jakieś *novum* w historii gospodarki i czy posiadały pewne cechy wspólne, pozwalające ewentualnie przewidzieć kryzysy przyszłe. Poniższy opis trzech kryzysów jest z konieczności uproszczony, co wynika z jego publicystycznego charakteru, narzucającego także ograniczenia objętościowe.

Kryzys szwedzki

Dość powszechnie przyjmowany jest pogląd, iż szwedzki kryzys – który rozpoczął się 25 września 1990 – spowodowany był wieloletnim rozwydrzeniem socjalnym i nadmiernym rozrostem sektora publicznego. Jednakże pogląd ten słuszny jest jedynie częściowo.

Nikt nie neguje, że szwedzki sektor publiczny był (i jest nadal) nie tylko nadmiernie rozdęty, ale w dodatku mało efektywny, zwłaszcza w zakresie serwisu socjalnego. Choć Szwecja wydaje na ten serwis najwyższy procent PKB w Europie, bo aż 34,8%, to jednak pod względem wysokości sum rozdzielanych w postaci emerytur, rent chorobowych, zasiłków etc. znajduje się dopiero na czwartym miejscu wśród państw Unii. Ranking ten jest bardzo ścisły, gdyż wysokość wypłat obliczana jest w umownej jednostce PPS (*Purchasing Power Standards*), a więc po eliminacji różnic cenowych, kursowych etc. opiera się o nagą siłę nabywczą. Gdyby Szwecja np. chciała osiągnąć duński poziom świadczeń

społecznych, to – przy utrzymaniu obecnej metodyki rozdziału – na serwis socjalny musiałaby wydawać aż 40% swojego PKB. System szwedzki oparty jest tradycyjnie o bardzo wysokie podatki (a więc niskie pensje netto), pewne spłaszczenie dochodów pracobiorców i tzw. transfery społeczne, cechujące się zresztą szeregiem osobliwości (np. zasiłek rodzinny wypłacany jest na każde dziecko, z progeneriturą milionerów włącznie). Jednak podatki od czasu ich ustanowienia były w Szwecji wyższe niż w innych państwach Europy, a w dzisiejszych czasach Szwedzi chętnie płacili je z nadzieją, iż w zamian otrzymują lepszy serwis społeczny. Teraz płacą je już mniej chętnie, choć jeszcze – i na szczęście dla establishmentu – nie do końca zdają sobie sprawę, iż system redystrybucji działa wadliwie, a serwis społeczny jest już gorszy niż w kilku innych państwach europejskich.

Jednakże głównych przyczyn kryzysu z lat 1990/91 należy szukać gdzie indziej. Jedną z ważniejszych była deregulacja sektora finansowego z roku 1985 (zresztą niezbędna, a nawet przeprowadzona zbyt późno) i liberalizacja polityki kredytowej. Należy zaznaczyć, iż deregulację przeprowadzono w momencie wyjątkowej *prosperity*: świetna koniunktura, praktycznie pełne zatrudnienie, wysoka konsumpcja, wyjątkowe zyski wielkich koncernów szwedzkich z eksportu i budżet tak stabilny, iż dyskutowano możliwość zwiększenia okresu urlopowego o jeden tydzień (a więc do poziomu niemieckiego) oraz obniżenia podatków. Deregulacja spowodowała jednak nie tylko napływ zagranicznego pieniądza; także szwedzkie koncerny, działające w skali globalnej i wyjątkowo potężne w stosunku do wielkości kraju, zaczęły nadmiar swoich kapitałów inwestować w akcjach, nieruchomościach, na rynku walutowym oraz zakładać własne firmy finansowe. Ponadto banki, zmuszone do nagłej konkurencji z innymi domami finansowymi, porzuciły swoją tradycyjną strategię minimalizacji ryzyka i zaczęły łowić kredytobiorców za każdą cenę. Ponieważ inflacja rosła, a system podatkowy umożliwiał odpisy odsetek, zaciąganie pożyczek samo w sobie stało się interesem: realna stopa oprocentowania spadła z 2% w roku 1986 do minus 1% w roku 1990. Nic dziwnego, że w latach 1985-90 zadłużenie sektora prywatnego wzrosło ze 100% do 150% szwedzkiego PKB. Ceny nieruchomości czy

czynszów biurowo-handlowych przekroczyły wszelkie granice rozsądku, prywatne oszczędzanie stało się nieopłacalne, a pieniądź było łatwo każdemu, a szwedzkie banki same zaciągały coraz większe pożyczki na międzynarodowym rynku (w niektórych wypadkach 1/3 udzielonych kredytów pochodziła z pieniędzy pożyczonych).

Balonik został przekłuty 25 września 1990, gdy mała znana firma finansowa Nyckeln musiała przyznać się do strat kredytowych rządu 250 milionów SEK. I tak ruszyła lawina. Zdarzało się, że bankrutowały po 2-3 firmy finansowe jednego dnia; łącznie przestało istnieć 2/3 firm tego typu (a więc ponad 200). Najbardziej zostali uderzeni właściciele horrendalnie wycenianych nieruchomości, których wartość spadła o 75%. Z jednym jedynym wyjątkiem (Handelsbanken) zostały zachwiane wszystkie szwedzkie banki i rząd musiał powołać specjalne „bankowe pogotowie ratunkowe”. Straty kredytowe w latach 1990-93 osiągnęły ogromną sumę 200 miliardów SEK¹. Kursy giełdowe spadły przynajmniej o połowę (a banków aż o 80%). Do tego dołączył się atak przeciwko koronie na rynkach walutowych. Mimo że w obronie waluty swojego kraju szwedzki bank centralny podniósł okresowo rentę krótkoterminową do niespotykanej wysokości 500%, stały kurs trzeba było porzucić i korona popłynęła 19 listopada 1992. Przy okazji warto sprostować tezę fałszywą, choć przez różnych dziennikarzy często wypowiedaną. Do obalenia szwedzkiej korony przyczyniły się nie tylko firmy typu Quantum G. Sorosa, ale przynajmniej w równym stopniu szwedzkie firmy ubezpieczeniowe i fundusze emerytalne. One również przeznaczały wielkie sumy na spekulację przeciwko koronie, gdyż – jak to szczerze wyznał jeden z maklerów – obowiązuje ich tylko lojalność wobec akcjonariuszy i klientów, a nie wobec własnego państwa. Krach przekłutego balonika pogorszyła jeszcze reforma podatkowa z roku 1991. Była ona wprawdzie konieczna (zachęcając m.in. do oszczędzania), ale w aktualnej sytuacji kraju przypominała dawne leczenie syfilisu malarią: gwałtownie spadł popyt wewnętrzny, a w rezultacie zmniejszonego zapotrzebowania na towary

1. Szacunku takiego dokonał J.A. Lybeck w swojej pracy „Facit av finanskrisen”, Stockholm 1994.

i usługi oraz antyinflacyjnej polityki rządu, bezrobocie w latach 1990-1993 wzrosło aż 9-krotnie. Aczkolwiek wina nie leżała wyłącznie po stronie sprawującego władzę w latach 1991-94 bloku mieszczańskiego z silnie neoliberalnym premierem Bildtem na czele, nie da się uniknąć konstatacji, iż to pod rządami prawicy stanęła Szwecja na skraju ruiny. W roku 1994, gdy socjaldemokraci powrócili do władzy, sam tylko deficyt budżetowy sięgał 12% PKB.

Szwecji udało się samodzielnie przezwyciężyć unikalny kryzys. Dziś jest to kraj stabilny o prawie zerowej inflacji, 3-procentowym wzroście w ubiegłym roku i nadwyżce budżetowej rządu 1,9% PKB. Ale zapłacili za to wszyscy obywatele. Według bardzo skromnych wyliczeń sama tylko pomoc dla szwedzkich banków kosztowała szwedzkich podatników 35 miliardów SEK². Pozostało wysokie bezrobocie, a pod względem siły nabywczej *per capita* spadła Szwecja na 18 miejsce wśród krajów OECD. Gwałtownie wzrosły koszty pomocy społecznej, stanowiącej już ostatnią osłonę przed nędzą i bezdomnością. W latach 1990-97 koszty tej pomocy wzrosły z 6 do 12 miliardów SEK i to mimo znacznego zaostrzenia zasad jej przyznawania. W roku 1996 otrzymywało ją co dziesiąte szwedzkie gospodarstwo domowe, a za szczególnie niepokojące uznać trzeba, iż 27% tzw. „przypadków socjalnych” stanowili Szwedzi poniżej 25 roku życia, którym nigdy nie udało się wejść na rynek pracy (SOU 1999, 46).

Kryzys szwedzki był przede wszystkim kryzysem sektora prywatnego, miał charakter finansowy, oparty o nadmierną kapitałową podaż i popyt³, a zapłacili za niego wszyscy podatnicy. Lekcję tę warto zapamiętać, gdyż za chwilę będziemy ją przerabiać jeszcze dwukrotnie.

2. Sumę 35 miliardów SEK podają P. Jennergren i B. Näslund w artykule opublikowanym w *Ekonomisk Debatt*, nr 1/1998. Przez innych ekonomistów suma ta oceniana jest jako zbyt skromna.

3. Dokładnie taką diagnozę szwedzkiego kryzysu stawia fiński profesor Ari Kokko z Åbo Akademi w swoim artykule opublikowanym w *Ekonomisk Debatt*, nr 1/1999, wykorzystanym także w niniejszym tekście.

Kryzys meksykański

Aczkolwiek kryzys szwedzki nie został przewidziany przez żadnego z wiodących ekonomistów, to jednak w opinii wyznawców ekonomii neoliberalnej był w pełni zasłużony. Szwecja – ze swoimi ambicjami trzeciej drogi, przesadnym wręcz egalitaryzmem i wieloma dekadami lat rządów lewicy – budziła instynktowną niechęć wśród wszystkich zwolenników naturalnego porządku, opartego o ostre różnice socjalne i przyjmowaną za aksjomat tezę, iż świat należy tylko do bogatych.

Jednak Meksyk był niejako przeciwieństwem Szwecji. Carlos Salinas, prezydent w latach 1988-94, cieszył się unikalnym zaufaniem w gronie administracji IMF, Banku Światowego oraz amerykańskich bankierów i inwestorów finansowych. Właśnie Salinasa uznawał rząd amerykański za najlepszego kandydata na stanowisko szefa WTO (World Trade Organization), a w raportach Banku Światowego meksykański prezydent wymieniany był jako wzór dla przywódców innych krajów. Salinas i główny architekt jego reform gospodarczych (oraz następcą na stanowisku prezydenta), Ernesto Zedillo, skądinąd doktor ekonomii z Yale University, mogli się pochwalić nawet większymi sukcesami niż nasz Leszek Balcerowicz: rozbili związki zawodowe, przeprowadzili szeroko zakrojoną prywatyzację (dochody ze sprzedaży telekomunikacji i banków przeznaczono na spłaty zagranicznego zadłużenia), zredukowali i oczyścili aparat biurokratyczny, inflację obniżyli do zera, a w latach 1992 i 1993 Meksyk, kraj notorycznego deficytu, mógł się już chwalić nadwyżką budżetową. Salinas, zwolennik jak najściślejszej współpracy z USA, był też jednym z architektów NAFTA (North American Free Trade Agreement). Rosnące grupy zamożnych Meksykanów zachęcane były do coraz większej konsumpcji, zwłaszcza importowanych dóbr luksusowych, a prasa anglosaska prześcigała się wręcz w obsypywaniu komplementami kraju, który przez sam *The Economist* nazwany został w specjalnym dodatku *the perfect student of economics*. W translacji na język mniejszości metaforyczny oznaczało to, że Meksyk jest najposłuszniejszym wykonawcą dyrektyw IMF. Tylko nieliczni, najbardziej

wnikliwi obserwatorzy światowej sceny gospodarczej przebiekali nieśmiało, iż na azteckim słońcu widać pewne plamki (jedną z nich był w styczniu 1994, w prowincji Chiapas bunt indiańskich nędzarzy). Nieliczni pesymiści zwracali również uwagę, że np. prawie zerową inflację osiągnięto za cenę przewartościowania waluty (Salinas konsekwentnie odmawiał dewaluacji ze względów prestiżowych) i stałego dopływu „gorącego pieniądza” (*hot money*). Bowiem warunkiem członkostwa Meksyku w OECD było zniesienie wszelkich restrykcji obrotu kapitałowego. W rezultacie do kraju napłynęły wielkie sumy tzw. kapitałów spekulacyjnych; ocenia się, że 73% wszystkich inwestycji zagranicznych w Meksyku w latach 1989-94 stanowiły krótkoterminowe lokaty na rynku finansowym. Firmy finansowe rosły jak grzyby po deszczu, nieruchomości były przewartościowane, kredyt łatwy – szeregu analogii z sytuacją szwedzką nie da się sprowadzić tylko do fenomenu ekonomicznej paraamnezji. Już w chwili, gdy ex-prezydent Salinas przezornie udawał się do Irlandii (z którą Meksyk nie ma umowy o ekstradycji), rozmaici *insiders* – z natury rzeczy dysponujący lepszą informacją niż inwestorzy zagraniczni – uciekali od rodzimej waluty do dolara i niemieckiej marki. Ponieważ operacje takie są niemożliwe do ukrycia, wkrótce poszli w ich ślady finansisci zagraniczni, głównie amerykańscy, którzy mieli ulokowane w Meksyku 50 miliardów USD. Jednak, w przeciwieństwie do kryzysu szwedzkiego, meksykański zaczął się odbijać na wszystkich tzw. *emerging markets*. Prezydent Clinton nie miał możliwości ratowania Meksyku, gdyż Newt Gingrich zapowiedział, iż Kongres nie uchwali dodatkowych kredytów dla tego kraju. Pozostawały jedynie instytucje międzynarodowe. Znalezione pieniądze na dodatkowe kredyty pod warunkiem przyjęcia przez meksykańskie państwo pełnej odpowiedzialności płatniczej za wkłady zagranicznych inwestorów finansowych. Ekonomista ze sztokholmskiej Wyższej Szkoły Handlowej, Stefan de Vylder, bardzo trafnie zauważa, iż oryginalny, choć efektywny sposób opanowania kryzysu meksykańskiego przygotował kryzys azjatycki i kryzysy, które dopiero nastąpią⁴.

4. *Ekonomisk Debatt*, nr 2/1999. Niniejszy tekst wiele zawdzięcza wspomnianemu artykułowi S. De Vyldera.

Ponadto, co również zauważa de Vylder, gdy szef IMF, Francuz Michel Camdessus, dn. 30 stycznia 1995 zagwarantował dla Meksyku – na prośbę amerykańskiej administracji, ale wbrew statutowi IMF! – sumę 17,7 miliardów USD i dalsze 10 miliardów USD z BIS (Bank of International Settlement), to – mówiąc z grubsza – dokonał transferu pieniędzy meksykańskich i europejskich podatników na rzecz amerykańskich funduszy emerytalnych (gdyż one to były największymi spekulantami w Meksyku). Nawet amerykańscy ekonomiści używali zwrotu *bail-out for speculators*. Sam Michel Camdessus też wcale nie ukrywał, że w sumie był to prezent podatników dla nielicznej grupy bogaczy, ale – jak powiedział autorom książki „Die Globalisierungsfalle” – „świat jest przecież w łapach tych facetów”.

Kryzys meksykański, jak również późniejszy kryzys azjatycki, ujawniły w dodatku szczególną osobliwość światowej gospodarki. Ten, kto kupuje obligacje i rewersy jakiegś państwa lub pożycza pieniądze jego prywatnym bankom i firmom finansowym (które z kolei inwestują je w akcjach i nieruchomościach), czuć się może zupełnie bezpieczny. W wypadku kryzysu traci bowiem tylko ten, kto na-bywał wartości realne (przedsiębiorstwa produkcyjne i usługowe, nieruchomości etc.), a wymuszonymi przez IMF gwarancjami osłaniani są ci, którzy kupowali papierki kredytowe, aby spekulować na ich przyszłej wartości. Przytaczany powyżej Stefan de Vylder nazywa tę osobliwość perwersyjnym bodźcem; mocne słowa, ale też ów brak równego traktowania sprowadza się do tego, iż IMF, a także stojący za nim rząd USA, w praktyce każe bić producentów i kupców, a osłaniać – lichwiarzy.

Kryzys azjatycki

Głównym autorem wydanego przez AsDB (Asian Development Bank) w maju 1997 opracowania „Emering Asia. Changes and Challenges” był harwardzki ekonomista, Jeffrey David Sachs. W Polsce Jeffrey Sachs – ostatecznie mentor Leszka Balcerowicza – uznawany jest wręcz za najwybitniejszego ekonomistę świata, na Zachodzie – za ekonomistę dość

kontrowersyjnego, choć nikt nie odmawia mu ani zasług (np. opanowania boliwijskiej hiperinflacji), ani ciekawych prac (w rodzaju klasycznej już *Economics of Worldwide Stagflation*, której był współautorem). Zarówno w tym opracowaniu, jak w szeregu innych *outlooks* (np. IMF), światłana przyszłość całego regionu – z przewidywanym wzrostem PKB rządu 7% rocznie – przedstawiana była w różanych barwach. Kryzys niespotykanych rozmiarów zaczął się w Azji w miesiąc po opublikowaniu w/w opracowania „Emerging Asia”⁵. Nikt nie odmawia J. Sachsovi prawa do błędu. Chodzi tylko o podkreślenie faktu, że żaden z wiodących (czytaj: anglosaskich) ekonomistów nie przewidział anglosaskiego kryzysu, prawdopodobnie dlatego, że wskaźniki makroekonomiczne dotkniętych krajów były znakomite. Ponadto – w przeciwieństwie do Szwecji i Meksyku – Azja Południowo-Wschodnia nie potrzebowała spekulacyjnych kapitałów, które do niej napływały. O ile w połowie lat 90-tych produkcja azjatycka stanowiła *ca* 25% całej produkcji globalnej, o tyle oszczędności ludności – aż 50% wszystkich oszczędności świata. Problemem były natomiast wysokie, wewnętrzne stopy procentowe. Kto chciałby pożyczać tajlandzką walutę na 10% rocznie, skoro mógł pożyczyć dolary na 5%? BIBF (Bangkok International Banking Facility) istniał właśnie po to, aby ułatwiać transfer amerykańskich i europejskich kapitałów do rodzimych inwestorów. Zadłużenie sektora prywatnego rosło więc błyskawicznie, ale nikt się tym nie przejmował, skoro o pieniądze było tak łatwo. Ceny nieruchomości rosły w sposób szalony i w Bangkoku, niczym dziś w Warszawie, też byli bardzo dumni, iż ceny 1 metra kwadratowego przekroczyły u nich ceny Manhattanu. Pewną specyfiką były szczególnie silne w Azji (a zawsze szkodliwe!) zrosty polityki z gospodarką. Kto nie pożyczylby pieniędzy firmie inwestycyjnej, której właścicielami byli krewni pana Suharto? Kto odmówiłby kredytu jakiemuś potężnemu *chaebol*, którego szef spowinowacony był przez

5. Kryzys azjatycki jest bardzo obszernie omówiony na Internecie i to także piórami najbardziej znanych ekonomistów świata. Autor niniejszego tekstu korzystał z *home page* New York University pt.: „What Caused Asia's Economic and Currency Crisis and Its Global Contagion” (stan na kwiecień 1999).

zonę z prezydentem Korei? Choć cały kryzys zaczął się od dewaluacji waluty tajlandzkiej (za którą poszły inne dewaluacje), miał on nie charakter walutowy, a finansowy. Bardzo ciekawie ujął to Paul Krugman z MIT (Massachusetts Institute of Technology), jeden z najciekawszych ekonomistów amerykańskich⁶.

Podsumowanie

W publikacjach popularnych, zwłaszcza polskich, kryzys gospodarki jakiegoś państwa utożsamia się z reguły z nieodpowiedzialnym działaniem jego rządu, rozbudowującym sektor publiczny przy akceptacji budżetowego deficytu, inflacji etc. Lata dziewięćdziesiąte pokazały, iż kryzysy takie należą już chyba do przeszłości. Omówione pokrótce trzy kryzysy należą do innego typu: wszystkie dotyczyły głównie sektora prywatnego i miały charakter finansowy, związany z nadmiernym popytem i podażą kapitału. Kryzys meksykański i azjatycki są szczególnie znamienne, gdyż nie zostały przewidziane ani przez IMF, ani przez żadnego z najgłośniejszych ekonomistów. Egzaminu nie zdały też najbardziej cenione na świecie instytuty oceny wiarygodności kredytowej: Moody's i Standard & Poor's. Gwoli sprawiedliwości należy zaznaczyć, iż kryzys meksykański i azjatycki były przewidywane przez niektórych praktyków-właścicieli przedsiębiorstw oraz przez paru starych dziennikarzy ekonomicznych, rezydujących w tamtejszych krajach (ich ostrzeżeń najczęściej nie chciano drukować). Po prostu eksperci związani z IMF, uniwersytem Harvarda czy instytutami ratingowymi przywiązywali przesadną wagę do wskaźników makroekonomicznych.

W tej materii niestety niewiele się zmieniło i także dziś np. taką Koreę Południową inaczej oceniają eksperci IMF oraz dygnitarze OECD (jak Donald J. Johnston), a inaczej dziennikarze i analitycy rezydujący na miejscu (np. Stephen Marvin, który z ramienia *Jardine Fleming Securities* spędził w Seulu ostatnich siedem lat. D. Johnston mówi o zdumie-

6. P. Krugman: „What Happened to Asia”, MIT, styczeń 1998.

wającym tempie reform i przezwyciężeniu kryzysu; S. Marvin twierdzi, że reformy jeszcze się nie zaczęły, a kryzys – musi się pogłębić⁷. Ekonomia nie jest oczywiście nauką ścisłą, ale jeżeli w ogóle ma być nauką, to oceny jej przedstawicielei muszą być pozbawione ideologicznego stygmatu. Dziś mówi się często żartobliwie, że warunkiem wystąpienia kryzysu w jakimś kraju jest chwalenie go przez IMF oraz *Economist* i *Financial Times*. Warto o tym pamiętać, gdy się czyta w polskiej prasie, że w naszym kraju nie ma żadnego kryzysu, bo pochwalił nas *Financial Times*. Polska – podobnie jak i trzy państwa bałtyckie – wytraciła impet rozwojowy i przeżywa szereg trudności, częściowo wywołanych kryzysem azjatycko-rosyjskim, a częściowo zawinionych przez obecną koalicję. Jednak tym, czy z omówionych powyżej trzech kryzysów lat 90-tych wynikają jakieś wnioski dla naszego kraju zajmujemy się w drugiej części niniejszego tekstu, w kolejnym numerze *Kultury*.

Stefan ABNER

7. Tygodnik *Affärsvärlden*, 28 IV 1999.

Wiersze

Tadeusz CHABROWSKI

TATARAK

Zaplątałem się w zapytania do pytań,
które rodzą się tu pod gołym niebem
i umierają;
Od gramatyków greckich nie nauczyłem się
nic, język nie mówi dokładnie
tego o czym szumią drzewa,
wrzawa ziół wokoło mnie nie przypomina
w niczym brzmienia słów;
wszystkie alegorie opierają się
na fałszywych waśniach diabła z Bogiem.

Tadeusz CHABROWSKI

Wojciech KAWIŃSKI

MAŁY PASTISZ Z ALUZJAMI

Temu wolno tej też wolno temu nie
coś się dzieje między nami w brudnej mgle

Jakaś fraza zagubiona moknie w tlenie
a pod murem ktoś zostawia rdzawy wieniec

Twarz poety jest już liściem albo glebą
w niej odbija się jak w lustrze gęste niebo

Pełne znaków czyli znaczeń wykrwawionych
także ogni wykrzesanych z chmur ambony

Pod Psią Gwiazdą leży Niedźwiedź syberyjski strażnik
słabo bije cierpkie źródło wyobraźni

Gdy poranek zamiast wierzb słucha łomotu kół
po głodziźnie szosy prowadzącej w dół

Między nie-kosmiczne przestrzenie przypadków
tam gdzie przeciwności losu rymują się gładko

A krajobraz nie jest wolny od przekłamań
bo ktoś wciąż próbuje wrobić nas I spuścić w kanał

Temu idzie jak po maśle choć jest chromy
tamten biegnie ale gubi go gwiazda ironii

Gry anielskie są jak ziemskie życie
słysząc koncert szept i zwykłe wycie

II 1999

35 LAT TEMU

*Przemijanie jest bowiem prawem
kopca mrówek lub termitów, których
kłębowisko nigdy nie miało swojej
historii (...)*

Witold Wirpsza

zima, mróz,
śnieg powyżej kolan
(na przedpolach miasta);

zjazd pisarzy – w jego
ciasnych ramach
wieczór autorski
starych, niezwywych poetów;
czytają tradycyjne, także
hermetyczne, wiersze
(Iwaszkiewicz, Słonimski,
Wirpsza, Śpiewak, Jastrun);

zapamiętałem nie metafory,
nie tkankę wiersza
lecz barwę głosu, twarz;
ruch ręki,
zakończony podpisem
na karcie książki,
którą mam przed sobą –
szarą, pobrudzoną,
ze śladami palców;

dzisiaj,
świadków mojej młodości
wspomina się milczeniem;
wiem o tym,
bo sam nie jestem bez winy –

1999

Wojciech KAWIŃSKI

KOWAL

MARCOWE TŁUMACZENIE POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO W KANADZIE W 1999 ROKU

Tłumaczę
„Szesnastoletnią śmierć”
Świrszczyńskiej
na język angielski
moja osiemnastoletnia córka

sprawdza składnię umierania
tak by miała ręce i nogi
była młoda i wiaryGODna
w obcej wymowie

Tłumaczę „Szczeniakowi”
na język angielski
cierpliwie jak Świrszczyńska

że rzucać
przekleństwami w stróża
i butelkami w czołgi
zajęciem jest
nader niebezpiecznym

moi kanadyjscy koledzy
przestraszeni chowają głowy
przed ogniem słów „Szczeniaka”

Tłumaczę dlaczego
niewinne „Śmiertelne Oczy”
wpatrzono są właśnie w nich –
świadków różnojęzycznych

a oni wstydliwie
przymykają swoje

*

Tłumaczył mi ojciec przed laty
gdym szczeniakiem był
że ruiny widoczne
z okien tramwaju
urośli podczas wojny

szukałem tej wojny
na moich podwórkach
i dziwiłem się że nic nie rośnie

teraz kiedy przekładam
ruiny z języka na język
nie dziwię się już

Toronto, marzec 99

Irving LAYTON

DLA 7515 – 03296

Twoje oczy są ciemne i tragiczne jak historia
kiedy patrzysz na pocztówkę z wsią w dalekim tle;
jesteś wyróżnionym absolwentem Auschwitz
i nieuleczalnej podłości gatunku homo sapiens,
a twoje kruche ramię z wytatuowanymi cyframi
odważnie pokazuje dla świata uzyskane stopnie

Za każdym razem, mój drogi, gdy widzę twą obnażoną postać
na tej opuszczonej plaży, moje serce rozdarte jest
przez miłość i nienawiść, podziw i wstręt,
szacunek i wściekłość aż do momentu, gdy moje zmysły
skaczą jak oparzony owad pomiędzy rozgrzаныmi skałami
i stają się głuchy na wszystko oprócz łoskotu dzikich fal

I choć wiem, że wszyscy niewinnie pomordowani
zmartwychwstali w nas i w każdej kochającej się parze;
wyobraź sobie bezkresny horror obozu śmierci,
nieskazitelny leksykon diaboliczności ludzkiej –
klnę zapamiętałe w słodkie i puste powietrze
i czuję jak moja niechęć do człowieka wzbiera jak szerokie
morze

Toronto, 1998 rok

Irving LAYTON
tłumaczył Kowal

Tadeusz TUTAK

MURAWY DOBROMIERSKIE

Ich matką morze jurajskie,
Wiek – 150 milionów lat.
Ciało z tlenu, wapnia, węgla i krzemu.
Piaszczyste łąty ze Skandynawii.
Dawna szata – puszcza bukowa.
Negliż w ubiegłym stuleciu.
Nowy strój – murawy kserotermiczne
z sosną na łątach.
Haftowany jałowcem, różą i tarniną,
Trzmieliną, ligustrem i świdwą
Na żywej sukni
Strzyżonej co dwa lata,
Olśniewająco pięknej.

WIELKA SOWA

Wielka Sowo, pieszycki Olimpie
Matuzalemie Sudetów,
Siostrzo Kalenicy,
Przed milionami lat
Z gnejsów ulepiona,
Wypiętrzona w trzeciorzędzie.
Czas wygładził twoje ciało,
Natura okryła suknią bukowo-jodłową,
A człowiek przebrał w świerkową
Importowaną z Austrii.
Ukoronował betonową wieżą,
Oplótł kolorowymi szlakami,
Naznaczył wyciągiem narciarskim
i masztem radiowym.
Zbliżył się do ciebie
Koszttem twojej urody.

Tadeusz TUTAK

Archiwum polityczne

Integracja europejska krajów środkoeuropejskich

Szanse i zagrożenia

Proces tzw. regionalnej integracji stał się w ostatnich latach skuteczną strategią polityki gospodarczej, głównie w Ameryce i w Azji, gdzie powstają coraz to nowe międzynarodowe strefy bezcłowe. W Europie zaś kraje postkomunistyczne ubiegają się o przynależność do Unii Europejskiej, licząc na poparcie w procesie pełnego przywrócenia demokracji i gospodarki rynkowej i oczekując gwarancji rozwoju gospodarczego i politycznej stabilizacji.

Europejscy członkowie byłej Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, w pierwszej linii tzw. państwa wyszehradzkie¹, zaczęły ubiegać się tuż po obaleniu komunistycznej dyktatury, początkowo wspólnie, a następnie indywidualnie, o przyjęcie do Unii Europejskiej. Unia ze swojej strony potwierdziła, najpierw w tzw. układach europejskich, a następnie podczas spotkań na szczycie Rady Ministrów EU w Kopenhadze i w Essen, chęć przyjęcia najbardziej rozwiniętych państw Europy Środkowej w swoje szeregi.

W latach 1994-1996 dziesięć krajów wyraziło chęć przystąpienia do Unii, zaś Komisja Europejska zaproponowała rozpoczęcie pertraktacji jedynie z pięcioma spośród kandydatów z Europy Środkowej oraz z Cyprzem. W grudniu 1997 w Luksemburgu Rada Ministrów Unii wyraziła ostateczną zgodę na owe pertraktacje i jednocześnie rozpoczęła intensywne

1. Czechy, Polska, Słowacja i Węgry.

rozmowy z Czechami, Estonią, Polską, Słowenią i Węgrami.

Nasuwa się pytanie, czy wstąpienie wymienionych krajów do europejskiego ugrupowania jest jedynie celem samym w sobie, czy też instrumentem służącym realizacji innych, ważniejszych celów? Jeśli jest to tylko środek, mający służyć zapewnieniu wolności, bezpieczeństwa, stabilizacji i dobrobytu, to jaka jest jego cena? I czy skorzystają na tym tylko rządzące elity, czy również szary obywatel? Kolejne etapy rozszerzenia Wspólnot Europejskich wynikały nie tylko z politycznej woli nowych, potencjalnych członków, ale przede wszystkim z kalkulacji korzyści integracji i kosztów pozostawania poza Wspólnotami. Praktyka potwierdziła słuszność tych decyzji, zaś rachunek zysków i strat wskazuje na jednoznaczne korzyści uczestniczenia w europejskiej integracji gospodarczej i politycznej. Z przekonaniem można stwierdzić, iż przed państwami środkoeuropejskimi nie ma jakiegokolwiek innej drogi niż ta, która prowadzi do rozwoju poprzez integrację wspólnotową i w jej ramach.

Istotne jest, aby kraje zmierzające do pełnej integracji z Unią Europejską, były na to dostatecznie przygotowane, tak prawnie, jak i instytucjonalnie i organizacyjnie oraz aby „dojrzały” funkcjonalnie do przystąpienia do tego ugrupowania. Z drugiej strony nasuwa się inne pytanie: Czy Unia Europejska podoła finansowo i instytucjonalnie rozszerzeniu na tak wielką skalę?

Warunki przystąpienia państw środkoeuropejskich do Unii Europejskiej

Warunki przyjęcia państw Europy Środkowej do UE sformułowane zostały podczas szczytu Rady Ministrów Unii w Kopenhadze w 1994 roku².

Jednym z podstawowych warunków przyjęcia jest pełne wprowadzenie gospodarki rynkowej przez kandydującą „piątkę”. Całkowita liberalizacja i deregulacja rynku winny uzupełnić funkcjonalność systemów ekonomicznych w tych krajach.

2. Por. Agenda 2000.

Kompletne przejście reguł prawnych (tzw. *acquis communautaire*) i wprowadzenie ich w życie jest następnym warunkiem przystąpienia do Unii. Chodzi tu głównie o „instytucjonalną dojrzałość” instytucji i organizacji politycznych (egzekutywy, legislatywy i judykatury)³.

Trzecim nieodzownym warunkiem wejścia do Unii jest prawidłowe funkcjonowanie demokratycznych instytucji politycznych, ekonomicznych i społecznych oraz ich wzajemnie skoordynowana współpraca.

Spełnienie powyższych warunków wiąże się z jednej strony z osiągnięciem tzw. „dojrzałości” strukturalnej i instytucjonalnej krajów kandydujących do zachodnioeuropejskiego ugrupowania, z drugiej zaś strony warunkiem nieodzownym przystąpienia jest ich „dojrzałość” społeczna.

Analizując wyżej przytoczone warunki, łatwo się domyśleć, iż możliwe przeszkody przyjęcia krajów środkowoeuropejskich do Unii Europejskiej wynikają z niedostatecznych instytucjonalnych struktur w systemach politycznych i ekonomicznych w tych państwach, co z kolei związane jest z deficytem ich polityki transformacyjnej.

Oprócz tego niedostateczna zdolność konkurencyjna omawianych państw, ze względu na zbyt powolną „sanację” ich gospodarek w stosunku do krajów członkowskich Unii, może stanowić przyczynę opóźnienia ich wstąpienia do UE. Poniższa analiza kryteriów przystąpienia krajów-kandydatów do Unii Europejskiej winna pomóc w ocenie „dojrzałości” struktur politycznych, ekonomicznych i społecznych tych państw w przededniu ich przystąpienia do europejskiego ugrupowania.

Rozwój gospodarki rynkowej w systemach gospodarczych krajów kandydujących do Unii Europejskiej

Należy liczyć się z faktem, iż w przypadku wschodniego rozszerzenia Unii Europejskiej, kraje kandydujące będą sukcesywnie „importować” dobrze prosperujący zachodnioeuro-

3. Por. Dauderstädt, M.: „Ostmitteleuropas Demokratien im Spannungsfeld von Transformation und Integration” w: *Integration*, Nr 4/1996, s. 208-223.

pejski rynek. Decydującym aspektem dopasowania się do europejskich standardów jest zdolność konkurencyjna tych krajów oraz gwarancja wprowadzenia swobodnego przepływu osób, usług i kapitału, a także swoboda komunikacji, które stanowią konieczny i nieodzowny warunek przystąpienia do Unii.

We wszystkich pięciu krajach środkowoeuropejskich transformacja jest na tyle zaawansowana, iż realizacja warunków przyjęcia do Unii nie powinna wpłynąć ujemnie na postęp procesu integracyjnego. Również instytucjonalny deficyt nie powinien stanowić większej przeszkody w procesie deregulacji w tych krajach, jednak może on spowolnić jego przebieg.

W drażliwych sektorach, jak na przykład rolnictwo, wschodnie rozszerzenie UE przysporzy niewątpliwie większych trudności Unii, aniżeli kandydującej „piątce”, a to z racji grożącej jej intensywniejszej konkurencji ze strony krajów Europy Centralnej⁴. Już obecnie protekcja i subwencje państwowe w tych krajach są bardzo niskie, a w Estonii wręcz równe zeru.

Całkowita liberalizacja handlu z Unią umocni konkurencję rynkową. Podobnie liberalizacja sektora usług, będąca ciągle jeszcze domeną państwa, wywoła z czasem dodatkową presję na europejską konkurencję. Problematyczne jest jedynie, czy rządy w krajach Europy Środkowej będą w stanie przeciwstawić się zarzutom grup interesów, oskarżających je o „wyprzedzanie ojczyzny”. Szczególnie słabość banków narodowych stanowi podstawę do tego rodzaju polemiki. Z jednej strony konieczne jest przezwycięzenie tej słabości poprzez integrację rynków finansowych w krajach Europy Centralnej z rynkiem finansowym Unii, z drugiej zaś strony ceną za to będzie niewątpliwie większa presja ze strony organów UE na środkowoeuropejski sektor finansowy i intensywniejsza konkurencja banków zachodnioeuropejskich, co z kolei może pośrednio doprowadzić do utraty niezależności banków narodowych i komercyjnych w kandydujących krajach.

4. Por. Tichy, G.: „Integrationstheorie und Osterweiterung”, w: Mayerr, O.G. Scharrer, H.E. (wyd.): „Osterweiterung der Europäischen Union”, Baden-Baden 1997, s. 11-56.

Narodowe grupy interesów w krajach środkowoeuropejskich mogą czuć się – na skutek konkurencji rynkowej i instytucjonalnej – na tyle zagrożone, iż są w stanie odmówić konstruktywnej współpracy w procesie dalszej transformacji i integracji. To z kolei może mieć negatywny wpływ na postępowanie polityków i ich popularność w społeczeństwie, a w konsekwencji blokować przeprowadzenie reform w tych krajach. Oprócz tego, zaraz po przystąpieniu do Unii Europejskiej, należy liczyć się ze swojego rodzaju „wstępnym szokiem” w szerokich kręgach społeczeństwa oraz w instytucjach politycznych i społecznych.

Funkcjonalna „dojrzałość” instytucji politycznych w postkomunistycznych krajach Europy Środkowej

Osiągnięciu „funkcjonalnej dojrzałości” instytucji politycznych w byłych krajach socjalistycznych Europy Środkowej służy przede wszystkim dopasowanie reguł prawnych, które przebiega w krajach tego regionu bez większych przeszkód.

Istotniejszym problemem jawi się natomiast konstrukcja odpowiednich struktur administracyjnych i ich obsada właściwym personelem. Brakujące wykształcenie i niewystarczające kompetencje oraz problemy językowe kadry urzędniczej stanowią dodatkowe przeszkody.

W związku z realną perspektywą członkostwa krajów Europy Centralnej w Unii Europejskiej ich organy państwowe staną wobec poważnych wyzwań. Przekształcenie struktury organizacyjnej aparatu państwowego oraz przeniesienie wykonywania szeregu jego kompetencji do organów i instytucji UE są istotnymi warunkami przystąpienia. W efekcie członkostwo w Unii stanie się szansą podniesienia omawianych państw na wyższy szczebel rozwoju, ale przyniesie równocześnie liczne zagrożenia, których źródłem może być zarówno niezajomość problematyki integracji europejskiej wśród decydentów kandydujących krajów, jak również ich organizacyjna i kompetencyjna dysfunkcyjność.

Fakt, iż młode demokracje środkowoeuropejskie nie osiągnęły jeszcze pełnej „dojrzałości funkcjonalnej” wynika

między innymi z ich krótkiej historii. Zarzut ten dotyczy w istocie rzeczy politycznych i administracyjnych elit, próbujących ciągle jeszcze rozwiązywać istniejące problemy i konflikty w starym, niedemokratycznym stylu.

W krajach tych istnieje całe spektrum najprzeróżniejszych partii i frakcji, mocno zróżnicowanych i niestabilnych. Wiele z nich nie posiada jasnego profilu politycznego, ciągle jeszcze istnieją tzw. partie z jednopunktowym programem działania. Zaś paradoksem jest, iż to były partie komunistyczne propagują się jako zwolenniczki stabilizacji i równości społecznej. Podział partii politycznych jest o wiele bardziej zaawansowany, aniżeli rozdarcie polityczne w Niemczech, Austrii czy Włoszech po 1945 roku, albo w krajach południowoeuropejskich po obaleniu dyktatur w 1974 roku⁵.

Brak politycznych płaszczyzn poniżej szczebla centralnego jest kolejnym dowodem strukturalnej „niedojrzałości funkcjonalnej”. Grupy nacisku, zrzeszenia pracodawców i przedsiębiorców są ciągle jeszcze zbyt mało rozwinięte, aby w pełni artykułować (nie mówiąc już o reprezentacji) interesy ich członków. Związki zawodowe i kościoły, mimo iż są one jedynymi organizacjami społecznymi tzw. dużego formatu, poświęcają swoją uwagę jedynie aspektom wycinkowym, jak na przykład polityka rynku pracy.

Ustawowa i faktyczna działalność tzw. międzynarodowych organizacji pozarządowych (np. międzynarodowe zrzeszenia związków zawodowych) jest mało widoczna, bowiem kraje postkomunistyczne, po długoletnim obowiązkowym, lecz pasywnym członkostwie w tych organizacjach, nie przejawiają obecnie większego zainteresowania w ich pracach.

Ostatnią jawiącą się przeszkodą w osiągnięciu „dojrzałości funkcjonalnej” jest słabo rozwinięta regionalna i lokalna administracja, która formalnie zyskuje stopniowo coraz większą autonomię, jednak sposób podziału środków i praktyka administracyjna posiadają nadal centralistyczny charakter.

Reasumując, należy ocenić stopień „dojrzałości funkcjonalnej” krajów dążących do wejścia do Unii Europejskiej, mimo istniejących rozbieżności i różnic pomiędzy nimi, jako nie

5. Por. Rose, R.: „Mobilizing Demobilized Voters in Post-Communist Societies”, w *Party Politics* Nr 4/1995, s. 549-563.

w pełni zadowolający i pozostawiający jeszcze wiele do zrobienia. Nieformalne, neokorporatystyczne struktury przeważają w tych krajach nad demokratycznym podziałem władzy i społeczeństwa⁶. Osiągnięcie owej „funkcjonalnej dojrzałości” zdeterminowane jest niewątpliwie dalszą demokratyczną transformacją, instytucji i organizacji politycznych, ekonomicznych i społecznych.

„Dojrzałość” społeczna warunkiem nieodzownym przystąpienia do Unii Europejskiej

„Dojrzałość” społeczeństw krajów Europy Środkowej przed ich przystąpieniem do Unii Europejskiej należy widzieć w aspekcie ich ponad czterdziestoletniej komunistycznej dyktatury i krótkiego wczesnokapitalistycznego etapu rozwoju w ostatnich latach. Przeprowadzenie strukturalnych reform społecznych w kandydujących do UE krajach natrafia na bariery, wynikające z norm etycznych, według których oceniany jest z kolei ich polityczny i gospodarczy rozwój. Kodeks postępowania, przyzwyczajenia, obyczaje, konwencje społeczne, a także religia, zagrażają niewątpliwie procesowi integracji europejskiej byłych krajów członkowskich Układu Warszawskiego. Wpływ poprzedniej epoki na funkcjonowanie instytucji politycznych i społecznych oraz zachowanie polityków może odbić się negatywnie na kontynuacji procesu integracyjnego. System komunistyczny doprowadził w pewnym stopniu do deficytu cywilizacyjnego w krajach tzw. dyktatury proletariatu i rozwinął, różne od tych w Europie Zachodniej, systemy wartości, których nie da się zbyt szybko zmienić. Mniej istotne są natomiast różnice kulturalne między krajami środkowoeuropejskimi i Unią Europejską.

Szczegółowa ocena wartości społecznych i wynikających z tego implikacji dla procesu europejskiej integracji krajów postkomunistycznych nie jest w tym miejscu możliwa. Można jednak przypuszczać, iż przewyżczenie sposobu myślenia i hierarchii wartości z poprzedniego systemu politycznego

6. Por. Lippert, B.: „Der gipfel von Luxemburg: Startschuss für das Abenteuer Erweiterung”, w *Integration*, nr 1/1998, s. 12-31.

oraz tzw. „opiekuńcza” rola państwa wpłyną decydująco na przebieg pertraktacji i przystąpienie kandydującej „piątki” do Unii Europejskiej.

Rosja a integracja Europy Środkowej z UE

Obecny proces rozszerzenia Unii Europejskiej i dążenia krajów Europy Środkowej do członkostwa w organizacjach europejskich i transatlantyckich pozostaje w związku przyczynowo-skutkowym z rozpadem imperium sowieckiego. Wola trwałego wydostania się z rosyjskiej strefy wpływów i wejścia do systemu krajów demokratycznych z gospodarką rynkową była niewątpliwie podstawowym powodem wszczęcia pertraktacji kandydujących krajów o przystąpienie do Unii.

W tym kontekście istotna jest analiza pozycji Rosji na arenie międzynarodowej oraz rozwój polityki wewnętrznej tego kraju.

Faktem jest, iż Rosja, realizując własne aspiracje polityczne, zrezygnowała, bynajmniej nie dobrowolnie, z pozycji supermocarstwa i w związku z tym stara się przynajmniej zachować pozycję mocarstwa regionalnego. Stanowisku temu przychylają się zarówno Stany Zjednoczone jak i Unia Europejska, wierząc, iż Rosja jest w stanie przejąć funkcję „straszaka”, mającego powstrzymać zagrożenia ze strony fundamentalistów islamskich z byłych południowych republik Związku Sowieckiego. Rosja zaś przejmuje chętnie tę nową funkcję obrony cywilizacji i wartości Zachodu, tym bardziej, iż towarzyszy temu finansowe wsparcie USA i Unii Europejskiej.

Nie należy jednak zapominać o fakcie, iż Rosja nie zaniechała w pełni koncepcji powrotu do sowieckiego *status quo ante*. Mimo iż obecnie, z punktu widzenia politycznego i gospodarczego, kraj ten nie jest w stanie dyktować warunków w procesie rozwoju europejskiej integracji, to jednak widoczne są tzw. działania zaporowe, blokujące ów proces. Opóźnienie realizacji lub niewykonywanie zobowiązań przyjętych w ramach porozumień o broni strategicznej oraz solidaryzowanie się z Serbią w konflikcie kosowskim stanowią najbardziej charakterystyczne przykłady.

Z drugiej strony Rosja sugeruje, aby starania integracji Europy Środkowej z Unią Europejską odłożyć do czasu utworzenia wielkiego wspólnego rynku łączącego Zachód ze Wspólnotą Niezależnych Państw, co jest klasycznym działaniem „na zwłokę” i próbą neutralizowania polityki integracyjnej państw przygotowujących się do pełnego członkostwa w Unii.

Tym istotniejsza staje się w tych warunkach konstruktywna współpraca kandydującej „piątki” i koordynacja przedsięwzięć w zakresie tzw. II i III filaru Unii, obejmujących integrację polityki zagranicznej oraz współpracę organów ścigania i sądownictwa. Obecne rozszerzenie Unii oznacza bowiem przesunięcie jej wschodniej granicy, ze wszystkimi związanymi z tym konsekwencjami. Granica ta dzieli przecież bezpośrednio dwie wielkie przestrzenie społeczne o drastycznych dysproporcjach cywilizacyjnych. Przez te granice będzie się dokonywał – ze wschodu na zachód – nieustanny przepływ narkotyków, broni, brudnych pieniędzy i innych działań o charakterze kryminalnym, w przeciwną zaś stronę nastąpi przepływ poszukiwanych przestępców politycznych i gospodarczych. Przeciwdziałanie tym zagrożeniom bez naruszenia politycznej stabilizacji Unii Europejskiej będzie trudne i kosztowne. Pozycja krajów ubiegających się o przystąpienie, jako krajów tranzytowych i strefy bezpośrednio przyległej do UE, nie jest pozycją korzystną, zaś przeciwdziałać tym zagrożeniom można wyłącznie we współpracy w ramach organizacji europejskich i transatlantyckich.

Brukselska wieża Babel

Żadne z państw Unii nie chce zrezygnować z „równouprawnienia” swojego języka narodowego na forum UE, który jakby nie było jest symbolem autentyczności i odrębności. W związku z tym Unia jest jedyną organizacją międzynarodową, która pozwala sobie na luksus równoprawnego traktowania (przynajmniej w teorii) wszystkich oficjalnych języków państw członkowskich. Organizacja Narodów Zjednoczonych z jej ponad 180 krajami członkowskimi zadawała się sześcioma oficjalnymi językami, zaś NATO

ogranicza się jedynie do języka angielskiego i francuskiego.

Jednakże brukselska „wieża Babel” osiąga powoli granice swoich możliwości. Potencjalni nowi członkowie Unii Europejskiej z Europy Środkowej stanowią dla *team*’u tłumaczy nowe wyzwanie, któremu mogą oni nie sprostać. Przyjęcie do Unii Polski, Czech, Węgier i innych państw tego regionu znacznie skomplikuje i tak już niełatwą pracę brukselskich tłumaczy. Już obecnie wiadomo, iż aktualne reguły i tryb ich pracy nie będą w stanie podołać wymogom 20 czy 21 państw członkowskich.

Przystąpienie państw śródkowoeuropejskich, w tym Polski, do Unii naruszy w pewnym stopniu równowagę sił tej organizacji i stworzy niewątpliwie nowe problemy językowe dla obu stron. Polska ze swoimi prawie 40 milionami mieszkańców zaliczać się będzie bowiem do krajów dużych w skali UE. Nie będzie można zatem pominąć faktu, iż język polski powinien zostać odpowiednio doceniony.

Wschodnie rozszerzenie Unii Europejskiej może spowodować rezygnację z dotychczasowej tradycji równouprawnienia wszystkich oficjalnych języków tej organizacji. Należy się liczyć z faktem, iż jedynie dominujące języki (angielski, francuski, niemiecki, hiszpański i włoski) mogą mieć szansę „przeżycia” jako prawnie zaakceptowane. Dla języka polskiego istnieje możliwość dołączenia do tej grupy, bowiem Unia Europejska nie może pominąć faktu, iż język, którym posługują się ludzie w jednym z większych krajów Europy, posiada istotne znaczenie w procesie rozwoju starego kontynentu, a szczególnie jego wschodnich rubieży.

Niepełna akceptacja języka polskiego oznaczałaby jeszcze większą zależność Polski od naszego zachodniego sąsiada, co, jak wiemy, nie zawsze w historii było dla nas pozytywne w skutkach. Tym większa jest już obecnie, kilka lat przed przystąpieniem do Unii Europejskiej, rola polskiej dyplomacji na forum UE.

i międzynarodowy lobbying w Unii Europejskiej

Dotychczasowy przebieg procesu integracyjnego Unii Europejskiej wskazuje na to, iż jednym z ważnych jego ele-

mentów jest działalność lobbyingu, tj. różnego rodzaju grup nacisku, w tym szczególnie tych o charakterze międzynarodowym, zrzeszających organizacje narodowe z poszczególnych krajów członkowskich⁷. Wyrażane są nawet poglądy, iż to właśnie grupy nacisku, będące swoistego rodzaju strukturami, reprezentującymi najprzeróżniejsze interesy społeczne i gospodarcze, sprawują autentyczną władzę w Unii, a do osiągnięcia swoich celów wykorzystują liczne formalne i nieformalne sposoby wywierania presji na europejskie instytucje i organa, jak strajki, odmowa poparcia w kampanii wyborczej, przekupstwo, itp.

Podczas, gdy funkcjonariusze brukselskich instytucji Unii rozpracowują w szczegółach nowe ustawy czy dyrektywy, reprezentacji europejskiego lobbyingu pojawiają się w ich tle, próbując dostosować przynajmniej niektóre sformułowania nowo powstających prawnych reguł do swoich potrzeb. Stolica europejska z jej mnogością grup interesów stała się w ten sposób swego rodzaju Mekką międzynarodowego lobbyingu.

Polska, podobnie jak i inni potencjalni kandydaci przystąpienia do Unii Europejskiej, stawia pierwsze kroki w kierunku nieformalnej reprezentacji w Brukseli. Coraz bardziej zbliżający się termin wstąpienia naszego kraju do UE sprawia, iż zarówno związki zawodowe, jak i organizacje przemysłowe oraz pracodawcy szukają różnych możliwych sposobów wpływu na decyzje UE. Koronnym przykładem jest przystąpienie Konfederacji Pracodawców Polskich w 1993 roku do europejskiej organizacji pracodawców i przemysłowców (UNICE), jednakże bez własnego przedstawiciela w Brukseli. Były szef sekretariatu generalnego UNICE, Zygmunt Tyszkiewicz, z pochodzenia Polak, stwierdził w wywiadzie z autorem, iż większa konsolidacja polskich organizacji przemysłowych i lepiej funkcjonujące wspólne forum działania w kraju, ułatwiłoby znacznie skuteczne forsowanie własnych interesów w Brukseli. Ową wypowiedź można również odnieść do polskiego rolnictwa i ruchu związkowego. Następną trudnością jest niewątpliwie kwestia finansowa, gdyż niełatwo jest utrzymywać lob-

7. Por. Matyja, M.: „Der Einfluss der Vereinigung der Industrie und Arbeitgeberverbände Europas (UNICE) auf den Entscheidungsprozess der Europäischen Union”, Bern 1999.

byistę w Brukseli, płacąc drogi czynsz za biuro i diety oraz ponosząc inne wydatki w tym przecież nie najtańszym mieście, nie będąc pewnym efektu owej „pracy”.

Z podobnymi problemami borykają się obecnie Czesi, Estończycy, Słoweńcy i Węgrzy, pragnący również „mieć coś do powiedzenia” za kulisami Unii Europejskiej.

Czy przystąpienie do Unii Europejskiej opłaca się?

Cele krajów środkowoeuropejskich, zamierzających przystąpić do UE, powtarzają się wielokrotnie w oficjalnych wystąpieniach ich polityków. Dominującymi są głównie umocnienie demokracji i pełne wprowadzenie gospodarki rynkowej oraz ścisła współpraca z Unią Europejską. Mało mówi się, a jeszcze mniej pisze, na temat kosztów przystąpienia do europejskiego ugrupowania. W przeciwieństwie do południowego rozszerzenia Unii, w większości studiów naukowych analizowany jest ten problem głównie z perspektywy Unii Europejskiej i przede wszystkim w aspektach zysków i strat, wynikających z tego faktu dla UE. A przecież obydwie strony są ze sobą ściśle powiązane: import UE stanowi między innymi export krajów Europy Środkowej, zaś wydatki Unii w ramach subwencji dla potencjalnych nowych członków są kapitałowymi wpływami kandydujących państw.

Dokonując analizy strat i zysków przystąpienia do Unii Europejskiej z perspektywy krajów kandydującej „piątki” należy porównać obecne rozszerzenie ze wspomnianym już rozszerzeniem południowym w latach 1980 i 1986. Wówczas do Unii przystąpiły względnie ubogie kraje południowo-europejskie: Grecja, Portugalia i Hiszpania, które – po długoletnim okresie dyktatury – potrafiły w stosunkowo krótkim czasie dokonać radykalnych przemian politycznych i ekonomicznych. Z drugiej strony należy zwrócić uwagę na fakt, iż Wspólnota Europejska w latach osiemdziesiątych nie była w tym stopniu zintegrowana, w jakim jest obecnie, co w pewnym sensie ułatwiło konsolidację nowych członków.

Następne porównanie dotyczy integracji byłej NRD, uważane powszechnie jako fakt bezprecedensowy, a to z racji pierwszego w historii przyłączenia do Unii kraju sterowanego

centralnie, zarówno politycznie, jak i gospodarczo, pomijając towarzyszące temu specyficzne uwarunkowania. NRD nie przeprowadziła przed wejściem do Unii żadnych reform, przejęła automatycznie zachodnioniemiecką walutę i otrzymała olbrzymie subwencje finansowe. Ów przykład winien być w pewnym sensie przestrogą dla krajów pragnących zbyt szybko wstąpić do UE. Jaki efekt mogą mieć dotychczasowe analizy, studia i porównania i jaką politykę winny prowadzić państwa starające się o przyjęcie do Unii Europejskiej? Rządy krajów kandydujących „piątki” winny z jednej strony forsować specyficzne narodowe interesy na forum Unii i usiłować je „sprzedać” jako tzw. wyjątkowe uwarunkowania, zaś z drugiej strony dążyć do kompromisów na arenie narodowej. W owych rozwiązaniach kompromisowych należy liczyć się z „wygranymi” i „przegranymi”. Ci ostatni staną się z pewnością przeciwnikami wstąpienia do Unii, czemu rząd kraju zmierzającego do pełnej integracji europejskiej winien przedwcześnie zapobiec, nie dopuszczając do tworzenia się koalicji antyeuropejskiej.

Natomiast Unia Europejska, przekonana o słuszności swojej „ekspansji” w kierunku wschodnim, winna mieć na względzie nie tylko własny interes, ale i dobro kandydujących krajów. Obopólny interes, bez względu na nierównowagę sił politycznych, powinien dominować w prowadzonych obecnie pertraktacjach. Nie chodzi tu tylko o straty i zyski o charakterze finansowym, lecz w grę wchodzi także ryzyko politycznej destabilizacji w Europie.

Unia Europejska nie jest idealnym rozwiązaniem wszystkich problemów na starym kontynencie. Lecz, pozwalając sobie na paralelę do wypowiedzi Winstona Churchilla na temat demokracji, Europa nie znalazła dotąd lepszego środka na rozwiązanie nabrzmiałych kwestii i złagodzenie rozbieżnych interesów. Stąd też wynika zainteresowanie krajów środkowoeuropejskich w przystąpieniu do tego ugrupowania.

Mirosław MATYJA

Wywiady „Kultury”

Z Andrzejem Zakrzewskim, ministrem kultury i sztuki rozmawia Teresa Torańska

– *Jest Pan członkiem niewielkiego Stronnictwa Katolicko-Ludowego, na stanowisko ministra kultury i sztuki desygnowała Pana Akcja Wyborcza Solidarność i zajął Pan ministerstwo przypisane według umowy koalicyjnej do Unii Wolności, kto tak wymyślił?*

– Kuchni nie znam. Z tego, co do mnie dotarło: AWS zaprezentowała kilku kandydatów, na które UW nie wyraziła zgody. Wtedy podobno odbyła się rozmowa premiera Buzka z premierem Balcerowiczem, padło nazwisko Zakrzewskiego i obaj panowie wyrazili zgodę. Nazajutrz rano przybył do mnie do szpitala szef mojej partii Mirosław Styczeń.

– *Bo Pan leżał w szpitalu?*

– Tak, pod kroplówką, z temperaturą 38,8 stopni. Styczeń powiedział: partia ci każe. Po Styczniu zjawił się w szpitalu Aleksander Hall, mówiąc: Andrzej, Rzeczpospolita czeka. A potem zadzwonił premier Buzek i umówił się ze mną na rozmowę na dzień następny.

– *Też do szpitala?*

– Też. Przyjechał i powiedział: chciałbym, żeby mi pan podał rękę, że się pan zgadza, bo gdyby nie – zagrożone będą nominacje pozostałych ministrów. To już był dzień – wyznaczony

wcześniej – wręczania nominacji w urzędzie prezydenckim. Odpowiedziałem: byli wczoraj u mnie i mówili, że Rzeczpospolita czeka i partia każe, a ja wyrażam zgodę ze względu na pana.

– *Półtora roku wcześniej podobno Pan odmawiał.*

– Zgadza się. Kiedy tworzono rząd Buzka – ale i później – na wszystkie propozycje przejścia do służby państwowej odpowiadałem, że ja kandydowałem do Sejmu, a nie do rządu. Myślę, iż w 40-milionowym społeczeństwie jest wystarczająca liczba ludzi znakomitych, więc nie ma potrzeby, by rząd opierał się tylko na 460 facetach, wybranych do Sejmu na Wiejską. Miałem wtedy zresztą bardzo odpowiedzialną i ciekawą pracę. Przewodniczyłem sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, tzw. średniej komisji, ale – według mnie – niezwykle ważnej, bo polska diaspora liczy od 12 do 18 mln osób i istotne jest ułożenie dobrych relacji między demokratyczną, niepodległą Rzeczpospolitą a instytucjami i organizacjami polonijnymi, które przez 200 lat pełniły funkcję instytucji „zastępczych” nieistniejącego państwa, bądź zniewolonego społeczeństwa. Zająłem się tym i chciałem kontynuować. Teraz jednak sytuacja na polskiej scenie politycznej się skomplikowała: cztery wielkie reformy, niskie notowania rządu, pęknięcia w partiach, konflikty w koalicji etc. Sytuacja stała się na tyle poważna, że nie mogłem premierowi odmówić.

– *Jaka konkretnie?*

– Powiedziałem premierowi: uważam, że stało się coś złego. Odbiór pana osoby i gabinetu jest bardzo zły, ale myślę, że jest szansa, by wyniki te poprawić. Mogę – powiedziałem premierowi – podjąć tę próbę na małym, ale niezwykle wrażliwym obszarze kultury i środowisk opiniotwórczych. Mam – sądzę – dobre kontakty w wielu środowiskach związanych z kulturą, brałem wszak udział w Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość pod koniec lat 70-tych, współtworzyłem Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w 1980 r., byłem współorganizatorem Kongresu Kultury Polskiej w grudniu 1981 r. a w kancelarii prezydenta

Lecha Wałęsy odpowiadałem również za kulturę.

– *Ale w karierze politycznej Ministerstwo Kultury to zawsze był boczny tor.*

– Może być wręcz przeciwnie. Jeśli się uzna, że kulturę i ministerstwo trzeba wprowadzić na tory szybkiej kolei. Ja teraz wszystkim z uporem maniaka zadaję dwa pytania: z czym wejdziemy w wiek XXI i jakie jest miejsce kultury w życiu człowieka pod koniec tego stulecia. Stulecia, które wielokrotnie przeżywało kryzysy ideowo-moralne, w którym dokonywano wielu przewartościowań o wojnach i totalitaryzmach, o nietolerancji już nie wspominając. Bo gdy mówimy „kultura”, słowo to traktujemy bardzo encyklopedycznie, że to książka, film, dzieło muzyczne, zapominając o wielorakich funkcjach kultury. Kultura to olbrzymi fragment polityki społecznej, istotny element polityki edukacyjnej – szeroko rozumianej, niezwykle ważny instrument polityki międzynarodowej i polskiej racji stanu. Oraz wszystkim zadaję drugie pytanie, już przeniesione na konkret, na bieżącą działalność: jakie miejsce w tym XXI wieku, w bardzo delikatnym, wrażliwym krajobrazie, niezwykle zróżnicowanym, jakim jest kultura, ma zajmować Ministerstwo Kultury i Sztuki.

– *Mówiło się o jego likwidacji.*

– Były już nawet plany, ale – jak zapewnił mnie Buzek – likwidacja ministerstwa nie wchodzi w rachubę. W wielu krajach, w których je zlikwidowano, teraz myśli się o jego reaktywowaniu. Prezydent Kwaśniewski także powiedział: mam nadzieję, że nie będzie pan ostatnim ministrem kultury.

– *Podczas wręczania nominacji?*

– Tak. Na marginesie: na tę uroczystość dostałem przepustkę ze szpitala na trzy godziny, a wróciłem ... po dwunastu. Prezydent, wręczając mi nominację powiedział, że cieszy się, iż wybitny polityk AWS-u będzie pracował *vis-à-vis* Pałacu Prezydenckiego. Odpowiedziałem, że teraz koalicja będzie miała wgląd w to, co dzieje się u prezydenta. O ile wiem – zaripostował Kwaśniewski – okna twojego gabinetu wychodzą

na drugą stronę. Odparowałem: łatwiej zmienić gabinet niż pałac.

– *Jest Pan z Kwaśniewskim po imieniu?*

– Tak. To konsekwencja miejsca, jakie zajmowałem w Belwederze, współpracując z ramienia prezydenta Wałęsy z politykami wszystkich opcji. Z Kwaśniewskim przeszliśmy na „ty”, gdy tworzony był gabinet Pawlaka. Lechoń, gdy przyjął nominację na attaché kulturalnego, powiedział: muszę wyjechać na placówkę, bo w Warszawie jestem ze wszystkimi na „ty”. Jeśli zaś chodzi o mnie, to proszę napisać także, iż są w Warszawie ludzie, z którymi nie chciałbym być nawet na „pan”.

– *Chodzi o Pana poprzedników?*

– Nie, nie, nie. Na pierwszej konferencji prasowej powiedziałem: Mam wiele pretensji do moich poprzedników, ale nie będę wymieniał w kolejności do kogo największe. Ocena poprzedników – a zwłaszcza ostatniego – byłaby z mojej strony arogancją i bezczelnością. Natomiast jedną z pierwszych czynności, jakie zrobiłem, było zaproszenie wszystkich ministrów kultury Trzeciej Rzeczypospolitej na kawę. Ja jestem człowiekiem nie większości, czy mniejszości, ale consensusu. Nauczyła mnie tej filozofii działalność w Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość i kieruję się nią na codzień. Dlatego mówię: nie ma kultury krajowej i i emigracyjnej, tak jak nie ma kultury lewicowej i prawicowej. Jest tylko jedna – polska. Mogą być różne poglądy, systemy wartości wyznawane przez twórców, różne legitymacje partyjne, ale samo dzieło nie jest lewicowe czy prawicowe. No, trudno przecież mówić, że jeden pomnik jest lewicowy, a drugi prawicowy.

– *Poza pomnikiem żołnierzy radzieckich i papieża.*

– O, nie. Bo zamawiający byli funkcjonariuszami określonego systemu, a twórca po prostu wykonał zlecenie mecenasa.

– *Ministrowie przyszli?*

– Wszyscy oprócz Kazimierza Dejmka. Przed spotkaniem

zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że znam jego oświadczenie, iż jego noga więcej w ministerstwie nie stanie. Na to pan Kazimierz odpowiedział: panie Andrzeju, z przyjemnością się z panem spotkam wszędzie, ale nie w ministerstwie. I umówiliśmy się, że jak zakończę swoje chorobowe sprawy, to wypijemy dużą kawę na neutralnym gruncie i pogadamy.

– *Kawiarnię – jako alternatywne miejsce urzędowania – już Pan wybrał?*

– Najbliżej jest do Bristolu, ale latem – do kawiarni wydawnictwa „Czytelnik”. Będę chodził tam, gdzie zawsze dobrze się czułem ze swoimi przyjacielami.

– *Na spotkanie przyszło więc 5 ministrów, bo Pan jest siódmy. (Na marginesie: to niezły wynik po niecałych 10 latach naszych rządów.)*

– To było pierwsze spotkanie byłych ministrów. Pierwsze w ogóle, nie tylko ministrów kultury. W żadnym resorcie czegoś takiego nie zorganizowano. I rzecz ciekawa: w zasadzie panował między nami consensus. Ja na początku zadałem im pytanie, jakie widzą zagrożenia dla kultury w sytuacji transformacji ustrojowej, jaką od 10 lat przeżywamy i czym powinno się – według nich – zajmować ministerstwo w państwie obywatelskim. Przedstawiono mi całą paletę spraw i w żadnej wypowiedzi – co było frapujące – nie zauważyłem ani jednej aluzji osobistej.

– *Goryczy porażki także nie?*

– Nie. Odniosłem tylko wrażenie, że każdy z nich myślał, że i tobie się nie uda, i że sam się przekonasz, co to za kawałek chleba. Andrzej Wajda, który był u mnie dwukrotnie, a swego czasu odmówił Unii Wolności kandydowania na ministra, powiedział mi to zresztą wprost. Przyniósł opracowanie, czego powinienem unikać i o co się starać, i rzekł: przed przeczytaniem, niech pan lepiej ten tekst spali, bo posunąłem się poza granice szczerości. W tym moja nadzieja, że do ministerstwa przychodzi twórca nie po pieniądze – bo je ma, ale by coś pomóc, czy doradzić.

– *Kto był wczoraj na przykład?*

– Proszę: godz. 9-ta – pan Sulik ze swoim ewentualnym następcą, żebym sfinansował konferencję międzynarodową na temat mediów. Pytam: czy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji kiedykolwiek miała kontakt z ministerstwem? Nie. A czy ministerstwo ma wpływ na funkcjonowanie mediów? Nie ma. To proszę – do kancelarii premiera, proszę państwa, ja się – w aktualnym układzie sił i stanie prawnym – mediami nie zajmuję. Potem Jacek Bocheński z Ewą Krasieńską w sprawie międzynarodowego kongresu Pen-Clubu, który co roku odbywa się w innym kraju, a tym razem ma się odbyć w Polsce. Pieniądze obiecała moja poprzedniczka, ale zapomniała je wpisać do budżetu. Musiałem wydrzeć nieplanowane 300 tysięcy zł. Potem Kazimierz Kord, dyrektor Filharmonii Narodowej, że potrzebuje 8 mln, bo wali się dach, nieremontowany „od urodzenia” i nie ma pieniędzy na pensje dla orkiestry. Filharmonia Narodowa to nasz „okręt flagowy”. Ministerstwo ma ich kilkanaście: Biblioteka Narodowa, teatry: Wielki, Narodowy, Stary itp. Powstał z nimi problem finansowo-budżetowy, bo w zeszłym roku kilka z nich odpłynęło przy okazji reformy administracyjnej do samorządów lokalnych, uchwalono budżet ministerstwa okrojony o te „okręty” i teraz znaczna ich część – siłą nacisków regionalnych, środowiskowych i politycznych – wróciła do macierzystego portu. Trzeba więc przycinać budżet i wszyscy są niezadowoleni. Potem był Teatr Stary z Krakowa ze swoimi problemami finansowymi. Umówiłem się z dyrektorem Koenigiem, że przyjadę do Krakowa, jak zawsze przyjeżdżałem na wasze spektakle, a potem spotkamy się na dole w „Masce” z aktorami, zamkniemy się w tej drugiej salce i pogadamy. Teatr Stary przeżywa kryzys – moim zdaniem – nie tylko finansowy. Tam powstał swoisty „trójkąt bermudzki”: związek zawodowy – aktorzy – dyrekcja i nad tym unosi się jakiś zły duch. Potem przyszedł Ferdynand Ruszczyk, dyrektor Muzeum Narodowego. Chce rozbudować skrzydło muzeum. Muzeum to kolejny nasz okręt flagowy. Bardzo drogi, ale niezwykle ważny dla kultury polskiej. Na 14-tą poprosiłem dyrekcję Teatru Wielkiego i Teatru Narodowego, które od trzech lat nie potrafiły podzielić swojego majątku.

Orzeczono bowiem rozwód za obopólnym porozumieniem stron i bez orzekania o winie, ale pozostał spór o majątek warty 6 mld starych zł. Powiedziałem im: panowie, uprzedzam, że jeśli natychmiast nie dojdziecie do porozumienia, mam dla was przygotowane pisma. Pisma leżały przede mną. A co w nich? Że przedmioty sporu przekazuję trzeciemu. No i w 15 minut panowie się pogodzili. Poprosiłem, by przyniesiono 2 butelki szampana na nową drogę życia.

– *Kto stawiał?*

– Ja, to nie problem. Potem miałem rozmowy w sprawie reaktywowania departamentu prawa autorskiego. Moi poprzednicy go zlikwidowali, choć prawo autorskie to konstytucja dla kultury. To był zły sygnał dla twórców, a dobry dla przestępców. Wystąpiłem też do premiera o powołanie zespołu zadaniowego do walki z piractwem. Jak na jeden dzień, to wystarczy, prawda? Ale to jeszcze nie wszystko. Na koniec w radiu przez kilka godzin rozmawiałem ze słuchaczami.

– *O czym?*

– Głównie o książce. 70 proc. Polaków nie czyta książek. Stała się rzecz straszna. Coś w naszym społeczeństwie po prostu pękło. Nastąpiła zapaść cywilizacyjna. Statystyczny Polak ogląda telewizję 4 godz. 18 min. dziennie, a tylko 12 minut rozmawia z bliskimi, oczywiście przy palącym się telewizorze. A tam jest non-stop ten sam film – nawet jeśli się zmienia kanały – bicie, mordowanie, gwałt. A dlaczego? Bo nie ma współczesnego Kadena. Nie powstają książki o tym, co się w Polsce w ostatniej dekadzie wydarzyło. Moje wezwanie więc: panie, panowie – opisujcie piórem i kamerą polską rzeczywistość. Będę to wspierał! O sobie ludzie będą czytać. Chciałbym, żeby w księgarniach – jeśli chodzi o romanse – były nie tylko „harlekiny”. Dlaczego mam nie przeczytać – przepraszam za żart – o romansie w czasie blokady dróg? Ja rozumiem, że urzędnik tego nie zadekretuje, ale może temu sprzyjać, organizując np. konkursy na dobrą powieść. Różne zresztą konkursy chcę ogłosić.

– *Grafomani już czekają.*

- To można zrobić konkurs zamknięty. I tu dochodzimy do szerszej kwestii: polityki kulturalnej.
- *Chce Pan przywrócić ten termin?*
- Oczywiście.
- *Bo on, wie Pan, źle się kojarzy.*
- Wiem, został zohydzony. Ale dlaczego? Bo wyznacznikami polityki kulturalnej przez lata PRL-u była kierownicza rola PZPR i działalność cenzury. A w ministerstwie obowiązywało rozdawnictwo. Stosunek urzędników robiących w kulturze do artystów był taki, że twórcom, teatrom czy zespołom filmowym dawało się kopertę. A jej grubość zależała w różnych momentach nie tylko od posiadania legitymacji partyjnej, czy proponowanego repertuaru, ale przede wszystkim – od istniejących układów towarzysko-politycznych.
- *Teraz nie?*
- Teraz ministerstwo nie jest dobrym adresem, pod którym rozdaje się pieniądze.
- *Od kiedy?*
- Wprowadziłem zasadę, że my – urzędnicy ministerstwa – będziemy jeździli po Polsce i wspierali inicjatywy lokalne, także własnym uczestnictwem: od przekonywania, że warto te inicjatywy podejmować, do pomocy finansowej. Ale w ograniczonym zakresie. Wprowadzam normę, że maksymalna dotacja ministerstwa do ważnego dla kultury przedsięwzięcia może wynosić jedną trzecią. I nie będzie tak, że z dotacji na książki 80 proc. poszło na wydanie dzieł Mickiewicza. Nie mam nic przeciwko wieszczowi, który i bez pomocy się sprzedał, ale przy okazji wydrukowano ok. trzydziestu paru przyczynków eseistycznych, których nikt poza kolegami autorów nie przeczyta i będą zalegać w magazynach.
- *Kolejny przykład: dzieła Miłosza, dotowane przez ministerstwo.*

- Tego też nie rozumiem. Miłosz jak Mickiewicz sprzeda się sam. Hoffman ze swoim „Ogniem i mieczem” już to udowodnił. Powiedziałem publicznie: resort, którym przyszło mi teraz kierować, powinien się nazywać ministerstwem kultury, a nie kultury i sztuki, bo sztuka obroni się sama. Sztuki wysokiej nie trzeba dotować, bo albo da sobie radę sama, albo znajdą się dla niej sponsorzy. Przez Andrzeja Olechowskiego poznałem bardzo liczne grono ludzi biznesu, którzy nie oglądając się na ulgi podatkowe – bo tych u nas nie ma – łożą wielkie pieniądze na kulturę. Dam przykład: Andrzej Olechowski ze swoją Fundacją Kronenberga kupił dla jednego z muzeów trzy bardzo ciekawe płótna malarskie, przyniósł je do dyrektora, a ten mówi: panie ministrze, a nie mógłby pan zamiast tych płócien, dać mi na pensję dla pracowników? Andrzej, z właściwym sobie wdziękiem, odparował mu: a czego by ci pracownicy pilnowali, gdybyście nie mieli obrazków. Pierwsza więc sprawa to ulgi podatkowe, specjalne potraktowanie ludzi, którzy będą łożyć na kulturę, przy bardzo ostro sprawdzanych wydatkach – żeby nie było szwindli. Sam jestem gotów te wszystkie konkretne ulgi opiniować. W całej Europie, do której przecież zmierzamy, są odpisy podatkowe dla tych, którzy łożą na kulturę i jest to rozwiązanie sensowne. Jestem przekonany, że w takim Sierpcu, Nakle czy Białymstoku znaleźliby się sponsorzy w większej ilości. Po drugie: czy nie można sięgnąć do wzorów brytyjskich, gdzie państwo na kulturę nie daje funta, ale organizowana jest wielka loteria państwowa, z której dochód przeznaczony jest na kulturę. Byłem na wystawie zorganizowanej pod Londynem przez prywatną fundację i oczy mi wyszły z orbit, gdy zobaczyłem, jakimi funduszami ona dysponuje. Założył ją jakiś producent konserw, któremu powiedziano: w ten sposób przejdziesz do historii. A on był ambitny i zgromadził wielką kolekcję. To samo widziałem w Stanach Zjednoczonych, czy w Izraelu: budynki uniwersyteckie i muzealne ozdobione popiersiami facetów, którzy je ufundowali.
- *Nie straszne to?*
- Można też sięgnąć do modelu francuskiego i wprowadzić

zasadę, że do każdego biletu w kinie widz dopłaca po złotówce na polską kinematografię. Jeżeli mamy w samej Warszawie 27 kin, w których idzie po 60 filmów amerykańskich rocznie, daje to kwotę 30 mln zł, od ręki. Pomysłów jest dużo, trzeba je tylko wprowadzić. Nowoczesne państwo musi mieć politykę kulturalną. Unia Europejska, do której zmierzamy, sformułowała tzw. wyjątek kulturalny. Chciałbym, żeby nasi decydenci polityczni w Polsce uznali go. Nie możemy być bardziej europejscy od wszystkich Europejczyków razem wziętych.

– *Więc jednak chodzi ciągle o to samo, o pieniądze?*

– Nie wolno stawiać pieniędzy na pierwszym miejscu. Budżet jaki jest każdy wie. Kultura – mówię – to nie pieniądze, choć także pieniądze. Potrzebne pomysły. Przykład: jest w Polsce kilkaset wydawnictw, większość zrzeszona w Izbie Książki. Czy nie mogą oni – już im to powiedziałem – zawrzeć porozumienia, że każdy z nich wyda po dwa tytuły z lektur szkolnych – tanich, tanich! – w ciągu roku, w jednokowej szacie graficznej, po pięć kompletów dla każdej biblioteki szkolnej. Inny przykład: jeżeli np. teatr narzeka, że ma za mało pieniędzy, a ja widzę, iż wykazuje on 20 proc. frekwencję, to sam teatr powinien się zastanowić, czy coś nie szwankuje w jego polityce repertuarowej. Albo inny przykład. Ja rozumiem, że każdy ma prawo do urlopu, choć ja na urlopie nie byłem od kilkunastu lat, poza pobytami w szpitalach, ale nie rozumiem sytuacji, w której teatry idą na trzymiesięczne urlopy w sezonie wakacyjnym. W lecie przez Warszawę przewijają się tłumy turystów, a teatry są zamknięte. Dlaczego? Albo inna sytuacja – wielkie teatry zatrudniające po blisko 100 aktorów, nie mogą zorganizować dwóch, trzech spektakli małoobsadowych, przy skromnych dekoracjach i ruszyć z nimi w teren. Dlaczego?

– *Dlaczego według Pana?*

– Bo nad ministerstwem i nad kulturą w ogóle unosi się duch PRL-u. Ministerstwo, jak oblężona twierdza broni się przed artystami. Funkcjonuje stereotyp, że urzędnik rządu, jest wobec twórcy panem, a nie partnerem. Przyszedł do mnie

do szpitala jeden wiceminister, drugi, dyrektor generalny. Każdemu zadawałem pytanie, czy ministerstwo jest uwikłane w jakieś sprawy sądowe. I wszyscy odpowiadali, że nie. Nagle „z boku” dowiaduję się, że w sądzie pracy od półtora roku toczy się sprawa byłego dyrektora Biblioteki Narodowej, który został zdjęty z funkcji za to, że podpisał protest przeciwko zwolnieniu Rosnera, dyrektora departamentu książki. Na marginesie – ten departament też został zlikwidowany i także będą go reaktywować. Pytam więc moich panów z ministerstwa po raz drugi i odpowiadają mi: tak, ale to sprawa adwokatów. Nie, to sprawa ministerstwa. Zadzwońłem do domu byłego dyrektora Biblioteki Narodowej i mówię: dzień dobry, Andrzej Zakrzewski, chciałem pana przeprosić. Ależ panie Andrzeju – słyszę – ja nie mam do pana żadnych pretensji, znamy się przecież od lat. Więc mu mówię: panie profesorze, dzwoni do pana minister kultury Andrzej Zakrzewski i przeprasza nie za samo zwolnienie, ale za atmosferę, jaka temu towarzyszyła i za to, że ministerstwo przez półtora roku nie mogło z panem dojść do ugody sądowej. Bez względu na wynik sprawy sądowej – powiedziałem mu jeszcze – zapraszam pana na dużą kawę do ministerstwa. O co to, to nie, ja do ministerstwa nie przyjdę – odpowiedział. Ponowiłem: bardzo pana o to proszę, przejdziemy się razem korytarzem i popatrzymy głęboko w oczy paru osobom.

– *Ale po co?*

– Bo ludzi kultury, ludzi dla niej zasłużonych, powinno się szanować. Moim marzeniem jest, by za dwa lub pięć lat – kiedy będę wychodził z ministerstwa – urzędnicy pracowali w centralnym gmachu, a w jednym ze skrzydeł ministerstwa znalazły siedzibę wszystkie związki twórcze. Żeby wszyscy oni spotykali się na kawie albo w kolejce po drugie danie w stołówce, gdzie będzie się rozmawiać o problemach, a nie tylko o budżecie na przykład. Bo co jest? Nawet młodzi pracownicy, którzy przyszli niedawno do ministerstwa, wpadli w urzędniczy dryl. Leżąc w szpitalu poprosiłem np. o cztery liczby, dotyczące ubiegłorocznego budżetu. Przyniesiono mi 6 tomów wypełnionych cyframi, na których się nie znam i znać nie muszę, żebym sobie sam wyszukał czego potrzebuję.

I wtedy się zorientowałem, że jeśli w ciągu dwóch miesięcy nie przewalczę tych struktur, sam stanę się ich więźniem. Bo na tym polega duch PRL-u: jest wielka sterta papierów i jeden mały do podpisania. Człowiek siedzi uwięziony w gabinecie i zaczyna bezwolnie podpisywać pisma, nawet nie rozumiejąc o co w nich chodzi. Nie chcę tego. Dlatego wprowadziłem zasadę, która wywołała pewien niepokój wśród moich urzędników, że np. podejmuję decyzje wtedy, kiedy otrzymam jedną kartkę papieru, gdzie na pół strony opisany będzie stan faktyczny i na drugiej połówce – propozycje alternatywnych rozwiązań. Na to usłyszałem od jednego z urzędników: panie ministrze, a załączniki? Pan jest dla mnie załącznikiem – odpowiedziałem – bo pan cały materiał przestudiował i przetrawił, a jak będę miał wątpliwości, to pana spytam.

– *Panie ministrze. Inaczej, Andrzeju, czy pamiętasz nasze rozmowy w kawiarni wydawnictwa „Czytelnik” z lat 70-tych i 80-tych?*

– Jako minister byłem tam już dwukrotnie, na drugim daniu.

– *Wtedy uważaliśmy, że komuna uprawia sobotaż, że niszczy polską kulturę i gdyby jej rozwój zależał od nas, to ho!ho! czego byśmy nie dokonali, pamiętasz?*

– Pamiętam. Żle się stało, że w ostatniej dekadzie ministerstwo ustawiło się w pozycji chłopca do bicia. Wszyscy po kolei na to zapracowali. Mam trochę pomysłów, by to zmienić, ale nie mogę ci teraz wszystkich ujawnić, bo powiem i spalę. Ale kilka, tych „niegroźnych” wymienię. Tworzę więc gabinet polityczny, jak w innych resortach, ale nie będzie w nim polityki. Będzie on tamą przed ingerencją polityków w działalność departamentów merytorycznych. Wspomniałem o reaktywowaniu departamentów: Książki i Prawa Autorskiego. Chcę też rozdzielić Departament Współpracy z Zagranicą od Polonii, dla której dotychczasowe połączenie uważam – mówiąc wprost – za wręcz obraźliwe. Chciałbym też Departament do Spraw Mediów. To przecież olbrzymi – nie tylko ten radiowo-telewizyjny obszar kultury, a nade wszystko jej

upowszechniania. Mówię „departamenty”, ale będą to skromne liczebnie segmenty ministerstwa.

I – Tereso droga, nie zadałaś pytania, którego nie darowałyby nam Redaktor. Otóż w MKiS jest Departament Mniejszości Narodowych. Ten właśnie będę chciał rozbudować. Choć oczywiście, istnieje ogromna dysproporcja pomiędzy środkami, jakie łożymy my i nasi sąsiedzi na nasze mniejszości narodowe. Nie zwalnia nas to jednak od zwiększania aktywności na tym polu. Nie tylko dlatego, że „idziemy do Unii”, a tu standardy są wyraźne. Przede wszystkim jednak dlatego, że marzy mi się, byśmy nie ograniczali się w Pałacu Potockich tylko do dotowania pism i strojów ludowych dla mniejszości słowiańskich. Myślę, że właśnie tu – we współpracy z Kancelarią Premiera i MSZ – powinna być kreowana polityka państwa wobec mniejszości.

– *Redaktor Giedroyc powie, że to za mało.*

Rozmawiała Teresa TORAŃSKA

Dresy Wokulskiego

ZE STEFANEM CHWINEM
ROZMAWIA REMIGIUSZ GRZELA

Czytelnicy polscy – wbrew opiniom publicystów – wcale nie czekają na nowe „Przedwiośnie” i pisarze doskonale to czują. Gdyby polska publiczność naprawdę czekała na nowe „Przedwiośnie”, to by ono powstało. Ale nawet Myśliwski napisał monumentalną powieść o polskiej rodzinie, a nie o sprawie polskiej – mówi Stefan Chwin w rozmowie z *Kulturą*.

– *Jakim językiem „mówi” dzisiaj polska proza?*

– Mówi wieloma językami i stylami. O jakimś jednolitym języku polskiej prozy nie może być zresztą mowy już od czasów

socrealizmu. Mamy więc z jednej strony skrzydło awangardowe: Kuryluk, Gretkowska, Goerke, pisarze ze „szkoły Berezy”, z drugiej skrzydło bardziej tradycyjne, co nie znaczy wcale, że mniej ciekawe: Stasiuk, Pilch, Huelle, Tokarczuk, Kowalewski, Tulli. Dziś, jak się zdaje, to właśnie panie lubią zaszaleć w powieści. Panowie wystrzegają się raczej formalnych ekstrawagancji.

– *Skąd ten konserwyzm?*

– Nie nazwałbym tego konserwyzmem. Chodzi w istocie o to, jak literatura „ustawia się” wobec kultury masowej. Sporo pisarzy nadal uważa, że nie powinna ona tracić kontaktu z myślą religijną, teologią, filozofią, refleksją moralną, co wpływa na sposób pisania. Tymczasem kultura masowa takie związki odrzuca. Zresztą granice między awangardyzmem a tradycyjną wrażliwością nie są dziś wcale wyraźne. Gdzie na przykład umieścić feministyczną twórczość Izabelli Filipiak? Varga napisał ekstrawaganckie „48 pomysłów na powieść”, ale wydał też niedawno filozofujący „Bildungsroman”. Świetna „Dukla” Stasiuka jest niby tradycyjna, ale na jakim poziomie Stasiuk potrafi wiązać swoje codzienne bieszczadzkie doświadczenia z refleksją metafizyczną! Równie świetne są „Sny i kamienie” Magdaleny Tulli, filozoficzna opowieść o Warszawie. A językowe inspiracje tej prozy? Biegają one z bardzo różnych stron. U Stasiuka i Tulli wyczuwa się dalekie echa frazy Brunona Schulza. Pilch i Huelle czerpią wyraźnie z czeskich okolic – z Hrabala, z Kundery. Myszkowski pisze polskim Beckettem. Tokarczuk z pewnością lubi czytać Marquiza.

– *Co jednak w prozie się zmienia?*

– Przede wszystkim odchodzi generacja pisarzy starszych. Z księgarń znikają na przykład książki Tadeusza Nowaka, Kuśniewicza, Terleckiego, co mnie bardzo martwi, bo to dobrzy pisarze. Ciekawy jest jednak fenomen kilku „żubrów” polskiej prozy, którzy wciąż są w bardzo dobrej formie i nadal są czytani. Konwicki, Miłosz (świetny „Piesek przydrożny”), Herling-Grudziński.

– *A zmiany w twórczości pisarzy młodszych?*

– Zmiana, jaka nastąpiła, dotyczy nie tylko języka. Weźmy

choćby Gretkowską, która jest kimś w rodzaju Andy Warhola polskiej prozy, w czym ja nie widzę zresztą powodów do chwały. Nie ma rady: Stasiuk lepszy. Ale Gretkowska ma niewątpliwą przewagę nad większością dzisiejszych pisarzy. Chwyciła nerw czasu. Ona filozofuje w prozie trochę tak, jak to robią zafascynowane tarotem, Jungiem i wiedzą ezoteryczną czytelniczki kolorowych pism dla „wyjątkowo interesujących kobiet”, które lubią tajemnicę, ekscentryzmy obyczajowe, a także kalejdoskopiczny język efektów formalnych. Dotąd z tą publicznością mało kto z ambitniejszych pisarzy potrafił złapać kontakt. A ona to potrafi. Na innym poziomie, znacznie bardziej serio, podobne rzeczy pisze Ewa Kuryluk. Czy to są jednak rzeczy głębokie, to inna sprawa. Od „Kabaretu metafizycznego” wolę „My zdiess emigranty”. A w „Hotelu Orient” Kuryluk wszystko wiruje jak tłuczone szkło w betoniarce. Spójna forma opowiadania rozpada się.

– *Czy kultura obrazkowa wpływa dziś na język prozy?*

– Oczywiście, że wpływa. Gretkowska w swojej prozie bawi się ekscentrycznością własnej duszy, ale warto też zwrócić uwagę, jak ona czaruje czytelnika urokami wielkoprzemysłowego miasta zachodniego, a więc poetyką szybkiego „strumienia atrakcji”. Cała ta zabawa jest jednak, jak sądzę, podsztyta lękiem przed społecznym wyobcowaniem. Część młodszych autorów panicznie chce dziś nawiązać poprzez ekscentryczną formę kontakt z pokoleniem wychowanym na języku telewizji i reklamy, które to pokolenie rzekomo ma zdominować rynek książki. Tymczasem to jest mit. Publiczność literacka w Polsce jest tak samo zróżnicowana jak języki polskiej literatury. Książki Tokarczuk czy Pilcha mają co najmniej tylu czytelników co „Kabaret metafizyczny”.

– *Czy ta zmiana horyzontu wartości stanowi zagrożenie dla polskiej literatury?*

– Literatura polska radziła sobie nie z takimi zagrożeniami. To zresztą bardzo dobrze, że wśród polskich pisarzy jest ktoś taki jak Gretkowska, Kuryluk czy Goerke, bo takiego tonu w niej brakowało. Zmiana horyzontu jest jednak bardzo wyraźna. Po roku 1989 do grobu złożono tradycję Nowej Fali i

tw. zaangażowanie. Dziś właściwie nikt nie chce pisać tzw. wielkiej powieści współczesnej, nikt nie rysuje panoramy ustrojowego przełomu czy portretu nowej Polski. Czy to jest jednak powód do rozpacz? Czytelnicy polscy – wbrew opiniom publicystów – wcale nie czekają na nowe „Przedwiośnie” i pisarze doskonale to czują. Gdyby polska publiczność naprawdę czekała na nowe „Przedwiośnie”, to by ono powstało. Ale nawet Myśliwski napisał monumentalną powieść o polskiej rodzinie, a nie o sprawie polskiej.

– *Jak głęboko sięga ta zmiana oczekiwań?*

– Wyobraźnia zbiorowa w Polsce staje się coraz bardziej „mityczna” i coraz mniej „współczesna”, z czego polskie kino już, jak myślę, zdało sobie sprawę. Ja sam wolę „Pieska przydrożnego”, w którym mowa jest o rzeczach podstawowych, od jakiegoś wymarzonego „Przedwiośnia” lat dziewięćdziesiątych, w którym zostałyby wymierzona sprawiedliwość widzialnemu światu. Zresztą wszelkie uogólnienia są podejrzane: sprawa polska przestała zajmować polskich pisarzy, ale – dodajmy – na przykład w prozie Pilcha mówi się o dzisiejszej Polsce nadspodziewanie wiele. Oczywiście dobrze by było, gdyby jednak to nowe „Przedwiośnie” ktoś napisał.

– *Mówi się dziś, że ludzie przestają czytać.*

– Powiedzmy sobie wyraźnie: zawsze czytała mniejszość i zawsze czytać będzie tylko mniejszość. Nie zmieni tego nawet przymusowa matura dla wszystkich. Nie jest to jednak żadna katastrofa. Przeciwnie: skoro tak jest, nie ma sensu ulegać „duchowi czasu”. Literatura powinna mieć własny język, inny niż język audiowizualnych środków przekazu. Zawsze istnieli i zawsze będą istnieć wielbiciele słowa, i to właśnie dla nich się pisze. I oni zawsze będą szukać w literaturze – powiem staroświecko – pięknego języka i głębszej myśli, przede wszystkim zaś głębszej refleksji egzystencjalnej, a więc tego, co jest mi bliskie.

– *Czy spadkowi czytelnictwa sprzyja wyraźny dziś w prozie odwrót od „sztuki opowiadania”?*

– Pewnie, że sprzyja. Część krytyków dość lekceważąco mówi

dziś o prozie jako o opowiadaniu historii. Ja jednak myślę, że niedobrze jest, gdy proza odrywa się od swojej sytuacji macierzystej, którą zawsze było opowiadanie – przy ogniu, nad rzeką, w zajeździe na skrzyżowaniu dróg, przy stole, na książącym dworze – jakiejś historii. Kiedy pisarz odrywa się od sytuacji macierzystej, zaczyna montować tekst z „elementów lingwistycznych”. Traci tym samym wyczenie melodii tekstu. Tymczasem powieść zaczyna się od ustawienia głosu. Dlatego mnie nie interesują dzikie eksperymenty formalne, którymi pisarze manifestują swoją odrębność. Wolę, gdy pisarze różnią się między sobą samymi półtonami głosu, tak jak van Dyck różnił się od van Eycka. Obaj uprawiali malarstwo realistyczne, ale od razu wiadomo, który obraz jest czyj. Inny ślad ręki na płótnie. I to wystarczy.

– *Z powieścią jest podobnie?*

– Powieść też jest śladem ręki. Jeśli pisarz ma ciekawą duszę, to ten ślad będzie ciekawy. Nie musi szaleć i przewracać wszystkiego do góry nogami. Jeśli nie ma ciekawej duszy, to nic mu nie pomoże, nawet najbardziej ekstrawaganckie pomysły formalne. Nabokov, Kundera, Hrabal, Grass – ci potrafią opowiadać! Czy polscy pisarze radzą sobie z opowiadaniem historii? Czasem bierze się to stąd, że nie pragną oni wcale „mówić” do czytelnika, wolą raczej „układać” interesujące struktury. To dość zasadnicza różnica.

– *Czy komputeryzacja pisarskich warsztatów sprzyja pisaniu powieści?*

– Ja wszystko piszę ołówkiem i piórem marki Parker. Komputera używam dopiero w końcowej fazie redakcji tekstów, bo bardzo lubię czuć pod palcami papier. Ta ołówkowa liniowość pisania pozwala mi „słyszeć” rytm opowiadania. A komputer robi z pisania właśnie rodzaj montażu elementów, przez co gubi się muzyczną ciągłość narracji.

– *Czy kryzys „sztuki opowiadania” we współczesnej prozie to także „kryzys bohatera”?*

– W polskich powieściach współczesnych dzieje się rzeczywiście bardzo niewiele, ale nie jest to tylko sprawa ostatnich

lat. To jest ogólniejszy problem polskiej kultury. Przez wiele dziesięcioleci byliśmy społeczeństwem skazanym na bezruch. Być może dlatego człowiek działający nie stał się bohaterem polskiej literatury. Był nim człowiek walczący, ale to co innego.

– *Kryzys fabuły pojawił się w całej literaturze zachodniej.*

– Tak, to mogło się z tym wiązać. Pewną rolę odegrał też przesąd, który pokutuje zresztą do dziś: że jakoby z definicji literatura fabularna jest „niższa” od literatury afabularnej. Ale u nas odgrywały ważną rolę także historyczne okoliczności lokalne. Polak działający wydawał się postacią nieco surrealistyczną albo moralnie podejrzaną. Wystarczy porównać, jaką rolę odgrywa intryga w powieści polskiej i na przykład angielskiej. Że myśmy tęsknili do bohaterów powieściowych z krwi i kości, dowodzi choćby niestabnąca popularność „Lalki”, książki, która nie jest żadną opowieścią o romantykach i pozytywistach, tylko o tym, jak przy pomocy intryg i pieniędzy zdobywa się kobietę. Brak powieści o człowieku działającym wynikał, jak myślę, także ze słabości polskiej kultury mieszczańskiej. Ale to są przypuszczenia, przy których nie będę się upierać.

– *Czy ta rezerwa wobec człowieka działającego ma miejsce także w twórczości najnowszej?*

– Także i dziś mało kto (może z wyjątkiem satyryków) myśli o tym, by napisać wielką powieść o biznesmenie. Ja się zresztą temu nie dziwię. Wokulski w adidasach i dresie w paski, który sprytem i pieniędzmi walczy o miłość pięknej damy? Potrzeba tu – jak myślę – nieco więcej balzakowskiego patosu, który najpierw musi pojawić się w życiu, by dopiero potem rozkwitnąć na kartach powieści. Bez prawdziwej arystokracji nie ma romansu mieszczańskiego.

– *Dominuje w prozie perspektywa liryczno-subiektywna?*

– Większość książek prozatorskich, które ostatnio powstają, to literatura kontemplatywna, liryczna, refleksyjna, nastawiona na ekspresję i opis myśli i uczuć. Także „Biały kruk” Sta-

siuka od tego nie odbiega, choć z pozoru jest mocną „książką akcji”. To samo dotyczy sfilmowanej przez Wajdę „Panny Nikt” Tryzny. Mnie samego też interesuje przede wszystkim świat i język polskiej inteligencji, która, jak myślę, wciąż nie należy do klas czynnych. To jest mój świat i język macierzysty. Dlatego bliższe są mi na przykład „Brzezina” i „Panny z Wilka”, niż opowieść o dynamicznym kupcu z Krakowskiego Przedmieścia, zresztą także zatruta inteligenckimi miazmatami egzystencjalnej kontemplacji. Ale, kto wie, może to się niebawem zmieni.

– *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał Remigiusz GRZELA

Bieńkowski, czy Jan Strzelecki i wielu im podobnych. Poza tym działali w PRL samodzielnie i odważni naukowcy i intelektualiści, żeby wymienić dla przykładu: Czesława Bobrowskiego, Stanisława i Marię Ossowskich, Edwarda Lipińskiego, Józefa Chałasińskiego, Adama Krzyżanowskiego, a z młodszej generacji Jana Strzeleckiego, Karola Modzelewskiego, Jana Józefa Lipskiego, czy Jacka Kuronia. PRL miał więc złożoną historię i nie można jej sprowadzać najpierw do totalizmu i później do dyktatury partii, lecz trzeba dostrzec w niej wielu ludzi odważnych i niezależnych. Był wśród nich jednym z największych kardynał Wyszyński, który troszczył się o sprawy Kościoła, ale także społeczeństwa i paradoksalnie był uwięziony podobnie jak Władysław Gomułka ponad trzy lata i odbywał okres odosobnienia w ostatnim jego etapie w warunkach znośniejszych niż dawny szef rządzącej partii. PRL nie był państwem suwerennym ani demokratycznym ale mimo jego doktrynerstwa społeczeństwu i rządzącym udało się zbudować Polskę bogatszą i silniejszą niż ją mieliśmy w 1939 roku. Nie zamierzam puszczać w niepamięć wszystkich niegodziwości, których byliśmy świadkami przez 45 lat istnienia PRL-u ale nie wolno także przemilczać jej realnych osiągnięć, jakimi była likwidacja skrajnej nędzy, analfabetyzmu, rozwój nauki i oświaty oraz rozwój budownictwa mieszkaniowego i przemysłowego. Najbardziej bolesny w tamtym państwie był brak wolności, jednakże już w latach siedemdziesiątych udało się opozycji utworzyć poza państwowym obiegiem słowa drukowanego, drugi obieg nielegalny, który ukształtował ogromną większość ludzi czynnych dzisiaj w życiu publicznym III Rzeczypospolitej.

Niestety słowa „komuna” i „postkomuna” mają świadczyć, że dzisiejsza lewica polityczna jest zwykłą kontynuacją minionego ustroju i zbankrutowanej partii rządzącej. Nie odpowiada to prawdzie. W organizacjach i środkach przekazu dzisiejszej lewicy przestali odgrywać decydującą rolę dawni przywódcy PRL i PZPR. W nowej lewicy została pewna liczba dawnych działaczy średniego szczebla ale napływ ludzi młodszej generacji tak bardzo zmienia oblicze dzisiejszej lewicy polskiej, że absolutnie nie zasługuje ona na fałszywe określenie – postkomuna. Proces tych zmian będzie teraz znacznie przyspieszony, bo w zmieniającej swe struktury

Kraj

Postkomunizm

Postkomunizm, czy postkomuniści – są to słowa nie opisujące określonych środowisk i prądów umysłowych w Polsce, lecz stanowią epitety, mające za zadanie zdezaktywować w społeczeństwie lewicy politycznej w Polsce. Także w okresie PRL wielu członków PZPR niezbyt identyfikowało się z ideologią komunistyczną, lecz tkwili w partii rządzącej, by mieć wpływ na odbudowę i rozwój kraju, lub też z przyczyn konformistycznych, by urządzić sobie i swoje rodziny i zapewnić im możliwie godne życie. Naturalnie byli w partii przekonani i oddani komuniści, lecz większość jej członków kierowało się realizmem politycznym lub oportunistem.

W obecnej Polsce komuniści stanowią mało liczącą się przybudówkę SLD, podczas gdy w Rosji partia komunistyczna jest poważną siłą polityczną. Wszystko to trzeba także widzieć w kontekście faktu, że Stalin najpierw doprowadził do rozwiązania Komunistycznej Partii Polski jeszcze przed II wojną światową, a w czasie wojny odbudował ją w oparciu o kadry mu posłuszne. Komuniści przybyli z ZSSR znaleźli się w kraju w konflikcie z miejscowymi kadrami partyjnymi i wyeliminowali je z polityki w latach 1948-1949. Zdecydowany totalizm panował w PRL od 1948 do połowy 1956 roku. W jego ramach uwięziono także szefa rządzącej partii Gomułkę i przebywał on w więzieniu od sierpnia 1951 roku do grudnia 1954 roku. Kiedy więc piszę o komunistach polskich wyłączam z nich świadomych morderców i zbrodniarzy pozostających na żołdzie sowieckim. Byli natomiast w zjednoczonej z PPR i PPS partii odważni i samodzielnie myślący ludzie, jak Juliusz Hochfeld, Władysław

formacji lewicowej znajdzie się coraz więcej działaczy nowego pokolenia.

Oczywiście między ludźmi dawnej lewicy pozostały pewne więzy przyjaźni, a także w obliczu nagonek prawicy – solidarności. Ale powiązania te nie mają nic wspólnego z powrotem do dawnego myślenia doktrynalnego. Przeciwnie, możemy obserwować fascynację naszej lewicy znaczeniem zachodniej Międzynarodówki Socjalistycznej, o której członkostwo SLD postarała się szybko i czuje się w tym nowym środowisku jak u siebie w domu. Komunizm jako ideologia obumarł w Polsce definitywnie, z wyjątkiem nielicznych ludzi, mających tendencje do myślenia doktrynerskiego.

Prawica nie za bardzo zdaje sobie sprawę z tych przemian na lewicy i stara się przeciwstawić jej tradycje narodowo-katolickie, czym – moim zdaniem – szkodzi Kościołowi. Katolicyzm oznacza powszechność, a nie tylko narodowy charakter religii. Osobiście jestem przeciw monopolowi prawicy na wartości chrześcijańskie, lecz jednocześnie uważam, że bardzo zaszkodziłoby lewicy ciągnięcie za sobą szczątków dawnych PRL-owskich ugrupowań typu PAX-u i CHSS-u, niezależnie od tego, jak one się później i dzisiaj nazywają. Lewica powinna strzec się ludzi i ugrupowań niegdyś dywersyjnych wobec Kościoła katolickiego. Raduje mnie natomiast, gdy słyszę, że wśród młodzieży SLD jest wielu ludzi, deklarujących się jako katolicy, czy chrześcijanie. Pluralizm światopoglądowy lewicy będzie jeszcze jednym dowodem, że nie ma ona nic wspólnego z dawną komuną, poza wspomnieniami przeszłości. I tylko taka wizja lewicy jest atrakcyjna dla obecnych i nadchodzących pokoleń.

Nową lewicę w Polsce najbardziej odróżnia od miniego systemu fakt, że nie ma ona doktrynalnej koncepcji systemu państwowego, lecz stojąc na gruncie powszechnego w większości cywilizowanych krajów świata systemu wolnej gospodarki rynkowej, pragnie nadać jej znamiona względnej sprawiedliwości społecznej, a więc maksymalnych osłon społecznych dla warstw biedniejszych, zagrożonych bezrobociem, słabiej wykształconych i mających coraz trudniejszy dostęp do dóbr kultury, opieki społecznej i służby zdrowia, żeby wymienić sprawy najważniejsze. Bardzo wielu ludzi nie zdaje sobie u nas sprawy, że tzw. liberalna gospodarka

rynkowa jest czymś innym w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej niż w Europie. Europa nie jest tak bogata jak USA i choćby z tego powodu musi otaczać większą opieką socjalną warstwy najuboższe materialnie, a tym samym kulturalnie. W Europie państwo bardzo często musi brać na swe barki odpowiedzialność za ludzi biednych i słabych, bo realnie nikt im nie pomoże, poza wypadkami nadzwyczajnymi, budzącymi wrażliwość moralną i społeczną. W Ameryce jest wiele fundacji i inicjatyw społecznych, że powstał niejako nowy, bardziej zdecentralizowany model opieki i inicjatywy społecznej. Choć i tam istnieją obszary biedy, choć najczęściej w innych dzielnicach miast niż obszary bogactwa. Liberałom bardziej podoba się model amerykański, co idealnie ilustruje w Polsce prof. Leszek Balcerowicz. Lewicy socjaldemokratycznej, a w jej ramach naszej nowej SLD bliższy jest model europejski, w którym państwo corocznie tworząc budżet powinno coraz większą uwagę skupiać na życiu i czasem dramatycznych sytuacjach ludzi pokrzywdzonych przez los, czy też najuboższych socjalnie.

Wracając do mojej walki z demagogią zawartą w słowach „postkomuna” lub „postkomuniści” chcę z całą mocą podkreślić, że aktualnie istniejąca lewica nie myśli o wprowadzaniu jakiegoś nowego systemu doktrynalnego, ani walki klasowej, natomiast dąży do maksymalnych w ramach realiów gospodarczych osłon społecznych dla warstw najuboższych materialnie i społecznie. Naturalnie wiąże się to wszystko ze sprawą majątku narodowego, który za czasów PRL w decydującej części został skomasowany w rękach państwa, co osłabiło jego wydajność, a zarazem podniosło koszty produkcji. Te dwa aspekty prywatyzacji najbardziej dzisiaj godzą w interesy warstw najbiedniejszych. Powstał swego rodzaju bałagan prywatyzacyjny, o czym świadczy wiele procesów sądowych związanych ze sposobami prywatyzacji majątku narodowego. Prywatyzacja nie jest celem samym w sobie. Ma ona natomiast sens, jeśli prowadzi do obniżenia kosztów produkcji, przy jednoczesnym zwiększeniu jej wielkości i zmniejszeniu jej cen. W Polsce prowadzi się wiele badań i eksperymentów w służbie zdrowia, oświacie, opiece społecznej i w tym podobnych dziedzinach. Natomiast brak nam powszechnie dostępnych danych na temat zmian własnościowych

i brak odpowiedzi na pytanie komu przynoszą one straty, a komu zyski. Ponieważ rządząca centro-prawica jest bardzo powolna w dawaniu na te wszystkie reformy klarownych odpowiedzi, to zadanie to obciąża coraz bardziej lewicę socjal-demokratyczną. Bynajmniej nie dlatego, że lewicy tak bardzo spieszy się do władzy, lecz przede wszystkim dlatego, by społeczeństwo wiedziało, czy na tych wszystkich reformach kraj nasz w końcu zyska, czy straci? Poza sprawami ściśle socjalnymi jest to w tej chwili główne wyzwanie dla polskiej socjaldemokracji.

Andrzej MICEWSKI

Coraz ciekawiej...

1.

Transformacja społeczno-gospodarcza w Polsce, to nie jest po prostu kapitalizm. Jest to kapitalizm konstruowany w warunkach rosnącego ciśnienia globalizacji, kapitalizm w wariacie anglosaskim czyli głównie amerykańskim, najbardziej zdaniem proponentów przydatnym przy takim ciśnieniu. Tak skonstruowany kapitalizm zrywa z wypracowaną stopniowo od połowy XIX w. względną równowagą pracodawców i pracowników w przetargu społecznym, zapewniając tym pierwszym, poprzez pełną swobodę międzynarodowego rynku finansowego, bezwzględną przewagę. Kapitał wędruje swobodnie ale ludzie i ich stanowiska pracy tkwią w miejscu. Groźba takiej wędrówki wymusza nieustannie oszczędności za cenę redukcji zatrudnienia, blokady płac i ograniczania funduszy socjalnych. Kapitał pewien swej siły nie potrzebuje wsparcia ze strony sektora państwowego, toteż dąży do jego maksymalnej redukcji: prywatyzuje się wszystko czy prawie wszystko, nie tylko szpitale ale także więzienia. Prywatne służby ochrony i bezpieczeństwa są już liczniejsze od policji państwowej.

W całej gospodarce coraz mniej jest miejsc pracy produkcyjnej, coraz więcej usług niskokwalifikowanych; coraz mniej pracy stałej, coraz więcej kontraktów lub po prostu umów o dzieło. Nawet jeśli, przy dobrej koniunkturze, nie przybywa bezrobotnych, to na pewno przybywa niepełnego czasu pracy... Polska jeszcze nie osiągnęła modelowej pełni na tej drodze, ale przewodnicy naszej transformacji nigdy nie spoczywają. Leszek Balcerowicz i jego główny doradca Stanisław Gomółka, nie śpią po nocach i przygotowują kolejne reformy. Starzy Polacy powiadają, że jeśli zdarzy się jeszcze rok bez reform, to tak jakby znów pojechali na wakacje. W wyzmaczce transformacyjnej korba stale się kręci.

Dochód narodowy (PKB) powinien – Balcerowicz *dixit* – do r. 2010 wzrastać o 7-8% rocznie. Teraz wzrost kształtuje się na poziomie 3-4%, bezrobocie znów rośnie. W marcu stopa bezrobocia wyniosła 12,1% wobec minimum 9,5% w sierpniu 1998. Deficyt handlu zagranicznego nie maleje, wykonanie budżetu (80% przewidywanego rocznego deficytu w 4 miesiące) każe się spodziewać (obawiać) nowelizacji budżetu.

Wszystkie równowagi w gospodarce i w rosnącej mierze również jej dynamika są pochodną napływu kapitału z zagranicy. Bezpośrednie inwestycje zagraniczne w Polsce w okresie 1989-1998 wyniosły 30,7 mld dol. (w tym niemieckie 5,1; amerykańskie zaś 4,9 mld dol. – statystyki PAIZ czyli agencji inwestycji zagranicznych są zresztą bardzo dziurawe). Prawie 10 mld dol. z tej sumy napłynęło w r. 1998 i ministrowi skarbu Wąsaczowi rząd kazał robić wszystko, żeby prywatyzacja w br. była dość duża, by ten zeszłoroczny „sukces” powtórzyć. Rzecz w tym, że 85% inwestycji zagranicznych w Polsce, to wykup istniejących przedsiębiorstw i następnie ich doinwestowywanie. Inwestycji „w polu” jest niewiele, a jeśli są, to inwestorzy domagają się zwolnień podatkowych i przywilejów handlowych, które czasem przekraczają możliwości państwa (przemysł motoryzacyjny).

Szczególnie czułym sektorem jest sektor finansowy. W tej chwili wg obliczeń postów SLD kapitał zagraniczny stanowi 40-45% kapitału polskich banków, a ogłoszone już projekty prywatyzacyjne podniosą ten udział do 60% podczas gdy w takich krajach jak Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Włochy, udział obcych kapitałów w bankowości nie

przekracza 15%. Zdaniem SLD „dyspozycyjność systemu bankowego umożliwi kreowanie polityki przez rząd”, a banki zależne od wielkich centrów za granicą takiej dyspozycyjności oczywiście nie zapewnią. Sprawa, wbrew beztrójce liberałów, staje się tym ważniejsza, że powstające fundusze emerytalne będą inwestować bardzo znaczne kapitały. W dużej mierze od obsługi bankowej zależy, czy zainwestują je w Polsce czy też w pogoni za maksimum zwrotu wywiozą w świat.

W ogólności prywatyzacja jako źródło dochodów budżetu zacznie się wkrótce wyczerpywać. Zależność od kapitału zagranicznego zaczyna ze swej strony krępować ruchy strategów z Ministerstwa Finansów: tak np. chcieli oni teraz opodatkować oprocentowanie rachunków bankowych (nb. na wzór UE), ale sceptycy od razu wysunęli argument, że wobec tego kapitał będzie „uciekał”. Powodów, dla których kapitał może uciekać, jest bez liku. I im bardziej polski wzrost zależy od tego kapitału, tym swoboda sterowania w gospodarce polskiej jest mniejsza.

U podłoża projektowanej przez Ministerstwo Finansów i wciąż twardo negocjowanej w rządzie i w koalicji reformy podatkowej jest chęć zwiększenia akumulacji kapitału. Ekipa Balcerowicza wbrew krytykom z SLD nie wierzy w podatkowe ulgi inwestycyjne jako że stanowią one ingerencję w proces decyzji inwestycyjnych, które powinny być dyktowane przez „czyste bodźce” rynkowe. Od ulg inwestycyjnych ma już być niedaleko do inwestycji nietrafionych czyli kłania się Komisja Planowania. Ekipa Balcerowicza chce więc obniżyć po prostu stopę podatkową od osób prawnych (CIT) już w 2000 r. do 28% i potem co rok o 2% aż do 22% w 2003 r. w zamian za zniesienie ulg. Poza tym, w osłabionej wersji spłaszczony podatek od osób fizycznych (PIT), zamiast trzech mają być dwie klasy PIT: najbogatsi zarobili 12 punktów procentowych, z 40% do 28%, szaraki nic lub co najmniej 1 punkt procentowy. W PIT również nastąpiłoby zniesienie ulg, zwłaszcza możliwości wspólnego opodatkowania małżonków. Trudno coś bliższego powiedzieć o skutkach tych operacji podatkowych bez szczegółowej analizy symulacji sporządzanych w ministerstwie. W ogólności reakcja kół politycznych jest bardzo chłodna, nawet propozycja dodatkowej obniżki CIT (bo obniżka o 2% w 2000 r. jest przewidziana

już w ustawie podatkowej z 1997) w zamian za zniesienie ulg budzi wątpliwości.

2.

Lepiej zorientowani politycy wiedzą, że Leszkowi Balcerowiczowi nie tyle zależy na obniżce podatków, co na redukcji udziału budżetu w dochodzie narodowym, zwłaszcza zaś na redukcji wydatków socjalnych. Grupa znanych ekonomistów społecznych z lewicy i prawicy* ogłosiła 10 maja protest, który zaczyna się następująco:

„Z wielkim niepokojem śledzimy podjętą przez ministra finansów kolejną ofensywę w postaci tzw. ‘Strategii finansów publicznych i rozwoju gospodarczego Polska 2000-2010’, zmierzającą faktycznie do pogłębienia negatywnych zjawisk występujących w naszym kraju w ostatnich latach. Istotę tego przedsięwzięcia można określić jako zamiar wsparcia zbankrutowanej liberalnej strategii gospodarczej środkami finansowymi biednej części ludności”.

W dalszym ciągu protestujący piszą, że ceną za projekty podatkowe ministra ma być

„drastyczne zmniejszenie wydatków budżetowych na cele społeczne, a więc zdrowie i edukację, kulturę, renty, emerytury itp. Przewiduje on spadek udziału sfery usług społecznych z ok. 30% PKB obecnie do poniżej 10% PKB w 2010 r.”

Taka polityka ministra finansów oczywiście podsyca konfliktu społeczne. Kolejne reformy uderzają w interesy lub nawet podstawy egzystencji rozmaitych grup całkiem lokalnych (jak „racjonalizacje” przedsiębiorstw i branż) do bardzo dużych jak chłopstwo czy pacjenci służby zdrowia. Politycy typu Balcerowicza, któremu nieustannie każdą publiczności głównych polskich mediów, przestali już w ogóle dostrzegać, że ich credo polityczne budzi rosnącą wrogość. W tej chwili szykują się (na 27 maja) nowe manifestacje rolnicze, które najbardziej bojowi publiczności radzą z góry rządowi rozbić siłą. Jeśli rząd posłucha, to możecie państwo czytać niniejsze w zupełnie nowej sytuacji politycznej. Ale również jeśli nie posłucha, tylko coś obieca, coś załata i coś odroczy, sytuacja polityczna w Polsce będzie

* prof. prof. Paweł Bożyk, Dariusz Grabowski (poseł), Józefina Hryniewicz, Mieczysław Kabaj, Stefan Kurowski, Aleksander Legatowicz, Jan Lipiński, Marian Ostrowski, Antoni Rajkiewicz, Eugeniusz Rychlewski, Andrzej Tymowski, Janusz Szewczak, Augustyn Woś, Jerzy Żyżyński.

teraz ewoluować dość, jak sędzę, pospiesznie i w dość wyraźnej zależności od nastrojów społecznych. To już nie będą jedynie niskie targi o władzę, posady i pieniądze.

Rządząca koalicja gubi oddech

Kryzys dotyka przede wszystkim AWS. Nic nie wyszło z haseł wyborczych. Jedyne dokonanie, lustracja, okazało się samokompromitacją. Posłowie KPN „Ojczyzna”, wspomagani wcale zresztą niedyskretnie przez Jerzego Urbana, podchwycili okazję do wejścia na środek sceny. Co „organa lustracyjne” w osobach Rzecznika Interesu Publicznego (a jakże!) sędziego Nizieńskiego i doradzających na zapleczu posta prokuratora Iwanickiego oraz b. przewodniczącego SN Adama Strzembosza, zrobiły ze sprawy premiera Buzka, było żałosne. Nizieński nawet nie przesłuchał zgłoszonych przez posta Karwowskiego świadków. Co najgorsze, było to zachowanie najzupełniej nieskuteczne, gdyż Karwowski i tak odesłał wniosek do Sądu Lustracyjnego. Tym razem jednak w wirówce lustracyjnej znalazł się *implicité* sam lustrator, Nizieński.

Najbardziej zagorzali lustratorzy uciekają w przód i krzyczą teraz, że trzeba zaraz przystąpić do dekomunizacji której projekt od roku leży w Sejmie. Ale afera z lustracją premiera Buzka wstrząsnęła całą formacją.

W takich chwilach nawet politycy robią po cichu rachunki, liczą aktywa i pasywa. Jedyнным aktywem AWS jest „zdobycie władzy, rozdzielenie posad. Tego, oczywiście, trzeba bronić, ale jak? Znamienne są takie ośrodki terenowe jak np. Warszawa, gdzie AWS w walkach personalnych zupełnie się zatracił i właściwie jako jednolita formacja przestał istnieć. Również na szczeblu krajowym trwa wzajemne szachowanie. Ostatni ruch wykonał Janusz Tomaszewski, ojciec chrzestny RS AWS; Ruch Społeczny zwrócił się formalnie i publicznie do Mariana Krzaklewskiego, by zechciał z jego mandatu kandydować na prezydenta. Pozostałe „nogi” AWS tzn. Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe od razu wierzgnęły: a nas to się nie pyta? Ukazały się artykuły doradzające życzliwie Krzaklewskiemu, żeby, tym razem w r. 2000, odpuścił, bo z Kwaśniewskim chyba nie wy-

gra: sondaże dają prezydentowi szanse jak 3:1. Lepiej zaczekać do 2005 r. Krzaklewski oświadczył w odpowiedzi, że chciałby kandydować jedynie z ramienia całej Polski posierpniowej, ale w Unii Wolności odpowiedziano tylko, że za wcześniej o tym mówić. Jedyne Lech Wałęsa sam ogłosił się kandydatem: on również radzi Krzaklewskiemu poczekać kilka lat. „Niech dojrzeje”. Personalizacja i miałość dyskusji wewnątrz AWS nie oznacza, oczywiście, że nie ma tam poważniejszych kłopotów. Dowodzi natomiast, że zjednoczoną prawicę ogarnia skleroza programowa i paraliż inicjatywy.

Wicepremier Balcerowicz partnera do dyskusji ma tylko po drugiej stronie. Po paru miesiącach obustronnych gestów wstępnych Balcerowicz zwrócił się oficjalnie do SLD z propozycją porozumienia „wszystkich głównych sił” dla dobra Polski. Zwraca uwagę, że Balcerowicz nie mówi, czy ma pełnomocnictwa AWS – i nikt o to publicznie nie pyta. Faktem jest, że choć termin pierwszego spotkania został już wyznaczony, AWS zachowuje milczenie...

3.

Formalnie, spotkanie kierownictw UW i SLD ma na celu porozumienie co do jakiegoś wspólnego minimum polityki społeczno-gospodarczej i nie ma mowy o odwracaniu sojuszy. Na to jest jeszcze czas. Ale, oczywiście, otwarcie takiej dyskusji już stwarza nową jakość: sypie się podział na Polskę pokomunistyczną i posierpniową. Znacznie trudniej jest odpowiedzieć, na rzecz jakiej konstrukcji ten demontaż.

Ekipa Leszka Millera, której patronuje Aleksander Kwaśniewski, jest teraz pod rosnącym naciskiem lewego skrzydła SLD i w rozmaitych sprawach socjalnych podejmuje inicjatywy jawnie sprzeczne z opiniami SLD-owskich liberałów jak Krzysztof Janik, Wiesław Kaczmarek czy Barbara Blida (a wymienić mógłbym dość długo, w pierwszych ławkach tej formacji jest ich przynajmniej 20). Paradoksalnie, dyskusje z Balcerowiczem zmuszą SLD do startów o sformułowanie jakiegoś spójnego, nie zaś tylko punktowego programu działań socjalnych, którego obecnie nie ma. Marek Borowski, też liberał ale umiarkowany, bardzo się o taki program stara. Nacisk lewicy SLD wiąże się też, jak już o tym pisałem trochę uprzedzając wydarzenia w poprzedniej *Kulturze*, z nieszczęsną

wojną NATO z Jugosławią. Z pozoru obie płaszczyzny sporu, socjalna i międzynarodowa, nie mają ze sobą nic wspólnego, w rzeczywistości jednak wiąże je postulat większej samodzielności w kształtowaniu polityki państwa. Nie od dziś wiadomo, że Ministerstwo Finansów bardzo pilnie wsłuchuje się we wszystkie sugestie i zalecenia międzynarodowych władz finansowych z Waszyngtonu. Z okazji akcesu do NATO część opinii, zwłaszcza po stronie SLD, spodziewała się, że nie będzie w tej organizacji dyktatu USA, bo Europejczycy, gauliści i socjaldemokraci, za którymi opowie się też Polska, potrafią przeciwważyć nadmierny ciężar supermocarstwa. Wojna z Jugosławią obnażyła całkowitą iluzoryczność tych oczekiwań. Kierownictwu SLD kanclerz Schröder jest z pewnością bliższy niż Oskar Lafontaine. Niemniej, nie będzie ono mogło zlekceważyć szczerzej i głębiej niechęci swej formacji do bombardowania Jugosławii. Gesty takie jak histeryczna rezolucja Rady Krajowej UW – „...potępiamy tych, którzy za granicą i w Polsce występują przeciw działaniom sojuszników. Niezależnie do argumentów, jakimi się posługują, występują w obronie ludobójstwa. Często dają w ten sposób wyraz przywiązania do polityki, którą sami w przeszłości realizowali lub popierali” – zostały skrętnie odnotowane m.in. przez *Trybunę* i nie będą łatwo zapomniane.

W chwili obecnej kierownictwo SLD ma w rękę bardzo dobre karty. Balcerowicz wie, że niezależnie od tego, co ostatecznie uchwali rząd i koalicja, AWS nie będzie popierał jego programu, gdy dojdzie do realizacji. W najlepszym razie działacze AWS będą wskazywali – to nie my, to kolega. Jakieś wsparcie ze strony SLD byłoby więc dla niego bardzo cenne i zapewne gotów byłby dać za to Millerowi okazję do popisania się przed socjaldemokratycznym ludem, że oto on, Miller, wydusił z żelaznego Balcerowicza liczącą się ustępstwa.

Ale Unia Wolności ma do SLD inny jeszcze interes: ordynację wyborczą. Możliwość porozumienia SLD-AWS i uchwalenia ordynacji eliminującej mniejsze partie z Sejmu odbiera sen posłom UW. Czy chcąc tyle kupić Leszek Balcerowicz ma czym płacić?

Warszawa, 16 maja 1999

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Jestem w Ostrowie Wielkopolskim, w mieście, którego nazwy nie potrafię zapamiętać nawet gdy stoję na ładnym, starym rynku, obok ratusza, gdzie za chwilę ma odbyć się spotkanie ze mną. Nie byłoby mnie tu, gdyby nie *Kultura*. B. dyrektor muzeum, które mieści się w pięknym ratuszu na środku rynku, jest nałogowym czytelnikiem miesięcznika, a wpadł w ten nałóg na początku lat 80-tych, podczas studiów. Kiedy mówię, że jest zapewne jedynym czytelnikiem tego pisma w tym 70-tysięcznym mieście, zawieszonym między Kaliszem a Leszmem, protestuje, *Kulturę* czyta jeszcze dziewczyna, która pracuje u niego w muzeum. Witają mnie więc jak starego znajomego. Zapominam, jak wiele o sobie piszę, więc jestem nieco zmieszany, gdy nazajutrz, kiedy już się żegnamy, pyta delikatnie i nieśmiało, czy marynarka, którą właśnie wkładałam to ta kupiona we Wrocławiu? A pomyśleć, że przed laty najczęściej żaliłem się, że nie mogę kupić jakiejś części do samochodu, czy do odkurzacza. Pamiętam, że dramatem mego odkurzacza przejęła się pewna czytelniczka w Australii, szykowała się by mi przesłać nowy, ale nagle zawałił się w Polsce komunizm i części zamienne do odkurzacza przestały być problemem. Jeśli jedna lub dwie osoby czytają w Ostrowie Wielkopolskim *Kulturę*, to mało czy dużo? Istnieje zapewne kilka miesięczników niegdyś popularnych na polskim rynku, których w Ostrowie nie czyta już nikt. Tak to się wszystko pokurczyło i pokruszyło. I przecież ja sam przestałem czytać *Odrę* czy *Znak*, a *Res Publicę* przeglądam tylko dlatego, że jestem w zespole pisma. Ten bardzo dobry miesięcznik, tak popularny po słynnym przełomie, ma dzisiaj już tylko miniaturową publiczność, a sam zespół ledwie żyje. Trudno redagować i pisać teksty, za które dostaje się symboliczne wynagrodzenie, dla nie wiadomo czy istniejącej publiczności. To dla każdej pracy jest destruktywny spłot, brak publiczności i wynagrodzenia. Mam wrażenie, że co trzyma nasz zespół, to przede wszystkim możliwość spotkania się, wy-

miana myśli, czyli ciepła, w coraz bardziej zimnym i bezmyślnym otoczeniu. Miniaturowe są nakłady książek, niemal jak w ubiegłym wieku, żalosne wynagrodzenia dla pisarzy, śmierć literatury dla dzieci, ledwie dychanie polskiej prozy, jest więc na co narzekać. A brak żywych miesięczników, to w konsekwencji brak intelektualnej dyskusji. Ludzie jednak nie potrafią żyć w próżni. Stąd powrót publiczności na spotkania, nawet na to spotkanie ze mną, bo sala jest pełna. Nic jednak nie zastąpi bycia w grupie ludzi, których łączy pewien wyższy cel. Dzisiaj spotkania mają charakter zrywów, nie ma tradycji spotkania, jak nie ma już artystycznych kawiarni i stolików. Swoje zrobiła oczywiście telewizja i chroniczny brak czasu. Ze swoim zapracowaniem, ze swoimi samochodami i telewizorami ludzie stali się w Polsce ogromnie samotni, tym bardziej samotni, że mają pamięć dawnego życia, które było gęste. To jeden z nieświadomych powodów nostalgii za PRL-em. A jednak zdecydowana większość ludzi nie chce powrotu do przeszłości. Paradoksem jest, że bodaj większość Polaków uważa, że pogorszyło im się po 89 roku, ale akceptują demokrację i wolność. Cenią właśnie wolność, chociaż często mają poczucie, że ktoś za nich wybrał ich własny los, jako podrzędny. Dlatego trudno znaleźć człowieka który nie narzeka na sposób życia, na jaki sami siebie skazaliśmy lub zostaliśmy skazani. Kiedy rozmawiam z ludźmi kultury z Ostrowa widzę, że zaszczucie przez pracę, walka o pieniądze, mają tu taki sam wymiar, jak w stolicy. Możemy więc razem pogłowić się, ludzie z mojego pokolenia, nieco młodszy i starsi, jak to się stało, że zamiast jeść atrakcyjną rzeczywistość, jesteśmy przez nią zjadani. No, ale póki co jemy kolację we włoskiej restauracji w Ostrowie i zastanawiamy się nad zawziętością wolności i jej dolegliwościami. Przy sąsiednim stoliku siedzą władze miasta i koła miejscowego biznesu, przyjmują kolacją delegację z niemieckiego miasta, partnerskiego wobec Ostrowa.

Obserwuję młodzież, najpierw w Ostrowie, a wkrótce potem w piątkowy wieczór, w Krakowie. Nastąpiła już całkowita unifikacja ubiorów, twarzy, zachowań młodych w całej Polsce, w Europie. Niestety wszędzie jest taki sam krwotok przekleństw, który jednako płynie z ust chłopców i dziewcząt. Ich obnażenie się w gębie, jakby chodzili z bebechami na wierzchu. A jednak tak naprawdę często bywają wrażliwi,

mają bogatsze życie duchowe niż to demonstrowają, a demonstrowują cynizm i nihilizm. Poważnie pytani, potrafią poważnie i rozsądnie odpowiadać. Jest w nich jakaś forma rozpacz, która paradoksalnie mieszka obok radości, którą daje wolność, młodość i zabawa. Czasami mam wrażenie, że wszyscy potrzebują pomocy psychologa, brakuje autorytetów, mądrych nauczycieli, ci ostatni wydaje się, że sami potrzebują pomocy. Niedawno spacerowałem nie bez niepokoju, wielkimi blokowiskami Warszawy. Dziećmi tych zatrwających architektonicznych przestrzeni są tak zwani blokersi, bandy młodzieży, jak stada zwierząt, wykorzeni, niemal na śmierć zanudzeni, z konfliktów i agresji czynią sposób życia. Śledziłem ich bezmyślne wałęsanie się, rozpacz bezsensu i pustego życia. Choćby na przykładzie młodych widać jak drastycznie Polska dzisiaj się dzieli, na tych którzy wiele mają i na tych którzy nie mają prawie nic. W to nic, jak w puste naczynie, może wpłynąć niemal wszystko. Dzisiaj w tym miejscu Europy ludzie już nie godzą się by nie mieć prawie nic i żyć obok tych, co mają tak wiele.

W Ostrowie jest piękny, potężny neoromański kościół z początku wieku. Ciekawe, jak dobrze starzeją się te style *neo*, z neogotykiem na czele. W tym mieście, w roku 20 jako ochotnik ze swoją jednostką stacjonował Jarosław Iwaszkiewicz, był tu też w mundurze ochotnika Alaksander Wat. A Iwaszkiewicz podobnie jak ja dzisiaj, był pod wrażeniem neoromańskiego kościoła św. biskupa Stanisława, czego zapis odnajduję w jego liście do matki. W okolicy Ostrowa jest kilka bardzo pięknych pałaców i pałacyków ocalałych z pogromu wojny i z pogromu PRL-u. Pałac myśliwski Radziwiłłów w Antoninie i zamek w Gołuchowie oszołomiły i mnie a nawet jakoś upokorzyły, nie wiedziałem, że w Polsce istnieją takie piękne i znakomicie zachowane obiekty, co może być kolejnym dowodem na moje niedocenywanie Polski. W centrum Ostrowa stoi cudem ocalała z wojny synagoga, dopiero teraz wydaje się być bliska śmierci, rozpada się. Na jednym ze skwerów na kamieniach są hebrajskie napisy, to grobowe kamienie zniszczonego przez hitlerowców żydowskiego cmentarzyka, wykorzystane po wojnie jako bruk. Ktoś niedawno zauważył publicznie, że te kamienie powinno się zbierać i przenieść pod umierającą synagogę, ale w mieście nie

ma woli działania wszędzie tam, gdzie działanie nie ma charakteru merkantylnego. Ujawniają się wtedy całkowite niemożności. Za to w pobliżu kamieni bardzo energicznie wykańczany jest nowy pub. Tych pubów jest już kilka w mieście, niektóre urządzone ze stylem i ze smakiem. To miejsca spotkań młodzieży i początek kultury picia piwa, miejmy nadzieję zamiast tradycji picia wódki. Rozwój pubów w całej Polsce z pewnym trudem, ale chyba można zaliczyć do rozwijania sfery kultury, szczególnie jeśli porówna się je do dawnych mordowni.

Muzeum w Ostrowie nie tylko organizuje spotkania, ma też swoje wydawnictwo. Dostałem piękny album, gdzie zamieszczono stare pocztówki z architekturą miasta z końca wieku, z jego początku, i z okresu międzywojennego. Oglądałem kiedyś wystawę takich miejskich pocztówek w Przemyślu. Tu i tam to samo zdumienie. Wtedy to wszystko wyglądało o wiele lepiej! Na pocztówkach nie widać podwórek, można się łudzić, że wtedy były tak samo zaniebane jak dzisiaj. Nie jest to jednak pewne? Przecież moje okrutnie zaniebane warszawskie podwórko, które tak często opisuję, przed wojną wyglądało imponująco. Wiem od starszych mieszkańców, że tych bram, które teraz są kupą zardzewiałego żelastwa pilnował stróż, a szkła mozaiki, którymi były ozdobione, grały w słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Bardzo wiele warszawskich podwórek i klatek schodowych przedwojennych kamienic, nosi ślady dawnej świetności, jakby to wszystko zostało podbite przez barbarzyńskie plemiona. Więc te podwórka przedwojennego Ostrowa i Przemyśla, przynajmniej niektóre, wyglądały zapewne równie dobrze jak fasady. Dzisiaj ani jedno podwórko w tym mieście nie wygląda dobrze, tu jest pełna równość. Pocztówki z początku wieku przypominają, że na rynku w oknach i na balkonach budynków było dużo więcej kwiatów, kwitł hotel na rynku, obecnie rudera. Ciekawy był wystrój wystaw, lepsze niż dzisiaj liternictwo, stylowo urządzone kawiarnie. Ale czy można się dziwić? Sklepy i firmy miały za sobą tradycję. Dzisiaj to wszystko ma zaledwie dziesięć lat, minus 50 lat niszczenia tradycji, smaku, poczucia zakorzenienia się, do wczoraj wszystko było państwowe, czyli niczyje. Na każdym kroku widać wzruszające nawiązywanie do dawnego zwyczaju obwieszczania

napisem, od kiedy istnieje firma. Te napisy zwykle głoszą, że firma istnieje od 1992 roku lub nie do wiary aż od roku 1990, a nieporadne liternictwo wystaw przypomina, że właściciele dopiero się uczą. Miasto jest jako tako zadbane, na pewno bardziej niż miasteczka mazowieckie. Czy cała Polska z Krakowem na czele, nie woła o generalny remont? Właśnie nadszedł czas wielkiego sypania się starej substancji miejskiej, a na remont całej Polski nie ma pieniędzy.

Tuż przed wyjazdem do Ostrowa, byłem w swojej administracji na zebraniu wspólnoty mieszkańców. I znowu upadły plany „poprawienia” naszego podwórka, założenia bram, pomalowania fragmentów ścian, nic z tego, bo w sąsiednim budynku trzeba remontować dach. Opadają ręce i nie ma argumentów, dach jednak jest ważniejszy od bramy i od malowania. Pytam administratora, kiedy uważa, przyjdzie czas, że będą finanse na poprawę bezpieczeństwa i estetyki naszego otoczenia? Mówi: „nigdy”. Zawsze najpierw będzie do remontu jakiś dach lub pion hydrauliczny. Taki sam jest argument władz Ostrowa. Konieczny jest remont jezdnii i chodników, nie ma więc środków by odnowić rynek. A ten rynek, mógłby być doprawdy piękny. Rozumiem trudności, ale obok tych trudności obiektywnych, są potężne subiektywne. Władze Polski od premiera, prezydenta, parlamentu, po burmistrzów miast dużych i małych, nie doceniają jak ważna jest estetyka i ład przestrzeni, która nas otacza. W Ostrowie podobnie jak w Przemyślu, są ciekawe plany renowacji rynku, zwykle autorami bywają młodzi architekci, ale ich plany wsadza się do szuflady. To nie tylko brak pieniędzy, nieumiejętność ich zdobycia, to przede wszystkim brak czucia i woli politycznej wobec estetyki, ten brak jest w Polsce uderzający i widoczny na każdym kroku. A estetyka to istotna wartość demokracji. Cały ten brud na scenie politycznej, wszystkie wady naszej młodej demokracji, znajdują wierne odbicie w wyglądzie naszych domów, klatek schodowych i podwórek. Szansą na poprawę ulic i rynków, byłaby aktywność samych mieszkańców, choćby właściciele sklepów, którzy przecież mają w tym interes. Ale oni też cierpią na brak smaku, a dobry smak to tradycja, ona została zniszczona, króluje egoizm, dbam tylko o moje, piętro wyżej, budynek, chodnik przed

sklepem, to interes władz miasta. Dlatego tak widocznie poprawił się jedynie parter naszych miast, czasem kontrast między parterem a górą bywa humorystyczny. Niedawno powstałe wspólnoty mieszkańców są nie tylko biedne finansowo, są też biedne brakiem czucia estetyki. Dlatego tak ważna byłaby wola polityczna. Ale góra jest tak samo niewrażliwa jak dół. Estetyka kojarzy się u nas przede wszystkim z własnym mieszkaniem. I trzeba przyznać, że rośnie grupa ludzi, którzy rządzą mieszkaniami ze smakiem, stąd popularność fachowych pism poświęconych urządzeniu domu. To jest pierwszy ważny krok, do niedawna polskie mieszkania były też okropne. Należy jednak wyjść na zewnątrz, bo nadal straszy przepaść między mieszkaniem a klatką schodową. Jest rozpacz, jeśli lakier do samochodu jest zadrapany, a świerzb na klatce schodowej nie budzi uczuć.

Niepokoi brak poważnej dyskusji w Polsce. Zastępuje ją zgiełk płytkich sporów w codziennej prasie i w telewizji. Żyjemy coraz płycej i dalej od siebie, w wielu wymiarach. Kilku bliskich mi ludzi skarży się, że nigdy jeszcze nie czuli się tak samotni jak teraz. To jest też samotność braku poczucia wspólnoty w stosunku do spraw dużych, jak Polska, region, czy miasto, po sprawy małe, jak osiedle i dom. Uwiąd wspólnoty to dzisiaj nie tylko polski problem. Ale u nas jest drapieżnie i mało bezpiecznie, więc wspólnota jest szczególnie potrzebna i przecież mamy pamięć dawnych wielkich i małych spraw. Teraz nie ma spraw, są tylko interesy do załatwienia. I rośnie wokół nas las egoizmów. Nawet altruści ze zdumieniem widzą, jak na ich balkonach zaczyna kwitnąć egoizm.

Na każdym kroku obserwuję z niepokojem rozpad poczucia wspólnoty. Polskę roztrzaskała wojna i komunizm. Powinno być czasami próby zebrania do kupy mieszkańców swojego kwartału, ustalenia czegoś wobec nieszczęsnego podwórka, zwykle kończą się tym, że nikt nie przychodzi na spotkanie. A gdy pojawi się kilka osób, trudno cokolwiek ustalić, wszyscy się kłócą, są sprzeczne interesy i opinie. Obok tej małej sprawy, rodzi się wielkie pytanie czym jest Polska

dla Polaków? Najczęściej o niej bredzą kretyńscy śliniacze nacjonalizmem, niczego nie zbudują, raczej zniszczą. Polska jako wspólny zbiorowy obowiązek, jest dzisiaj w szczątkach. Ta Polska darta jest w pijanych gardłach piłkarskich kibiców, rozkretniana w pismach narodowych, ogłupiana w gębach partii narodowych, olewana w duszy młodego pokolenia. Ta Polska ledwie żyje na wsi, chłopci pojmują Polskę swoiście, lokalnie i niepewnie. Za to Kościół nieustannie podłącza Polskę i naród do religii, co jest sprzeczne z istotą chrześcijaństwa. Więc nie przypadkiem, co miało wartość w czasach niewoli, w kraju wolnym staje się wypaczeniem religii, a religijny patriotyzm w jakiś zdumiewający sposób stacza się u nas w nacjonalizm. Polska też bardzo osłabła w sercu polskiej inteligencji, sama inteligencja ledwie żyje, kiepsko zarabia, walczy o pieniądze i przestała być ważna, niemal wszystkich bolą więc zęby, a jak bolą zęby to trudno o ładne poczucie wspólnoty. Zresztą z kim nasza światła inteligencja ma się identyfikować, z finansową zachłannością, z chamstwem dookolnym, ze Świtoniem, który w swoim obłędzie uparcie stawia następne krzyże w Oświęcimiu (wkrótce mają go uroczyście z tymi krzyżami usuwać, przysięga, że się samospali. Najwyższy czas). Nawet z drużyną piłkarską trudno się identyfikować, bo ich nieustannie leją. Zostaje historia i literatura, coraz słabiej znane przez młode pokolenie.

A najbrzydziej jest na scenie politycznej. Czy nasi politycy nie są jednak tylko dziećmi społeczeństwa? Nie wierzę, że są okropni politycy a dobre jest społeczeństwo. Żyjemy w kraju gdzie zamiast debaty politycznej są nieustanne spory. Zaciętrzenie, które przypomina zawziętość kibiców sportowych, zawsze bezkrytyczni wobec własnej drużyny, a bezlitośni dla przeciwników. Każda publiczna debata polityczna rozgrywa się wedle podobnego scenariusza: etatowy ujadacz AWS-u stara się złapać za gardło przedstawiciela SLD, a ten udaje, że jest człowiekiem kulturalnym, co przychodzi mu bez trudu, skoro ma takie tło. W środku zwykle siedzi ograniczony umysłowo przedstawiciel partii chłopskiej. Czasami w debacie bierze udział ktoś z Unii Wolności, to zwykle jest oddech ulgi, ale z lekkim zapachem narcyzmu. W tych debatach od razu wiadomo, kto co powie. No i jak tu się dziwić, że ludzie zaczęli traktować polityków jak chuliganów, którzy wchodzą w szkodę.

Spotykam znanego artystę X., jest senatorem. Przy biesiadnym stole opowiada o obradach Senatu, jak opowiada się pikantne anegdoty, pamiętam, że z taką pasją w czasach studenckich opowiadaliśmy o studium wojskowym, kpiąc z kretyństwa naszych oficerów. Postacią najbardziej anegdotyczną w Senacie jest rzecz jasna radiomaryjna pani marszałek Alicja Grześkowiak. To za jej błogosławieństwem pewnego dnia do Senatu wmaszerował w krótkich spodenkach, tłusto-udy oddział harcerzy niosąc ogień święty. Jakby chciano wypłoszyć pogańską część naszego Senatu. Pękamy ze śmiechu słuchając tych opowieści, by uświadomić sobie, że podobnie wygląda Sejm i że to jest wybrana przez nas reprezentacja polityczna kraju. Wybraliśmy kabaret. Nic dziwnego, że temu prawdziwemu przyszło zemrzeć. X nie tylko obserwuje Senat, wiele jeździ po Polsce i potwierdza moje najgorsze przeczucia. Dzisiaj nowa władza w Polsce, na wszystkich szczeblach, to drugi, trzeci garnitur „Solidarności”, ci co wcześniej się nie zapalali, głodni, sfrustrowani, niemądrzy. Senator, który dobrze pamięta czasy PRL-u, a nie był wtedy daleko od władzy, mówi, że owe towarzystwo do złudzenia przypomina aktyw partyjny. „Ich głównym śmiertelnym wrogiem są jakieś komuchy, zabawne bo nie widzą, że mentalnie a nawet gębiasto, oni są podobni do komuchów, są bardziej do nich podobni niż obecni postkomuniści”. Ale się porobiło! A więc nowa nomenklatura z tą samą gębą co kiedyś – jest faktem.

M. który już dosyć dawno przestał być ministrem, na własne życzenie, a to jest rewelacja w RP, chociaż dzisiaj zupełnie bezpartyjny, nadal jednak jest w obiegu. Podkreślam, miał otwarte i wyraźne przekonania, których potrafił do upadłego bronić, wierzę więc, że jest uczciwy nadal. Ale teraz przy bliższym poznaniu, widzę w nim zarys płatków narcyzmu. Kto jest więc od tego wolny na naszej politycznej scenie? M. opowiada niesłychane historie o skali łapownictwa w miejscu gdzie do niedawna pracował. Dlatego rezygnuje z tej pracy, ale czeka na niego kilka ciekawych propozycji. Od niedawna ma dom z basenem. Niedawno ukradli mu samochód. Dobrym nowym i kulturalnym zwyczajem, złodzieje zadzwonili z wiadomością, że mają wóz i chętnie go oddadzą, jeśli zapłaci pewną sumę. Większość ludzi z okolicy, którzy stracili samochody, zapłaciło. Jego jednak szlag trafił. Naj-

pierw udał się na miejscową policję, by odkryć, że stróże prawa są skorumpowani, bezradni lub przerażeni, a zapewne wszystko na raz. Wykorzystał więc kontakty, które miał dzięki swojej dawnej pracy. I wkrótce ujrzał jak po okolicy jeżdżą gangsterzy szukając tych idiotów, którzy ośmielili się komuś takiemu ukraść samochód. Czy jest w tym coś złego, czy ja nie postąpiłbym podobnie? A jednak jest coś przerażającego, jak bardzo w prawo wątpią ci, którzy do niedawna byli jego naczelnyimi stróżami. M. nie pełni już funkcji politycznej, ale jak na dłoni widać, że jest w nomenklaturze, ma dawne kontakty i przesuwany jest ze stanowiska na stanowisko, delikatnie, by nie stracił finansowo. Może nawet wybierać i akceptować nową pracę wolną od brudu łapówek. Z tego kręgu się już nie wypada, jest się rotowanym, nie decydują kompetencje, a fakt, że się jest z klanu. Więc lud ma niestety rację, są stołki, nie liczą się kompetencje a układy. Najbardziej jaskrawym tego przykładem, ba, pomnikiem na szczycie piramidy jest nasz premier. W małym miasteczku, w średnim mieście, widać jak na dłoni niekompetencję władzy, a zarazem jej krążenie w szczelnym obiegu, jak krew krąży. Raczej zgodnie się mówi o tym, że nowy garnitur władzy słabszy od poprzedniego. Mój kolega, socjolog Paweł Śpiewak, ładnie i celnie pisze w *Polityce* o pewnym zjawisku, wyjmuje mi słowa spod pióra. „Ludzie władzy” okazują się bezwzględnyymi zwycięzcami transformacji. Odpowiedzialność wymienili na zyski, obowiązki na uprawnienia. Mamy jednak demokrację, mamy wybory więc nie jest to wyrok, ale jak widać, nie bardzo jest z czego wybierać. Ludzie z niewielkich ośrodków, z którymi rozmawiałem, potwierdzają te smutne obserwacje. Wspominają też nieśmiało, zastrzegając: pamiętajmy, że wtedy była niewola, a teraz jest demokracja, że dawna nomenklatura miała więcej serca i pieniędzy dla kultury, może to serce było czarne, może traktowało kulturę instrumentalnie, ale nie zaniedbywało tak kulturalnych potrzeb społeczności lokalnych jak dzisiaj.

Stoję na tyłach zamku Ujazdowskiego, obok wejścia do znanej restauracji. Ten nie tak dawno odbudowany zamek przypomina, że magiczną atmosferę tworzą niemal wyłącznie

stare budynki, lub ich repliki. W miejscu gdzie stoję, na brzegu wiślanej skarpy, otwiera się szeroki widok, płaska Warszawa ma niewiele miejsc, które otwierają przestrzeń. W dole stawy i park, wyraźny rysunek przed wiekami nakreślonej perspektywy. W dali kilka nowych budynków, dobrze wkomponowanych w przestrzeń, tylko dzięki temu, że naśladują dawną architekturę. Właśnie tu gdzie stoję, przed laty stał papieski ołtarz. Łatwo można sobie wyobrazić w dole morze ludzkich głów i serc. Zbliża się kolejna wizyta papieża. Co znaczą te moralne zastrzyki pielgrzymek? Jeśli są one w serce, to mam wrażenie, że ludzie mają jeszcze kilka innych organów, do których lekarstwo nie dociera. Jak inaczej wytłumaczyć dookólną brutalność i niemoralność? Stoję w tym świętym miejscu i wertuję książki słynnej w świecie psycholog Alice Miller. Będzie wkrótce w Polsce i mam nadzieję z nią się spotkać. Jej książki poruszyły mnie do szpiku mego dzieciństwa, i wzruszył niedawno jej niespodziewany do mnie telefon. Miller pochodzi z Polski, nie była tu kilkadziesiąt lat. „Czy nie boi się Pani spotkania z czasem?” – pytam. – „Boję się” – odpowiada. Jej książki przeorały Europę, uświadamiając wagę ukrytych problemów dzieciństwa, dramatów, które określają nasze późniejsze życie, a potem życie naszych dzieci. Tak tworzy się klątwa pokoleń. Niezwykłe są jej analizy sztuki, a też biografii wielkich zbrodniarzy, Stalina, Hitlera i Mao. Wszyscy trzej byli katowani przez swoich ojców. Bardzo piękna jest książka Miller „Dramat udanego dziecka” (losy dzieci z dobrych domów), pisze w niej, że nawet podczas krótkich spotkań z ludźmi, jako psychoterapeutka, widzi tragizm pojedynczych losów. „To co określamy jako depresję bądź pustkę, bezsens istnienia, lęk przed biedą i samotnością, wciąż na nowo ukazuje mi się jako tragedia utraty siebie lub rezygnacji z siebie, których początki tkwią w dzieciństwie (...)”. „Każdy człowiek ma w swoim wnętrzu mniej lub bardziej ukrytą komórkę, w której znajdują się rekwizyty dramatu dzieciństwa. Osobami, które na pewno uzyskają do niego dostęp, są jego własne dzieci. Wraz z nimi do komórki dociera nowe życie i dramat można kontynuować”. Czytam te słowa, gdy słyszę dziecięcy zgiełk, to rozrabia dwóch chłopców w wieku 12 i 13 lat. Pomyślałem: oto „dzieci z dobrych domów”, to widać po twarzach i

ubraniu. Ale szybko ujawnili swój „dramat”. Palili papierosy, szpetnie przeklinali, nagle bez powodu cisnęli kamieniem w stronę starszego mężczyzny, który nie bez trudu wspinał się na skarpe. Chciałem interweniować, ale wyglądało na to, że ów mężczyzna (kiedyś mówiło się o takich: „przedwojenny inteligent”) da sobie radę. Zbliżył się do chłopców, a ja ze zdumieniem usłyszałem, że zaczął przeklinać, tak samo wulgarnie jak oni przed chwilą. Po czym wrzasnął: „patrzę na wasze nosy, jesteście Żydami, jak ten cały żydowski rząd”. Ujrzałem, że był „ojcem” tych dzieci. Kim będą dzieci tych dzieci? Pomyślałem, że nie tylko na Bałkanach, a też u nas płyną szeroko czarne podskórne rzeki, i niczego się nie nauczyliśmy. Miałem ochotę wziąć ściereczkę i wytrzeć tę scenę z tablicy tego papieskiego miejsca, ale dzisiaj stosuje się przecież do takiego zabiegu telewizyjnego pilota. Przy okazji jednak wymazałbym kolegę, idącego na spotkanie ze mną, słynnego polskiego psychoterapeutę. Opowiadam mu o tej scenie, jak dobrze pasującej do książek Miller. Mówi, że dużo jeździ po Polsce, słyszy i widzi to, co ja przed chwilą na każdym kroku, a ta forma nienawiści przeraża go szczególnie, właśnie dlatego, że nia ma żywego obiektu, co ujawnia paranoidalny, głębinowy charakter zjawiska. Mówi: „kiedyś się tym przejmowałem, teraz już nie mam na to siły”. Jeśli lekarze naszej duszy mają dosyć, to kto zajmie się naszą duszą? Na dodatek lekarze naszej duszy zajęci są przede wszystkim robieniem pieniędzy. On, niegdyś apologeta psychoterapii, słysząc, że stracił do niej serce. Jest podobnie jak ja pod wrażeniem niedawno publikowanych prac naukowych, które mówią, że rola genetyki jest o wiele większa niż sądziliśmy. Nie bagatelizując roli wychowania i szans psychoterapii, czy nie jesteśmy więc skazani na charakter, który otrzymujemy? W tym danym nam wąskim korytarzu, można otworzyć pewne okna i drzwi, ale to niepewne i bardzo trudne. Czy nie lokuje się to na biegunie nadziei, którą próbują otworzyć książki Alicie Miller? Gdzie jest prawda? Jeśli po środku, co możemy z tym środkiem zrobić?

Premier dotychczas podejrzewany jedynie o nadmierną poczciwość, nagle jest podejrzany, że był esbeckim kapusiem.

Premiera oskarżają rzecz jasna ludzie do niedawna w obozie AWS-u, z KPN Ojczyzna. Polska tak zwana prawica ma w sobie doprawdy nieprzebrane pokłady autodestrukcji. Poseł, niejaki Karwowski, który z grupą kolegów zajmuje się lustracyjnymi donosami, nie tylko na premiera, wygląda jakby przed chwilą wyszedł z filmu Chaplina, gorzej, że nie chce tam wrócić. Ma nawet sumiaste wąsiska jak dawny szlachetka. Premier tłumaczył się ponoć w środowisku, że „musiał podpisać pewne dokumenty by umożliwić córce wyjazd na leczenie”. Miał też wsypać znanego działacza „Solidarności” na Śląsku i być świadkiem jego aresztowania. Przed laty postkomuniści ostrzegali, że lustracja zniszczy prawicę, „na nas nie ma materiałów, bo nas nie werbowano, była zasada, że nie werbuje się i nie szantażuje partyjnych działaczy”. Nie potraktowano poważnie tego ostrzeżenia. W śmietniku zostawionych materiałów nic nie jest pewne. Pamiętamy, ale chyba już coraz słabiej, tamte czasy, prawie na każdego są jakieś materiały, przynajmniej do niezycielwej interpretacji. Tak to się wszystko oddaliło, że z trudem przypominam sobie jak bezgranicznie podli byli przesłuchujący mnie esbecy. Korzystali z każdej szczeliny by wsadzić nóż i podważyć jakąś płytkę mego charakteru. Pamiętam jak szantażowali mnie, gdy umierał mój ojciec. Jak bym się zachował, gdyby ciężko chory był mój mały synek? Chore dziecko, to był zawsze wymarzony łup dla tych drani. Dzisiaj wielu z nich posiada znakomicie prosperujące interesy, ci mniej utalentowani nadal są w MSW. To oni będą przygotowywać materiały lustracyjne. Wygląda na to, że przegraliśmy, a ich podłość jest górą. Tony obrzydlistwa, które gromadzili, wydawało się na marne, dzisiaj zatruwają nasze życie, też dlatego, że jesteśmy głupi i nieporadni. Skoro nie ujawniano zawartości trucizny od razu, szybko, uczciwie i fachowo (nie wiem czy to było możliwe, wiem, że teraz jest to raczej niemożliwe), to czy po latach nie zostaje nic innego, jak wszystko szybko zakopać? Nie wiem. Wiem tylko, że podejrzewano o agenturalność prezydenta Wałęsę, premiera Oleksego, prezydenta Kwaśniewskiego, przyszedł teraz czas na premiera Buzka. Sprawa ma wymiar groteskowy. Tuż przed aferą kierownictwo polityczne AWS-u podjęło uchwałę, że każda osoba na stanowisku, w której przypadku rzecznik interesu publicznego skieruje wniosek do

sądu o stwierdzenie prawdziwości oświadczenia lustracyjnego, winna ustąpić z funkcji do czasu wyjaśnienia sprawy. Pomówienia posłów KPN, mogły więc zmusić rzecznika, by skierował sprawę premiera do sądu, a premier musiałby ustąpić. Szczęśliwie rzecznik sprawy tam nie skierował. Zawilosci nowej ustawy lustracyjnej, nie są do pojęcia dla zwykłego śmiertelnika. Są jak widać natomiast znakomitym narzędziem dla polityków, by grać teczkami jak kartami w pokera. A to politycy mają dzisiaj archiwa. Sprawa premiera to zapewne dopiero początek gry. Nasza społeczność już i tak nieźle namieszane ma w głowie. A tu proszę, otwarto nowy magazyn z pokarmem dla spiskowego myślenia. Entuzjaści wielkiej lustracji, wielkiego czyszczenia, udają, że nie widzą, że ich środki czyszczące powodują ogólnonarodową biegunkę. Bąbrzemy się w latrynach przeszłości, zamiast myśleć, jak zorganizować naszą wolność i przyszłość.

Ale to wszystko nie jest jednak takie proste. Nie zapomnę, jak do redakcji *Res Publici* bodaj w roku 90-tym przybył jakiś jegomość w prochowcu, z plastikową torbą w paski, z torby wystawały warzywa, a pod tym kamuflażem pulsowało ponad 400 stron oryginalnych materiałów z archiwów bezpieki z lat 60-tych, dotyczących sprawy Wańkowicza i Cata Mackiewicza. Spłoszony jegomość chciał sprzedać te donosy za niewielkie pieniądze. Kim był? Agentem, woźnym z MSW-u, szoferem, wyniósł paczkę z archiwów czy znalazł na śmietniku? Skoro tak łatwo było wynieść mniej lub bardziej przypadkową garść materiałów z raportami agentów, to równie łatwo było coś do akt wnieść i je pozmienić. Drukowaliśmy fragmenty donosów w *Res Publice*, ale prawie nikt nie miał siły tego studiować w całości, gubiliśmy się w gnojówce, w chaosie ręcznych nabazgranych raportów. I doprawdy po takiej lekturze łatwo wpaść w paranoję. Gorzej, że niemal całość została przez redakcję zagubiona, kto, kiedy, dlaczego? Może to nie przypadek, że te materiały zaginęły? No proszę, już wpadam w myślenie spiskowe. To co ocalało jest u mnie, jakieś szczątki, które były mi potrzebne gdy pisałem tekst o „Liście 34”. Teraz gmeram w tym śmietniku, bezradny i jakoś zdruzgotany. A przecież nie inaczej to wygląda w oficjalnych archiwach. To jedna strona problemu. Bo rozumiem argument, że osoby, które były agentami nie

powinny piastować wysokich funkcji państwowych. W zagubionych materiałach najczęściej było relacji agentki Ewy, opisywała niezliczoną ilość spotkań, rozmów znanych pisarzy przy kawiarnianych stolikach, była wszędzie, z każdym rozmawiała. Nie ma dzisiaj wątpliwości kto to. Żona pewnego słynnego literata, znanego z buntowniczej postawy. Na szczęście umarł nie wiedząc, że kobieta, z którą sypiał w jednym łóżku, była agentką, którą bezpieka podsunęła mu na pewnym spotkaniu autorskim. Kiedy ukrywałem się w stanie wojennym na Ursynowie, często wpadałem do mieszkania pisarza Tadeusza Nowaka. Przyjaźnili się z tą panią, była tam zawsze, wesoła, pełna życia i humoru, trunkowa, więc tego piliśmy i gadaliśmy. Wyobrażam sobie, jak wiele miała potem przeze mnie pracy. Przeglądałam teraz te donosy, gubię się w nich, a obrzydzenie miesza się z podłą ciekawością, wiele raportów pisanych jest ręcznie, trudno te bezgroły rozczytać... nagle widzę, że w lata 60-te zaplątały się jakieś materiały z lat 50-tych, to relacja bodaj z wizyty polskiej delegacji u Stalina, chyba agent, może agent dygnitarz opisuje jak Stalin i Bierut tańczyli solo. Jeśli uda mi się przebić przez te bezgroły, to może wyłuskam jakieś atrakcje do następnego tekstu?

●

W poprzednim „Z ukosa” wspominałem o Andrzeju Celińskim. Tak już jest od dłuższego czasu, że o kimkolwiek pomyślę czy napiszę, to zaraz człowieka spotykam na żywo. Jestem bardzo odległy od magicznego myślenia, więc mój racjonalizm jest narażony na wielką próbę. Celińskiego zaliczam do niewielkiej, kurczącej się grupki osób, jak Henio Wujec, Zbyszek Bujak... których uważam za bliskich mi z opozycji, którzy ocaleli z pogromu władzy. (Napisałem i jak na zawołanie, a może na ich zgubę, Wujec zostaje wiceministrem rolnictwa, a Bujak ministrem ceł).

Spotykając więc przypadkowo Celińskiego przysiadam się na chwilę do jego stolika. To kolejny odważny działacz antykomunistyczny, który został doprowadzony do rozpacz przez naszą tzw. prawicę. Był do niedawna aktywnym politykiem UW, dużo jeździł po Polsce, obserwował czujnie naszą prowincję. Jego słowa o rozdrapywaniu Polski przez AWS

cytowałem w poprzednim tekście. Teraz mówi mi, że zaczyna otwierać się na współpracę z SLD i uważa, że Unia Wolności powinna pójść w tym kierunku. Uważa, że rozwarstwienie społeczne w Polsce zaczyna przybierać rozmiary katastrofy, a bieguny bogactwa i nędzy oddalają się od siebie. W Polsce, gdzie ludzie nie godzą się na nierówność, musi to doprowadzić do katastrofy. Od kilku osób, które cenię, słyszałem pokrewne, niespokojne głosy. Sam jestem rosnącymi nierównościami zgorzony, zbulwersowany, ale uważam, że jak naloty na Serbię, taki stan to mniejsze zło. Wedle mego znajomego słynnego historyka idei K., za fasadą pozorów rozwoju wszystko dzisiaj w Polsce upada. Funkcjonuje kilkanaście towarzystw emerytalnych, niektóre muszą upaść, ruina służby zdrowia, oświaty, dramat na wsi, przez 10 lat nie zbudowano ani jednej autostrady, sypią się koleje. No i ta cała scena polityczna do wymiany, jak gnijący kawał mięsa, ale na kogo wymienić naszych polityków? Młodzież nie garnie się do polityki, spluwa na nią pogardliwie. Takie lamenty uzyskują od kilku znacznych i optymistycznie do życia nastawionych osób. I ja, chorobliwy pesymista, nie zgadzam się z wizją katastrofy. Zbliżniają się stare rany, powstają nowe, ale one też będą się same leczyć. Podobnie jak Balcerowicz uważam, że bogata lokomotywa pociągnie biednych, ale pod warunkiem, że nie nastąpi zapaść ekonomiczna. Wtedy ambitni biedni, kto u nas nie ambitny, zjedzą bogatych. Czy jednak większym ryzykiem nie byłoby gdybyśmy próbowali dzielić równo? Zabito by na amen aktywność ludzi. Wyścig zawiści daje naszej społeczności wielkie frustracje, ale też napęd. Czy jest jakaś droga pośrednia? Czy dalsze powiększanie różnic społecznych jest nieuchronne? Wydaje się, że coraz więcej polityków zdaje sobie sprawę, że istnieje wielki problem, jeśli o tym zapomni, to lud im przypomni, więc można mieć nadzieję na rozsądny kompromis.

Andrzej Celiński uważa, że obecnie naszej demokracji bardziej zagraża tzw. prawica niż tzw. lewica. I ja się chyba z nim zgadzam. Ale czy wnioski które wyciąga, nie idą za daleko? Celiński w jednym ze swoich tekstów pisze: „Wierzę, że SLD podejmie wysiłek solidnego zakotwiczenia się pośród tych wartości, które sytuują mój kraj obok innych nowoczesnych demokracji europejskich”. Czasami też mi się tak

wydaje, czasami nie. Kiedy czytam organ SLD *Trybunę*, tracę takie złudzenia. Grupa posłów SLD potępia naloty NATO na Serbię, i jest wycieczka kilku posłów tego ugrupowania, ze skabotyniałym posłem Ikonowiczem (kiedyś opozycja demokratyczna), jadą z wizytą przyjaźni do Serbii. A jednak jest faktem, z którym nic nie mogę zrobić, oprócz stwierdzenia, że ten fakt istnieje, że kiedy słucham większości znanych polityków postkomunistycznych, to czuję, że częściej mówią o świecie moim językiem, niż kiedy słucham polityków AWS-u.

Jeśli już jesteśmy, jakby powiedział Wałęsa, w tym temacie, to właśnie pisze do mnie znajoma ze Sztokholmu, gdzie bawi nasz prezydent Kwaśniewski. „Jest u nas Wasz prezydent. I muszę stwierdzić (choć coś w środku boleśnie mnie ściska), że on jest znakomity! Dobrze i mądrze mówi, jest komunikatywny, jego angielski jest *OKey*, ma swoje zdanie ale umie też słuchać. Cholera, robi dobre wrażenie! A nie-stety tak wielu polityków z ‘naszej’ opcji politycznej to nie-zguły. Ironia historii. Widząc go tu parę razy w Sztokholmie, zaczynam rozumieć dlaczego jest taki popularny w kraju”.

„Co się stało z naszą klasą”, co się stało z całym moim pokoleniem. Co się dzieje ze mną? Nie ma prostej odpowiedzi, ale nie widzę też ani jednej, która jest sympatyczna. Moje pokolenie, to z lewa i z prawa, zawłaszczyło Polskę. Nie wykluczam, że mówić będzie przeze mnie nie tylko nostalgia za czarno-białym światem, który odszedł, ale też zwykła ludzka zawiść. Czy zamiast bloków dookolnych z podwórkiem, gdzie jak kawał gnijącego mięsa tkwi grupa alkoholików, nie chciałbym mieć ogrodu, w którym pieściłbym każdą roślinę? W młodości, nie interesował mnie świat przyrody a fascynował świat ludzi. Teraz nudzi mnie świat ludzi, a pociąga przyroda. Zapewne im bliżej jest się ziemi, tym bardziej ona pociąga. Odbylem niedawno podróż willami moich znajomych. Uderza błyskawiczność tego dorobku, zaczynali od punktu zero, czyli mniej więcej od miejsca gdzie ja nadal tkwię. Polska nie rozwinęła się tak szybko jak oni. To jest nowa nomenklatura, widać to jak na dłoni. Zapewne

kiedyś bez trudu mógłbym w niej być, ale chciałem robić co umiem i lubię, czyli pisać. Kiedy przed laty prestiżowe pismo proponowało mi abym odszedł z *Kultury* i pisał dla dużej publiczności na lepszych warunkach, łatwo było mi odmówić. Teraz i tak muszę iść na kompromisy.

Gdzie nie spojrzeć, każdy kto ma dzisiaj publiczną twarz reklamuje produkty żywnościowe, karty kredytowe, pastę do zębów i podpaski. Zapach pieniędzy unosi się w powietrzu, trzeba chodzić w masce gazowej aby tego nie wdychać. Wydawało mi się, że jestem odporny na materializację. Ale pomału czuję, że ja też ulegam zatruciu.

Kilkadziesiąt kolorowych pism przerabia kilkadziesiąt tych samych osób na kotlety mielone polewane perfumami. To jest nomenklatura prasy komercyjnej, która dławi się mieląc ludzi na papkę a potem przeżuwa ją ponownie, lepiąc z tej substancji te same twarze w różnych wariantach. W. mój kolega z dawnych lat, prześladowuje mnie na każdym kroku. Jego monstrualnie powiększona, obrzmiała twarz, jak oblicze Wielkiego Brata śledzi mnie wszędzie, na ulicach, z okien prasy i telewizora. W. reklamuje nowy fundusz emerytalny. Jak on się czuje widząc na każdym kroku siebie samego w tak monstrualnie powielanej postaci. Najzacieklejsi aktorzy reklamują najbardziej parszywe produkty. Ale trzeba przyznać, że na ogół starają się reklamować karty kredytowe różnych banków, to uchodzi za bardziej higieniczne sprzedawanie swojej twarzy.

Mojej znajomej, pisarce młodszego pokolenia, pewne nagie pismo zaproponowało, by pokazała nagą pupę. I ona się waha. Przecież pewna znana piosenkarka, i to wcale nie taka młoda, pokazała. Dzisiaj jak się coś ma do pokazania dla sławy lub za duże pieniądze, to się pokazuje, prędzej czy później każdy pokaże, a jak nie pokaże teraz, to po kilku latach może być za późno. Mój przyjaciel malarz, prawdziwy i bezkompromisowy artysta, za żadne pieniądze nie namalowałby obrazu na zamówienie, ale mówi, że wszystko by pokazał za pieniądze. Szanuję jego wdzięki, ale boję się, że nie pozwolono by mu pokazać, nawet gdyby sam zapłacił. I na tym też polega niesprawiedliwość świata. A moja znajoma, która ma co pokazać, waha się i okropnie się męczy. Jestem wielkim zwolennikiem ładnych damskich siedzeń, jedynie

rysunki na greckich wazach mogą konkurować z ich urodą, ale odradzam znajomej by ujawniła swój intymny rysunek wykonany ręką Boga. Gdyby miała jedynie to do sprzedania, ale przecież układa piękne słowa, niech więc ułoży pupę ze słów i uwiedzie nią Polskę. Pisarz i tak wyprzedaje swoją intymność, więc dla siebie i swego bliskiego warto zachować choćby swą nagość.

Z. jest autorytetem moralnym. Zajmował się do niedawna duszą, dzisiaj zajmuje się duszą i pieniędzmi. Opowiada o sobie i o swoich dzieciach niemal wyłącznie w kategoriach sukcesu, mówi o nich jak o modelach samochodów, jakie mają osiągi. Gdy rozmawiamy o planach, wyczuwam że zawsze próbuje wpasować się w sytuację. A przecież kiedyś walczyliśmy by rozpychać sytuację łokciami? Ja jeszcze trochę szamocę się w sieci, coraz słabiej. To dawny luksus komunizmu, dla ludzi uczciwych sytuacja była prosta. A jednak chyba nadal wierzę, że trzeba walczyć, że jest o co walczyć, ale wierzę coraz słabiej, a moje łokcie są wytarte. Nigdy nie przeceniałem roli słowa, ale doprawdy nie wiedziałem, że tak schudnie. Nawet pisząc do *Kultury* mam wrażenie, że chudnę, powtarzam się, zarzekam co jakiś czas, że nie będę narzekać, a to robię. Pisanie nie sprawia mi już radości, jakbym kopał wyschniętą na kamień ziemię.

Poprosiłem więc mojego syna, który kończy studia, aby mi pomógł, w końcu ze mnie się wziął, na swoje szczęście i nieszczęście, niech mi teraz pomoże, syna mam chyba prawo cytować niemal jak siebie? Powiedz chłopie, co czujesz? Jaką Polskę zostawia ci moje pokolenie, które wygrało i jednak chyba zawiodło? W otwartym liście do mnie pisze:

„znajduję się w przelomowym momencie, jestem w stanie niemal wyczuć końcami palców granicę, którą przekraczam. Z jednej strony młodość, zabawa, piwo w parku, rozmowy ze znajomymi przed Wydziałem Prawa, a przede mną garnitur, praca do późnego wieczora. Wczoraj siedziałem z kolegami, kiedyś rozmawiało się o zabawie, o imprezach, dziewczynach, czasami nawet o polityce. Coś niedobrego się z nami stało. Jesteśmy zestresowani i zmęczeni. Narzekamy, że się starzejemy. O polityce milczymy, po co się denerwować. Stała się nagle odległa. No a poza

tym mamy takie same poglądy. Nie oznacza to, że nie jestem szczęśliwy. Jestem zadowolony z życia, nawet bardzo. Co więcej, mam tego pełną świadomość. A to bardzo dużo. Od jakiegoś czasu czuję jednak niepokój. Boję się, że to szczęście się skończy, że nie będę miał czasu korzystać z życia i zaferowany pracą zawodową i zarabianiem pieniędzy zapomnę o tym co najważniejsze. Czasy się zmieniają, uważam, że zdecydowanie na lepsze, a jednak chwilami czegoś nam żal. Moje pokolenie, a przynajmniej moje środowisko nie miało się przeciwko czemu buntować. W domu konfliktów nie było, w szkole też znośnie. Przez chwilę można było buntować się przeciwko komunizmowi. Ja się na to prawie załapałem, większość moich kolegów, nie. Ale zanim dorośliśmy do prawdziwej walki i buntu, komunizm wziął i upadł. Dopiero dzisiaj można się buntować przeciwko wyścigowi szczurów, w którym mamy wziąć udział, ale już niestety wyrosliśmy z buntu. I kto ma na to siłę? Czasami jednak kusi mnie by to wszystko zostawić, wyjechać gdzieś, wyrzucić ambicje, mieć prostą, niestresującą pracę. Ale czy to będzie jeszcze bunt, czy inna ucieczka? Już jednak wiem, że ambicja mi nie pozwoli patrzeć spokojnie jak tracę szansę. Stoję więc na progu pełnej dorosłości i nie bardzo wiem co z tym zrobić.

Zmiany w mentalności mojego pokolenia, są odbiciem transformacji Polski. Właśnie w umysłach ludzi urodzonych w połowie lat 70-tych odbija się wiernie, co się stało z naszym krajem. Młodzi są nieco zdziwaczami produktami kapitalizmu, starsi mutującymi owocami, a może owcami, socjalizmu. Nie wiem teraz jak sformułować pytanie. Czy jesteśmy pierwszym normalnym pokoleniem, czy też może ostatnim, które wie, czym są wartości? Mam wrażenie, że właśnie na nas coś się kończy i coś się zaczyna, a dzięki życiu na przelomie dwóch czasów jesteśmy bogatsi. Ale obawiam się, że z czasem będziemy coraz ubożsi, jak ubożsi stają się ci, którzy kiedyś walczyli o wolność i żyli dla wartości, a dzisiaj żyją dla pieniędzy i o pieniądze walczą. Polacy upodobniają się do zachodnich społeczeństw, MTV, nowy samochód, kino zamiast teatru i wystawy, coraz rzadsze kontakty z przyjaciółmi, wyjście do klubu zamiast do znajomych.

Narzekać? Ale nie mogę zaprzeczyć, że są perspektywy i to duże. Podobnie jak moi znajomi z roku mam świadomość, że będzie ciężko, ale z drugiej strony, i to jest ważne, czujemy, że bardzo wiele zależy od nas samych, że mamy możliwości i to duże. Wydaje mi się, że ja i moje środowisko, mimo stresów, chwil depresji, oceniamy nasze życie pozytywnie i jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy bardziej, a może inaczej zadowoleni z życia niż w naszym wieku byli nasi rodzice. Mamy większe perspektywy, w ogóle mamy jakieś perspektywy. Ale też chyba straciliśmy coś co mieli oni, jakieś barwy i zapachy tamtego świata. I przede wszystkim straciliśmy wolny czas. Możemy mieć wszystko, ale nie mamy czasu. 'Wszystko' należy zawsze brać w cudzysłów, bez wolnego czasu, 'wszystko' można wziąć w cudzysłów podwójny.

Patrzę na mojego Ojca, walczył z systemem, chociaż nie wierzył, że wygra. Tak po prostu należało, w imię wartości, dla prawdy.

Nigdy nie sprzedał się komunizmowi, a dzisiaj sprzedał się komercyjnej prasie. Ale czy mam prawo mieć o to do niego żal? Przecież dzięki temu mogłem niedawno pojechać na narty do Francji. Ale to jednak jest przykry znak czasu”.

No tak, pomyślałem, to mi synek przywalił. Ale serdecznie. I ma rację. Chciałbym wierzyć, że prawda jest taka, że sprzedałem się tylko fragmentarycznie, jestem w rozkroku między prasą komercyjną a elitarną, piszę do tej pierwszej, by móc pisać do tej drugiej. Nie jest to sytuacja chirurgicznie czysta, grozi gangreną, ale każde inne wyjście, to nieuchronna zmiana zajęcia. Najchętniej zostałbym instruktorem tenisa, ale od lat przesadzam z tym sportem i kręgosłup mi nawala. Więc doprawdy nie wiem, czym mogę się zająć? Oczywiście, mógłbym być ministrem lub premierem. To są u nas stanowiska, gdzie nie trzeba żadnych kompetencji. Nikt mi jednak tego nie proponuje, więc nawet nie mogę heroicznie odmówić. Zatrważające jest jak wielu utalentowanych ludzi odchodzi dzisiaj w Polsce od swoich talentów, tylko dlatego, że ich talent nie daje im finansowych perspektyw. Czasami mam wrażenie, że palimy brylantami w piecach.

Świat jest pełen rozmów, niektóre są ujmująco uniwersalne. Oto jeden z dialogów spod mojego kiosku, który, jak już pisałem, mój sąsiad pan Darek wykroił ze swojej kuchni i wynajął swej rodzinie. To dialog starszych ludzi ze współczesnego dużego miasta, na wsi taka rozmowa byłaby trudna do pomyślenia.

– Co się dzieje z pana żoną, dawno jej nie widziałam, wyjechała?

– Umarła.

– Co pan powie, coś takiego, no daj pan spokój, daj pan spokój. Przecież to była młoda osoba, a umarła.

– Niestety.

Niestety, zmarł niedawno prozaik Władysław Terlecki, jego historyczna proza, aluzyjna, trudna, ale ważna, przestała istnieć po roku 89. Zmarła Irena Szymańska, wydawca, tłumacz. Była pępkiem życia towarzyskiego naszej podupadłej elity, leżała na swoim zabałaganionym łóżku i przyjmowała gości, w międzyczasie przyjmując telefony. Oto dzwoni słynna pisarka, płacze bo ktoś ją skrytykował, a Irena pociesza.

Miała sporo czasu dla wielkich, a życzliwe jego skrawki dla mniejszych. Jej siłą była mądra życzliwość, sama bez większych ambicji literackich, była bezinteresownie życzliwa wszystkim artystom. Cieszyła się ich dziełami i sukcesami. W naszym świecie buzujących ambicji, ona każdemu dobrze życzyła i mądrze radziła. Miała przez lata swój stolik w „Czytelniku”, ostatni literacki stolik w Polsce. Ale jakiś czas temu biesiadnicy pokłócili się, spory więc nawet dotarły do ostatniego w Polsce stolika. I go zjadły.

Coraz bardziej pusto się robi. Widać jak na dłoni, że moje pokolenie nie będzie w stanie zapełnić luki po intelektualistach, artystach, choćby po ekscentrykach, którzy odchodzą. Po każdym takim zniknięciu zostaje żywy młodszy odpowiednik, ale kiedy mu się przyjrzeć, on jest w zaledwie połowie. Strach, że nie będzie ciemno i głucho, ale będzie pusto. A nasza bezradność wobec śmierci jest równie idiotyczna jak tej niemądrej paniusi spod kiosku, która stając niespodziewanie naprzeciw śmierci, gada łapiąc się za głowę, z lekkim odcieniem satysfakcji, że sama jeszcze żywa, „no daj pan spokój, daj pani spokój”. Nawet Leszek Kołakowski, który przyjaźnił się z Ireną niczego mądrzejszego nie wymyśli.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Dostałam list od czytelnika, w którym pisze, że z moich „Kartek” przebija nic, tylko gorycz. „A przecież w Polsce nie jest tak źle” – konkluduje.

Co znaczy ogólnikowe „nie jest tak źle”? No pewnie, że tak źle nie jest. Zawsze może być gorzej. Tak źle jak na Bałkanach – nie jest. Jak w Algierii – nie jest. Jak w Korei Północnej czy na Kubie – nie jest. Jak w Afryce, Rwandzie,

Sudanie – nie jest. Jak w Pakistanie – nie jest. Jak w Kalkucie – nie jest. Dzieci nam nie mrą z głodu, kobiety nie są masowo gwałcone, wioski palone. Ludzie nie uciekają w popłochu z kraju.

Pytanie jest innego rodzaju – cośmy zrobili przez te blisko dziesięć lat cudownej wolności, cudownej, bo bez zagrożenia z zewnątrz, żeby było lepiej?

W miastach stanęły przeszklone wieżowce, głównie banki; na obrzeżach supermarkety-giganty, przy skrzyżowaniach i na murach domów umieszczono wielkie „billbordy” czyli powielane malowidła reklamujące w sposób niewyszukany, głównie papierosy i piwo. Na kilku liniach mamy połączenia kolejowe *inter-city* z prawdziwego zdarzenia. Co jeszcze? O, szalety! Czyste, schludne, nie pozachlapywane... wstrzymam się od opisu ich niegdysiejszego wyglądu. Tak, szalety postawiłabym na pierwszym miejscu naszych osiągnięć z zakresu cywilizacji.

Ale cóż więcej? Drogi w coraz bardziej opłakany stan, nie mówiąc o braku autostrad i przelotowych mostów, o których od lat strzępi się języki i wydaje pieniądze na ich realizację, ale tylko na papierze. (*A propos* mostów: gdyby zwolnić setkę z blisko ośmiuset warszawskich radnych, można by za to zbudować niezbędny wręcz most przez Wisłę.)

Polska jest nadal krajem tonącym w błocie i kałużach rozbryzgiwanych na przechodniów, zarówno w reprezentacyjnych dzielnicach dużych miast, jak w małych miasteczkach. Dlaczego, u Boga Ojca?! Często staję w osłupieniu i nie mogę się nadziwić temu zjawisku. Dlaczego nagromadzony deszcz nie jest w stanie ściec do studzienek. Przecież na każdej politechnice mamy wydziały inżynierii lądowej – czy tak trudno nauczyć studentów, jak prawidłowo wyprofilować drogi i ulice?

Gastronomia. Nie dopracowaliśmy się knajpek na tanią kieszeń, co dawno dokonało się u naszych sąsiadów. Nie mówię o Węgrzech, gdzie zjeść można wspaniale i tanio (nawiasem mówiąc, dziwię się, że wyborna kuchnia węgierska nie zrobiła światowej kariery, jak na przykład, włoska). U nas – albo restauracje na wysoki połysk, z wyfraczonymi kelnerami i bajońskimi cenami, albo nic. Ludzie mówią, że Warszawa w tym najgorsza, w Krakowie jest lepiej. Ale już w takim Płocku – też źle.

Przyjaciółka wyciągnęła mnie do Płocka, do jedyne go kraju muzeum secesji. Nie jestem miłośniczką muzeów, ale po miastach włóczyć się lubię. Więc pojechaliliśmy do Płocka małą paczką pewnej deszczowej soboty. Nie pożałowałam. Chciałabym, żeby wszystkie muzea w Polsce urządzone były tak pomysłowo, a przy tym tak przejrzyście. Chodziło się po tych pokojach jak po mieszkaniach bohaterów Zapolskiej, którzy wszakże jakby nagle nabrali gustu i zafundowali sobie umeblowanie w stylu epoki, ale w najlepszym tonie. Mnie najbardziej zachwyciły firanki projektu Mehoffera. Płockie muzeum może zainteresować nie tylko zagorzałych zwiedzaczy, ale i przypadkową publiczność.

Muzeum mile mnie rozczarowało, a katedra – wręcz olśniła. Z ręką na sercu powiem, że jest jedną z piękniejszych świątyń, jakie widziałam. Dziwię się, że tak mało rozświetlona. Tyle się dziś mówi o gigantycznej sakralnej budowli w Licheniu, a przecież, powiedzmy szczerze, z punktu widzenia architektonicznej urody, jest paskudna. Nie umiemy dostrzec piękna tam, gdzie ono jest; ukrywamy perły.

Płock. Stolica książąt mazowieckich. Dostojnie położony gród na skarpie wiślanej. Zadbany i odszykowany; bulwary, deptak, zieleń – pierwsza klasa. Władze miejskie naprawdę stanęły na wysokości zadania, żeby nadać miastu wygląd, na jaki zasługuje z racji swojej historii i dzisiejszego bogactwa płynącego z petrochemii. Nawet monumentalna bryła pomnika Broniewskiego, który tu się urodził, postawiona na poczesnym miejscu jeszcze za czasów komuny – nie razi.

Ale żarcie w Płocku fatalne. Prosiłiśmy o wskazanie jakiejś małej restauracyjki. Wskazano nam „Hollywood” czyli wielką zawilgoconą salę w peerelowskim stylu, o pozorach szyku w obsłudze i w menu. W rezultacie mordowałam się nad czymś nie do przeżucia o zachęcającej wprawdzie nazwie: „jagnięcina w sosie złocistym”. Jagnię okazało się starym trykiem a sos rozbabraną mąką. Kelner był współczująco smutny; przypominał kogoś z obsługi pogrzebowej.

Przy wyjeździe z miasta zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, żeby zatankować paliwo. I okazało się, że tu powinniśmy jeść! Dania szybkie, zimne i gorące, kawa z ekspresu; poza tym, wszystko do kupienia, łącznie ze szczoteczka do zębów, i wykwinna toaleta.

Że o tym nie pomyślałam! Przecież mamy stacje benzynowe. Rozświetlone nocą, funkcjonalnie zagospodarowane, oferujące coraz to większy asortyment potrzebny podróżnemu. Stacje benzynowe powinny widnieć na pierwszym miejscu hasła: „W Polsce nie jest tak źle”.

Ale co do rzeczy większych – to spokojnie. Weźmy, lecznictwo. Leży. W pierwszym momencie wydawało się, że reforma zdrowia ruszy z kopyta, ale stanęła dęba i wierzga bezładnie. Co prawda, nowa minister zdrowia, pani Franciszka Cegielska (ma za sobą dwie udane kadencje prezydentury w Gdyni) sprawia świetne wrażenie. „Żelazna Franka” jest postury postawnej, usposobienia spokojnego, ale stanowczego, cechuje ją rozsądek i siła bez arogancji, zaleta rzadka u młodej władzy. Dałby Bóg, żeby sprostą oczyszczeniu resortu z bagna i marnotrawstwa, jakie gromadziły się w nim od lat. Może Cegielska otworzy listę ludzi kompetentnych, oddanych i przyzwoitych na kierowniczych stanowiskach? Oby!

Wtedy w Polsce „nie byłoby tak źle”. Ale na razie...

Mamy osiemnaście kas chorych. O umiejętnościach ich pracowników nie wiemy nic. Wiemy natomiast, że zostali wybrani spośród działaczy partyjnych. Może się zdarzyć, że i działacz jest zdolny, pracowity i nadający się do tej funkcji, ale jeżeli przynależność partyjna stanowi jedyne kryterium doboru, to biada nam. Kasy chorych trzymają bowiem wszystkie pieniądze na nasze zdrowie i rządzą nimi wedle własnego uznania.

Do Warszawy przyjechali rzecznicy kas chorych na szkolenie. Krótki kurs zorganizowała im jedna z prywatnych szkół mediów na koszt Urzędu Rady Ministrów. Kim są rzecznicy? Przeważnie żonami lokalnych działaczy. Nie grzech. Przeciwnie, wykładowcy orzekli, że nowi rzecznicy, a raczej rzeczniczki, wykazują dużą chłonność, zapal i pracowitość, choć przeważnie nie mają studiów wyższych. Wszyscy młodzi.

Zastanawiają jednak zarobki. Początkujący lekarz dostawał niewiele ponad pięćset złotych miesięcznie. Oni dostali po pięć tysięcy na dzień dobry. Wiadomo, że szpitale, przychodnie, ambulatoria mają być odchudzone. Czyli odejdą i lekarze. Powinni odejść najślabi. Z praktyki jednak wiemy, że odejdą najślabi nie w umiejętnościach, ale w boksowaniu.

Takie jest życie. Nie o to wszakże chodzi. Chodzi o to, że odchudzi się służbę zdrowia z tych, co zarabiali mało, kosztem tych, co będą zarabiać dziesięciokrotnie więcej – bo kas chorych się nie odchudzi. Wprost przeciwnie.

O nonsensach i gehennie pacjentów wynikających z wprowadzania reformy można by pisać tomy. Minister Cegielska obiecuje, że wszystko po kolei będzie prostować. Łącznie z nowelizacją ustawy i idiotycznymi zarządzeniami. Już odwołała odpłatność za przyjazd karetki pogotowia „niepotrzebnie” wezwanej, o czym orzekł przybyły lekarz. „Nie wszystko da się przewidzieć z góry – tłumaczy. – Niektóre działania można eliminować czy usprawniać dopiero w marszu”.

Pieniądzy w publicznym lecznictwie jest i będzie za mało. Ale można je umiejętnie przerzucać. A odpłatność wprowadzać tam, gdzie nie grozi ona zdrowiu pacjenta. Na przykład, od niektórych pacjentów pewne środki można uzyskać z odpłatności za część hotelową szpitala, czyli za wyżywienie. Pani minister podkreśla, że od niektórych, czyli tych, których na to stać, co łatwo sprawdzić. Jest pełna gotowości na radykalne zmiany tego, co bezsensowne. Podziwiam jej odwagę. Bo zmieniać będzie musiała dużo.

Znam lekarza, około czterdziestki, który jako wybijający się absolwent medycyny mógł przebierać w specjalizacjach. Wybrał mało wówczas znaną specjalizację lekarza domowego, ponieważ jest z natury społecznikiem. Arcyżadka dziś wśród medyków cecha. Wspecjalizował się i czekał na wejście ustawy w życie. Póki co, prowadził z kolegą prywatny gabinet na jednym z wielkich osiedli Warszawy. Cieszył się powodzeniem z powodu rzetelności świadczeń i przystępnych opłat. No i na tym poprzestał. Bo gdy zgłosił się do kasy chorych, zaproponowano mu warunki, których nie był w stanie przyjąć. Stawiały go wobec dylematu: albo ograniczenie usług medycznych, czyli nieposyłanie pacjentów na wszelkie wskazane badania, albo godziwy zarobek. Pozostał przy prywatnej praktyce. A przecież lekarz domowy, dbający wszechstronnie o zdrowie chorego, miał być ostoją reformy.

Czy i takie problemy jest w stanie rozwikłać minister Cegielska?

Czy stwierdzenie, że w Polsce nie jest tak źle, nie brzmi

w tym kontekście trochę niefrasobliwie? A kontekstów podobnych jest wiele.

Oczywiście, nie jest źle, gdy patrzy się z balkonu na bogactwo żółtych mleczy przechodzących niepostrzeżenie w srebrne dmuchawce. Gdy wacha się bez, a potem jaśmin. Gdy pachnie czeremcha, a potem lipa. Gdy z topoli sypie się biały puch. Wtedy nie jest źle. Przeciwnie, jest wspaniale. Zwłaszcza gdy sobie człowiek uprzytomni, że te zapachy, te kolory, najpiękniejsze są przecież w Polsce.

Rozpoczęło się piekło lustracji. Czyli strata czasu, pieniędzy i krzywda ludzka. Realizacja jeszcze jednej z ustaw pozorowanych. Pozorowanych wobec prostego faktu, że najważniejsze teczki spalono lub zmielono. Zostały te podłożone ręką esbeka, kierowanego dopingiem zwierzchnika do aktywności, gdzie prawda nie miała żadnego znaczenia, lub jego niechęcią czy fantazją.

Krzysztof Kozłowski, który wszedł do MSW jako wice a potem jako minister w trakcie owej wielkiej pożogi, starał się zahamować dzieło zniszczenia, ale ogień i młyny papiernicze były już puszczony w ruch. Przed uchwaleniem lustracji pisał o tym, mówił, dowodził, perswadował, że w aktach został chłam – ale na próżno. Nikt nie słuchał głosu sprawiedliwego. Ustawę uchwalono i teraz zaczyna się taniec.

Gdy migają w telewizji pomieszczenia z „zasobami” MSW, odnoszę wrażenie, że oto po latach otwarto mieszkanie jakiegoś pomieszkańca-flejtucha, gromadzącego stare papierzyska bez ładu i składu. Tak na oko wygląda rzekoma prawda o nas.

„Zastaw się a postaw się”. Stara szlachecka zasada dobrze się w Polsce trzyma. Dotyczy ona, jak wiadomo, podejmowania gości. Zwłaszcza z zagranicy. Gdy za komuny zjeżdżał do rodziny krewny-emigrant z Zachodu, gospodarze dokonywali cudów, żeby stół się ugiął. W kraju, gdzie brakowało najprostszycy produktów, dla gości znajdowały się najwy-

myślniejsze przysmaki. Nie byli w stanie tego przejeść. Wzdychali, jęczeli, a gospodarze, nie pomni na nic, wciskali im w gęby co wyszukańsze kąski. A później dziwili się, że krewny się nie odwdzięcza i że nie chce powtórzyć wizyty. Woli spędzić wakacje z biurem turystycznym w obcym kraju. Zagraniczni krewni tłumaczyli mi nieraz, że pobyt w Polsce to męka. Męka przymuszonej gościnności.

Może ktoś uzna, że bluźnię, ale coś z tej poetyki – poza szczerym odruchem serca! – ma nasze podejmowanie Kosowian.

Nie mówię o gotowości zaopatrywania transportów charytatywnych jadących w tamte strony, bo tu sprawa jest czysta jak kryształ. Na apel o nagłej potrzebie, popartej przekazem krzywdy z obrazów telewizyjnych, Polacy zrywają się, jak chyba żaden inny naród. Gdy tylko wybuchło Kosowo, kolejkom darczyńców nie było końca. Najwięcej grosiwa służyło od biednych, ale tak właśnie się dzieje w rodzinie człowieczej.

Ja przestałam cokolwiek dawać, dowiedziawszy się, jak się u nas urządza domy dla tych Kosowian, którzy w Polsce znaleźli schronienie. Biurokracja pokazała, co umie. Stworzono specjalne biura, sekretariaty, zaangażowano dostawców, sprzętaczy i kucharki, uczące się na gwałt kosowskiej kuchni. Przeznaczono 1500 zł na łebka miesięcznie. Tyle, ile przeciętnie wynosi budżet rodziny. Wszystko to z dumą pokazano nam w mediach.

Nikommu nie przyszła do myśli inna kalkulacja. Oszczędniejsza i mądrzejsza, wprost się narzucająca. Dać odpowiednio wyposażony dom – ale poza tym, forsa do ręki! Niech sami idą na rynek, upichcą sobie, co chcą i jak chcą, niech po sobie posprzątaj, popiorą. Po co te całe wielkie hotelarstwo, prezentowane z dumą? Tym bardziej, że przybysze już teraz rozpaczliwie skarżą się na bezczynność. Gdzie sens, gdzie logika? – jak mówiła moja mama.

Nie ma sensu ani logiki. Jest zasada – zastaw się a postaw się.

Nie oprę się, żeby i tym razem nie napomknąć o Warszawie. Opisanie bieżącego stanu miasta uważam za swój dług wobec przodków. Wobec ojca, który w niedzielne popołudnia oprowadzał mnie po Starym Mieście i przewoził kursującym

tam dyliżansem albo zabierał na Polną, na wyborne rurki z kremem u Lardellego; wobec babci, która na głos czytała mi „Lalkę”, lekturę, do jakiej stale powracała; wobec cioci Heli, która wtajemniczała mnie w uroki tramwajów konnych...

Mamy nowego prezydenta stolicy. Paweł Piskorski, lat 31, przynależność partyjna – Unia Wolności. Pragmatyk, z pokolenia „młodych wilków”, wypierających jawnie z pola starych „etosowców” jako mało skutecznych. Energiczny, elastyczny, zdolny, pracowity – umie rozkazywać. Jako student historii (którą ukończył) wszedł do Parlamentu.

Jak dotąd – nieźle. Daruję mu uchybienia natury etycznej. Dorobienie się majątku (jego mieszkanie dziennikarze nazywają superchatą) tłumaczy swoim szczęściem na giełdzie. Jako wiceprzewodniczący Klubu Parlamentarnego UW testował limuzynę Daewoo leganza. Z tego nie tłumaczył się wcale. Ale niech mu będzie.

Gorzej, że od lat będąc również radnym Warszawy, nie zaznaczył niczym swojej obecności w mieście. Był zajęty czym innym – wykasowaniem konkurentów w skomplikowanej mozaice układów politycznych w walce o prezydenturę. I tego dokonał. Mówi się, że na tym nie zakończy. Jego nazwisko już dziś wymienia się jako kandydata na prezydenta państwa w perspektywie dziesięciu lat.

Jeżeli pochłoną go ambicje polityczne, a na to wszystko wskazuje, stolica nie zyska. Dbałość o miasto to działalność ściśle społeczna. Dwie ambicje – polityka i społecznika, wykluczają się. Owszem, prezydentowi Warszawy potrzebne są kwalifikacje wodzowskie, ale nie po to, żeby przewodzić swojej grupie politycznej, ale sprawnie rządzić strukturą i rozwojem miasta. Do tego potrzebni są różnorodni fachowcy. Polityk natomiast otacza się grupą, której jedynym zadaniem jest pchać go w górę. Piskorski już to robi.

Rozpoczął urzędowanie efektywnym wejściem. Obniżył o 20 procent zarobki najwyższych urzędników Ratusza. Sobie również odjął (z siedemnastu tysięcy zł miesięcznie na trzynaście). Ale swojej obecności w mieście nie zaznaczył.

Radni nadal zajęci są głównie sporami o nazwy ulic i wyborami kandydatów na honorowych obywateli miasta. Kiedyś rozgorzał spór o słupki na Trakcie Królewskim. W zupełnej bez trosce o kosztą montowano je a potem wybijano, tylko

dlatego, że ktoś poczuł się pominięty w decyzji. Czy dziś nie zanosi się na równie pozorne działania? Czy Paweł Piskorski w ogóle dostrzega to zjawisko, zajęty inną karierą? Uwierzę w niego, jeśli szybko zbuduje most. Ale na to się nie zanosi.

Obym jeszcze nie płakała po ślamazarnym Święcickim!

Z kącika cwaniaka:

Zdawać by się mogło, że katastrofalne oceny olimpijskiej kandydatury Zakopanego przedstawione ostatnio w Lozannie powinny oznaczać koniec operacji „Zakopane 2006”. Stolica Tatr w tej rywalizacji zajmuje ostatnie miejsce nie tylko za Sionem, Turynem i Klagenfurtem, ale także za Helsinkami i słowackim Popradem. Mimo to na czerwcową sesję MKOL do Seulu z Polski jedzie silna, bo aż 60-osobowa delegacja w towarzystwie ponad czterdziestoosobowej grupy folklorystycznej, która w Korei zatańczy zbójnickiego. Oczywiście koszty wycieczki, przelotu i pobytu całego towarzystwa pokryje miasto ex-kandydat.

11 radnych miasta Łodzi postanowiło odbyć sesję wyjazdową na stadionie miejscowego Widzewa w trakcie meczu tej drużyny z warszawską Legią. Weszli za darmo na trybunę, gdzie miejsce kosztuje 50 zł. Za obejrzenie meczu każdy z radnych zainkasował dietę delegacyjną w wysokości 108 zł, a przewodniczący komisji – 216 zł.

Jak podliczyła *Rzeczpospolita* parlamentarną rekordzistką w zagranicznych podróżach jest marszałek Senatu Alicja Grześkowiak. W ciągu ostatniego roku odbyła ich szesnaście, zaś w poprzedniej kadencji jeszcze jako zwykły senator – trzydzieści siedem. Wśród odwiedzanych krajów znalazła się m.in. Arabia Saudyjska, która jak wiadomo, słynie z ożywionego życia parlamentarnego.

30 kwietnia 1999

Ewa BERBERYUSZ

Sąsiedzi

Między Warszawą, Wołyniem i Lwowem

Do Ambasady Ukrainy przy Alei Szucha w Warszawie wprowadził się nowy lokator. Ambasador Dmytro Pawłyczko – to znany pisarz-poeta, w twórczości podobny do Herberta, choć nie tak skomplikowany. Łączyła obu przyjaźń i wierność wobec Czczenii. A nas obydwu łączy ziomkostwo pokucko-huculskiego kraju i podobny temperament. Z Polską łączy go literatura, osobiste związki z pisarzami i tłumaczenie dzieł Mickiewicza i Słowackiego. Pawłyczko jest poetą-politykiem, był głównym doradcą pierwszego prezydenta niezawisłej Ukrainy, Leonida Krawczuka, którego powstrzymał od wejścia do Wspólnoty Niezależnych Państw – wbrew namowom Jelcyna. Jest autorem wciąż jeszcze obowiązującej doktryny o ukraińskiej polityce zagranicznej. Za Krawczuka był przewodniczącym komisji spraw zagranicznych w kijowskiej Werchownej Radzie. Potem zesłano go do Bratysławy za rządów rusofila Macira na ambasadora, gdzie był kompletnie zablokowany.

Pawłyczko jest pełen dynamiki. Zdaje sobie sprawę z tego, że nie można wszystkiego budować na współpracy dwóch, świetnie się rozumiejących prezydentów: Kuczmy i Kwaśniewskiego. „Musimy stworzyć szeroką grę współpracy – mówi w długiej rozmowie po obejrzeniu filmu ‘Ogniem i mieczem’. – Musimy ożywić stare, w międzyczasie zmarłe struktury polsko-ukraińskich instytucji, ale to nie wystarczy. Trzeba szukać nowych dróg do współpracy i wymiany myśli, trzeba organizować wspólne przedsięwzięcia, ożywić ruch

turystyczny, nawiązać kooperację w systemie informacji, rozbudować stypendia dla studentów i naukowców”. Chciałby pomóc w powołaniu do życia polsko-ukraińskiego uniwersytetu. Rozważa też możliwość utworzenia w Warszawie towarzyskiego klubu polsko-ukraińskiego, gdzie by się mogli spotykać politycy, ludzie pióra, nauki i sztuki. „Polska i Ukraina powinny kroczyć drogą współpracy jak dwa kraje, które mają za sobą doświadczenie, do czego prowadzi niezgoda. Od rozwoju stosunków polsko-ukraińskich zależy będzie też w dużej mierze – przyszłość Rosji” – mówi Pawłyczko i dodaje: „niepodległa Ukraina jest jednym z warunków istnienia niepodległości Polski, a niezawisła, związana z NATO Polska jest najważniejszym sąsiadem Ukrainy”.

Droga na Wołyń

W Warszawie i w innych miastach polskich dużo się dzieje w dziedzinie naszych stosunków. Niedawno dyskutowali historycy bardzo owocnie i ciekawie w Kazimierzu. A teraz jedziemy z Ihorem Cependą, młodym historykiem, wchodzącym w skład ambasady, do Łucka na Wołyniu. Ma się tam odbyć kolejna konferencja badaczy polskich i ukraińskich zajmujących się dobą drugiej wojny światowej. Nigdy nie byłem w Łucku, choć znam miasto z opowieści moich niezujących już przyjaciół zamordowanych przeważnie nie przez Niemców, ale rodaków-banderowców. Długo wzdrygałem się z wyjazdem w tamte strony. Bałem się krwawych cieni przeszłości.

Po drodze mijamy Chełm gdzie kiedyś mieszkałem wraz ze Skrypnykiem i innymi „petlurowcami”, gdzie brałem udział w organizowanej przez Kubijowycza „pracy organicznej”, aby odpolityzować masy uchodźców zza Buga po inwazji sowieckiej i przywrócić tożsamość narodową zahakowanym i przestraszonym ziomkom na Chełmszczyźnie, Podlasiu, Łemkowszczyźnie. Tu nie było akcji antypolskich, były raczej akcje podziemia polskiego, które kontynuowało antyukraińską politykę sprzed wojny, teraz wzmożoną instynktami zemsty. Możliwości dialogu na ten temat w ogóle nie było. Barbarzyństwo niemieckiej i sowieckiej polityki okupa-

cyjnej wciągało w swój krwawy rytm obciążone starą wzajemną nienawiścią społeczeństwa polskie i ukraińskie pozbawione moralnego autorytetu legalnych elit politycznych lub podporządkowanych rozmaitym uzurpatorskim grupom przywódczym licytującym się w szowinizmie.

W Chełmie wciąż jeszcze zdewastowany i nieuporządkowany stary cmentarz prawosławny z brzęcącym ironicznie napisem, że „został w międzyczasie odrestaurowany”. I tak dalej wszędzie po drodze zniszczone lub przyodziane w rzymsko-katolicki obrządek cerkwie, wsie, gdzie mieszkali przeważnie lewicowo nastawieni chłopci ukraińscy; ale to ich nie uchroniło od kolektywnej deportacji pod narodowo-polską marką „Wisła”.

Czym bliżej do przejścia granicznego na Bugu pod Jagodzinem tym więcej reklam i ofert po ukraińsku i rosyjsku: „Kupujcie polskie meble – bo dobre i tanie”. Tu musiał kwitnąć handelek, bo tych reklam mnóstwo i ciągną się kilometrami. Ale klientów nigdzie nie uświadczysz. Wszystko przeminęło wraz z kryzysem walutowym Rosji, który również dotknął Ukrainę. Przystanek graniczny jest nowoczesny. Procedura po obydwu stronach granicy szybka i sprawna. Chłopcy z orzełkami i trójzębami salutują z uśmiechem. Bałem się trochę chamstwa granicznego, a tu nagle kurtuazyjna elegancja z życzeniem „szczęśliwej – szerokiej drogi”.

Niestety drogi wołyńskie do Łucka nie najlepsze. Podobno dopiero od Równego do Kijowa jedzie się jak po maśle. Coraz mniej traktorów i coraz więcej koni na polach. To samo można zauważyć we wsiach galicyjskich. Kryzys gospodarczy dotknął też gospodarkę rolną. Do starych traktorów brakuje części zamiennych, nowych nie ma, a jak są, to za drogie, i wreszcie brak paliw. W konsekwencji chłop ukraiński złazi z traktora i wraca do konia. Jest to kompletna klęska wiary w postęp techniczny i nawrót do pierwotnej gospodarki rolnej, a jednocześnie utrzymywanie chłopca w kajdanach systemu kołchoźniczego. Co z tego galimatiasu wyniknie, nikt nie jest w stanie przewidzieć. Chłopci nie mają żadnej niezależnej reprezentacji politycznej, a Partia Agrarna jest zrzeszeniem interesów przewodniczących kołchozów czyli postkomunistycznych obszarników.

Łuck jest ważnym ośrodkiem polityczno-administracyj-

nym i od niedawna miastem uniwersyteckim. Natomiast większość zakładów przemysłowych nie pracuje. Mści się dawna struktura Związku Sowieckiego, która każdą fabrykę czyniła zależną od dostaw surowcowych lub technologicznych rozrzuconych po różnych częściach imperium. Kontynuowanie tej kooperacji po upadku ZSSR jest ze względów technicznych i finansowych niemożliwe. W ten sposób upadło wiele przedsiębiorstw zwłaszcza w dziedzinie lekkiego przemysłu na Wołyniu i w Galicji.

Uniwersytet imienia poetki Łesi Ukrainki jest najmłodszą uczelnią na Ukrainie. Mieści się w dawnym domu partii komunistycznej, w monstualnym typie neoklasycyzmu, ale zbudowanym solidnie w marmurze. Wśród gremium profesorów wielu przesiedleńców z Chełmszczyzny. W ogóle część tzw. Zabużan zrobiła karierę w wielu zawodach, zwłaszcza w nauce i sztuce.

Historycy z uniwersytetu łuckiego zajmują się intensywnie badaniami stosunków polsko-ukraińskich, zwłaszcza polityką mniejszościową wojewody Józewskiego sprzed wojny jak też wyświetlaniem – wspólnie z polskimi kolegami – tragicznych wydarzeń w walce bratobójczej na Wołyniu podczas drugiej wojny światowej.

Spotkanie we Lwowie

Zjeżdżają się prezydenci z Europy Środkowo-Wschodniej a więc z Niemiec, Polski, Czech, Węgier, Austrii, Słowenii. Nie ma Słowaka, bo w Bratysławie akurat wybierają nowego prezydenta. Po raz pierwszy zaproszono przywódców Bułgarii i Rumunii – chyba ze względu na bałkańską wojnę. Brakuje natomiast prezydenta Chorwacji. Gospodarzem jest tym razem prezydent Ukrainy, Leonid Kuczma. Dla Lwowa jest to wielka przygoda. Takich gości od czasu wizyty cesarza Franciszka Józefa, stolica Galicji nigdy nie widziała. Miasto się wystrychnęło jak mogło. Do niedawna szare i obszarpane, z dziurami w chodnikach i brukach, ubrało się w nowe kolorowe szaty, białe, żółte i różowe. Nawet dawne szaroczarne monstrum hotelu „Dniestr” zrekonstruowane w żółto-czarnym makijażu, służące za miejsce postoju lwowskiego

zbiegowiska prezydentów oryginalnej mieszanki geopolitycznej, niektórym z nich się spodobał. Mnie nie, ale to kwestia smaku. Nie lubię zglaszaltowanych na amerykański ład *à la* Hilton współczesnych hoteli i zwykle zatrzymuję się w możliwie najstarszych. We Lwowie mieszkam z uporem od czasu pierwszego przyjazdu razem ze starym przyjacielem, ongiś posłem z Wołynia i krewnym Petlury, potem patriarchą ukraińskiego kościoła prawosławnego, Skrypnykiem-Mtysławem, w poczciwym „Żorzu”.

Gdyby lwowianie mieli mocne lobby w Kijowie, może „Żorz” byłby otrzymał jakąś część subsydiów na modernizację. Ale „galicyjacy” nie potrafili utworzyć wpływowej grupy w parlamencie i władzy wykonawczej nad Dnieprem. Zresztą i oni są przeważnie ludźmi, którzy wyszli ze środowiska chłopskiego i ich interpretacja historii i sztuki jest powierzchowna, z jednej strony pod wpływem sowieckiej ideologii rzekomego postępu technicznego a z drugiej na skutek równie prymitywnej ideologii ukraińskiego nacjonalizmu. Stary hotel z austriackich czasów, synonim arystokracji, mieszczaństwa i bohemy, nie wchodzi w ich kategorie „smaku” i musi czekać na lepsze czasy.

Ale w sumie dla Lwowa ta nieformalna randka niekoronowanych władców od Renu po Doniec i od Bałtyku po Morze Czarne była nie lada okazją do choćby tylko częściowego załatwienia starych dziur i do odrestaurowania zagrożonych ruiną zabytków architektury. Może będzie to impulsem do przebudzenia się z prowincjonalnej śpiączki, pasywnego czekania, że znajdzie się jakiś cudotwórca, który poderwie zaspane społeczeństwo do twórczych inicjatyw. Chociaż nie jestem zbyt optymistycznej myśli. Z min urzędników lwowskiego magistratu można było odczytać, że nie są zbyt zadowoleni z zakłócenia ich błogiego codziennego spokoju, w myśl starej, galicyjskiej zasady, byle do jutra, a pojutrze jakoś to będzie. I tak jak ogień co zdolniejsi odpływali do Wiednia, tak teraz trwa odpływ talentów do Kijowa, chociaż tam też dynamika nie rozpiesza zakorzenionej ciasnoty, ale przynajmniej widoki na państwową karierę są lepsze.

Łyczakowskie zgrzyty

Przed wojną dzielnica łyczakowska słynęła z „batiarów” czyli swoistego pół-proletariatu, specyficznej polsko-żydowsko-ukraińskiej subkultury, stanowiącej raczej stałą rozrywkę społeczną niż zagrożenie bezpieczeństwa obywateli. Niemcy i sowieci zniszczyli ów świat gruntownie. Dziś zamiast batiarów istnieje podziemie zorganizowanej wielonarodowościowej mafii. Jej niewidoczne macki są wszechobecne i bardziej zadowolone w centrum miasta niż na peryferiach. W Łyczaków ma obecnie zupełnie inne znaczenie i jest związany bardziej z przeszłością niż dniem powszednim. Chodzi o pamięć po zmarłych, którzy zginęli w walkach polsko-ukraińskich o Lwów w 1918 roku. Od lat toczą się rozmowy o uporządkowanie Cmentarza Orłąt i sąsiedniego miejsca wiecznego spoczynku ukraińskich Siczowych Strzelców – formacji podobnej do Legionów Piłsudskiego, zdezasztowanych podczas okupacji sowieckiej i wspólnego uroczystego zamknięcia tych prac. Mimo zgody pomiędzy prezydentami Kuczma i Kwaśniewskim i ustalenia daty uroczystości, władze miejskie Lwowa czynią zawsze w ostatniej chwili wszelkiego rodzaju komplikacje, które uniemożliwiają podjęcie zamierzonych aktów formalnego zakończenia sporów.

Również i tym razem pokrzyżowano plany Kuczmy i Kwaśniewskiego, którzy mimo odwołania końcowej fazy prac budowlanych nad restauracją cmentarza, mieli złożyć wieńce ku czci poległych. W przeddzień zapowiedzianych uroczystości władze miejskie postanowiły umieścić na grobowcu Orłąt tablicę z nieudolnym i gramatycznie prostackim napisem. Kuczma o niczym nie wiedział, a przyciśnięty do muru w obecności ambasadorów Polski i Ukrainy, Jerzego Bahra i Dmytra Pawłyuczki przez Kuczma w hotelu „Dniestr” burmistrz Lwowa Kujbida zaczął się wykręcać sianem. Doszło do ostrej scysji i prezydent Ukrainy w ostrym tonie nakazał Kujbidzie do rana usunąć kompromitującą tablicę.

Facet, którego nazwisko prawi, że „kuje bidę”, choć niechętnie i z ociąganiem wykonał rozkaz prezydenta, ale swąd po tej kolejnej akcji sobotażu zatrął atmosferę spotkania, szczególnie w Polsce, bo we Lwowie, a jeszcze bardziej

na Wschód od Lwowa Ukraińcy nie bardzo rozumieją o co chodzi. A my tymczasem w kole polityków i dziennikarzy zastanawiamy się, czyją ręką kieruje tymi obłądnymi czynami, bo trudno przypuszczać aby te decyzje były samodzielnie podejmowane przez magistrat Lwowa. Nietrudno się domyślić jakie państwo obecnie jest zainteresowane w poróżnieniu Polaków i Ukraińców. Ale urzędnicy lwowscy albo udają, że tego nie rozumieją, albo są istotnie na usługach obcych interesów i dla niepoznaki zasłaniają się patriotycznym parawanem rzekomego nacisku ze strony nacjonalistycznych grup. Winne są też centralne władze kijowskie, które tolerują zgubną grę chłopaczków pana Kujbidy. Jest to słaba strona pozornie centralistycznego, unitarnego państwa ukraińskiego, które w myśl konstytucji nie uznaje – oprócz legalnej autonomii Krymu – separatyzmów dzielnicowych. W wypadku władz lwowskich mamy do czynienia z elementem wyraźnej niesubordynacji. Prezydent Kuczma nie powinien się dłużej patyczkować z kolesiami we Lwowie i położyć kres ich kreciej robocie.

Warszawa–Łuck–Lwów

Bohdan OSADCZUK

Ci, co odeszli

Odpowiedzialność

Gdyby mi przyszło określić jednym pojęciem sens pisarstwa Władysława Terleckiego (18.05.1933–3.05.1999), odwołałbym się do pojęcia odpowiedzialności. Przede wszystkim jest to odpowiedzialność za słowo, za słowo literackie, za słowo kreowanej opowieści. Ale też ta opowieść pod piórem Terleckiego nigdy nie była błahą gawędą, lecz niemal zawsze podnosiła kwestie kluczowe dla życia społecznego: trwałości i ciągłości tradycji, wyboru postaw w sytuacjach ostatecznych, etycznych podstaw działania czy to politycznego, czy pisarskiego.

Zywiołem tego pisarstwa była przede wszystkim historia, choć nie należy zapominać, iż debiutował Terlecki jako reporter tomem „Kocie łby” (1956), a z pewnością w tym właśnie zawodzie nauczył się – pracując dla *Wrocławskiego Tygodnika Katolików* i *Dziś i Jutro* – rozpoznawania rzeczywistości dnia dzisiejszego i stawiania jej pytań. Pośrednictwo historii okazało się jednak płodniejsze niż natarczywy jazgot współczesności – dopiero z historycznego dystansu kwestie stanowiące materię własnego doświadczenia zarysowywały się ostro, wyraziście. I ma rację Jerzy Niecikowski, gdy pisząc o wyjątkowości Terleckiego zauważa, że „generacja 56 znała odpowiedzi nie postawiwszy własnych pytań. Terlecki był wyjątkiem. Tu mamy same pytania i żadnych odpowiedzi. Ale też w grę wchodzi najistotniejsze problemy z tych, które sobie stawiamy na codzień”. Dotyczy to w równej mierze codzienności w jej wymiarze prywatnym, jak codzienności w wymiarze społecznym: te dwie sfery w życiu bohaterów Terleckiego zaplatają się z sobą i wzajemnie przenikają. I nic dziwnego, skoro bohaterami tymi są na ogół osoby publiczne. Pytania stawiane przez Terleckiego tym odróżniały się od pytań formułowanych przez historyków czy politologów, iż

formułowane były w języku literatury, a przeto już ich forma, ich kształt intelektualny nie pozwalały – zważywszy, iż mamy do czynienia z artystycznym spełnieniem – na ich redukcję i spożytkowanie w doraźnych sporach. Przed taką ich redukcją przestrzegał autor, gdy w maju 1982 roku, w czasie trwania stanu wojennego, opatrywał przedmową wydanie cyklu „Twarze 1983”, na który złożyły się cztery powieści „Spisek” (1966), „Powrót z Carskiego Sioła” (1973), „Dwie głowy ptaka” (1970) oraz „Rośnie las” (1979). Pisał wówczas, przestrzegając przed manipulacjami, jakim książkę mogliby poddać ówczesni „realiści polityczni”, a tym samym raz jeszcze potwierdzając odpowiedzialność za swe pisarskie słowo: „Książka ta bowiem jest zaledwie przypomnieniem historii, która się zdarzyła. Zawiera też prawdę o autorze, który nie chciał uczyć historii, ale usiłował odtworzyć niepokój, jaki ona budzi. Współczesnym ‘pozytywistom’ na koniec warto przypomnieć, że nie ma żadnych odwołań do postaw, które historia ujawniła. Ponieważ odmienna jest rzeczywistość, w której przyszło nam żyć i pracować. A także dlatego, że zasadniczo odmienna stała się perspektywa historyczna. Patrzenie zaś w przeszłość tak, jak widzieli ją poprzednicy dzisiejszych zwolenników pozytywistycznych idei, jest widzeniem umarłego czasu. Jeśli miary tego czasu chcą odnosić do przyszłości, to przypominać będą ślepców, którzy przywołane z historii obrazy biorą za wizerunek jutra”.

Terlecki obrazy te przywołuje nie po to, by stworzyć jakieś godne naśladowania czy zasługujące na odrzucenie wzorce, lecz po to, by je przewartościować, by lekcja historii stała się impulsem dla myślenia o własnych wyborach, by stała się szkołą odpowiedzialności za wypowiedziane słowa i podejmowane działania. Tym wyraźniej uwidacznia się ta właśnie funkcja pisarstwa Terleckiego, im bardziej dobitnie widoczna się staje samotność jego bohaterów. I nie historia w gruncie rzeczy jest dominującym żywiołem tej prozy, lecz właśnie owa samotność ludzi w historię – i politykę – uwikłanych, zdanych w ostateczności, mimo współdziałania z innymi, na samych sobie. Owa samotność najsilniej bodaj wyeksponowana została w ostatniej, wydanej w przeddzień śmierci pisarza powieści, jaką jest „Wyspa Kata”, rzecz o losie osadzonego w twierdzy w Szlisselburgu Waleriana Łukasiewskiego. Ten wewnętrzny dialog, jaki prowadzi ze swą pamięcią, z widmem swej młodości, będący u kresu życia więzień, jest dialogiem o trwałości i żywotności dokonanych wyborów,

odkrywaniem ich dwuznaczności, a w każdym razie braku tak pożądanej niegdyś jednoznaczności. Dystans czasu, który przeminął w życiu bohatera zaplata się w powieści Terleckiego z dystansem historycznym dzielącym kreowaną narrację od czasu rozgrywających się w niej zdarzeń. Właśnie owo mnożenie dystansów – widoczne także w innych utworach Terleckiego – stanowi o specyfice jego pisarstwa, nie pozwala na redukcję jego znaczeń i znaczeń wypowiedzi zmartwychwstających na kartach tych powieści postaci, tyleż historycznych – jak Romuald Traugutt czy Aleksander Waszkowski – co, właśnie poprzez wprowadzenie ich w przestrzeń literatury dnia dzisiejszego, współczesnych.

Talent Terleckiego został uznany już w okresie debiutu, potwierdzony później licznymi głosami krytyki oraz nagrodami, z których jedną z ważniejszych była Nagroda Fundacji Kościelskich (1972). Bez wątplenia też mamy do czynienia z pisarzem, którego znaczenia w literaturze tego stulecia nie sposób przecenić. Stając się zjawiskiem historycznym przez swą specyfikę ową historyczność znosi, wydobywając zaś wieloznaczność zdarzeń dziejowych wpisuje się w przestrzeń znaczących literackich przypowieści wciąż domagających się ponownego odczytania.

Leszek SZARUGA

Jerzy Szwede

Już od 40 lat kalifornijscy Polacy, zwłaszcza znad Zatoki San Francisco, po polską książkę jadą do Szwede Slavic Bookstore na ulicę El Camino w Palo Alto i dla wielu z nas jest to najważniejsze, najbliższe miejsce w tym dalekim kraju. Są tu książki rosyjskie, serbskie, słowackie, ukraińskie i chorwackie, a nawet serbołużyckie, ale my krążymy wśród półek polskich. Na tych półkach znaleźć można jeszcze i dziś wszystko co przez lata zabronione było w zniewolonej Polsce. Dalej wydawnictwa najnowsze wspaniałe i barwne. Encyklopedie, książki dla dzieci,

historia, krajoznawstwo, albumy, literatura piękna. Mnóstwo poezji. Nowe wydania Miłosza.

Na poczesnym miejscu koło kasy, w pierwszym rzędzie pa-ryska *Kultura*, której Jerzy Szwede był w Kalifornii przedstawicielem.

Jerzy Szwede urodził się w 1913 roku w Zagłębiu Donieckim pod Charkowem, gdzie jego ojciec prowadził przedstawicielstwo maszyn i urządzeń sprowadzanych z Nadrenii dla donieckich kopalń. Gdy zaczęło być na Kijowszczyźnie niespokojnie, ojciec wysłał całą rodzinę na Krym (sądząc jak większość tamtejszych Polaków, że tam bolszewicy nie dojdą). Ale jak wiemy doszli i cała rodzina ruszyła przez Morze Czarne, a potem wagonami towarowymi przez Rumunię do Polski.

Jerzy Szwede w Polsce ukończył Szkołę Główną Handlową, nie zdążył obronić pracy magisterskiej, której tytuł brzmiał „Przemysł elektrotechniczny w niepodległej Polsce”, bo wybuchła wojna.

Pan Jerzy brał czynny udział w ruchu podziemnym. Był aresztowany, siedział w Szpandau pod Berlinem, Oświęcimiu, Sachsenhausen i na końcu w Dachau, gdzie został wyzwolony przez armię amerykańską. Otrzymał od Amerykanów licencję na wydawanie wielojęzycznego pisma *TP Express*, które wychodziło od 1945 do 47 roku. Wyjechał później do Stanów Zjednoczonych, gdzie po krótkim pobycie w Nowym Jorku przeniósł się do Los Angeles. Początkowo pracował w elektrotechnice i fabryce rakiet. Gdy fabrykę zamknięto, państwo Szwede wyjechali do Palo Alto z mnóstwem książek, które zawsze ze sobą ciągnęli, i od tych książek zaczęła się księgarnia Szwede Slavic Books, która w tym roku miała obchodzić swoje 40-lecie.

Współczesnymi wydawnictwami słowiańskimi z całego świata zajmuje się żona p. Irena. Pan Jerzy stworzył antykwariat znakomicie zaopatrzony. Księgarnia Szwede Slavic Books nie tylko sprzedawała książki, ale również wysyłała np. ok. 10 tysięcy książek z zakresu historii i literatury do uniwersytetu w Łucku na Ukrainie, gdzie jest wydział polonistyki.

Księgarnia była ośrodkiem towarzyskim, odwiedzanym przez wszystkich ciekawszych ludzi z tego rejonu. Odwiedzał ją prof. Lednicki jak również zaprzyjaźniony z nim Kiereński. Do księgarni zaglądał również Czesław Miłosz.

Jerzy Szwede zmarł nagle na serce 14-go marca br.

Teresa SIEDLAR KOŁYSZKO

Notatki Redaktora

Omówienie i zbilansowanie pielgrzymki Papieża w Polsce odkładamy do następnego numeru, kiedy będą znane wszystkie szczegóły. Do naszych poprzednich uwag chciałbym tylko dodać, że wielka szkoda, że program pielgrzymki nie przewidywał wizyty Papieża w Sejnach, gdzie są niepotrzebne zadrażnienia pomiędzy mniejszością litewską a polskim episkopatem. Tak samo szkoda, że odpadła wizyta w Wilnie, mimo, że Papież będzie odpoczywał w Wigrach pod koniec swojego pobytu, a przecież podróż helikopterem do Wilna, chociażby na kilka godzin, chyba byłaby możliwa do zorganizowania.

Sytuacja w polskim rolnictwie coraz bardziej się zaostrza. Rząd, niestety, nie opracował perspektywicznego programu rozwiązania tego problemu, ograniczając się jedynie do ustępstw wyrywanych przez demonstracje rolników, np. blokady dróg itd. Na odcinku rolnictwa mógłby odegrać dużą rolę Kościół. Zapomniano już o działalności ks. Wacława Bliźnińskiego, proboszcza w Liskowie, który potrafił stworzyć tam wzorową wieś, zakładając instytucje oświatowo-wychowawcze i rozwijając ogromną działalność gospodarczą. Jest to przykład do naśladowania. Może byłoby możliwe zorganizowanie w poszczególnych diecezjach szkoleń proboszczów i uwzględnienie problematyki rolnej w seminariach.

Jak już pisałem, Polskę ogarnęła prawdziwa mania stawiania pomników. Ostatnio jest przewidywane odsłonięcie pomnika gen. Władysława Sikorskiego przed gmachem ambasady RP w Londynie. Ten pomysł był przyjęty z wielką rezerwą przez władze samorządu londyńskiego, gdzie po wielkich debatach zgodzono się by pomnik stanął przed ambasadą

polską. Koszt tego pomnika jest niebagatelny, ok. 140 tysięcy funtów. Trudno się spodziewać by organizowane zbiórki i imprezy pokryły te koszty, bo społeczeństwo jest już tymi uroczystościami zmęczone. Jak zwykle, w takich wypadkach, kosztą poniesie polski podatnik.

Jeden z naszych czytelników w Szwecji przysłał nam swoje uwagi na temat wynagrodzeń w instytucjach państwowych i samorządowych w Polsce, które ze względu na aktualność zamieszczam:

Według ogłoszonych danych szwedzkiej centrali związków zawodowych LO wynagrodzenia parlamentarzystów i samorządowców tego kraju nie przekraczają 3,5 średniej pensji robotnika przemysłowego. Znacznie wyższe są pobory dyrektorów firm, wynoszące średnio 10 pensji robotniczych, a w niektórych ekstremalnych przypadkach wielkich koncernów – nawet 26 takich pensji.

Nie jest znana dokładna wysokość średniej pensji robotnika przemysłowego w Polsce, ale – według danych GUS – przeciętne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw wynosiło w marcu bieżącego roku 1741 zł. Gdyby więc przyjąć szwedzką normę 3,5-krotności uposażenia polskich samorządowców nie powinny przekraczać 6100 zł. Jak wiemy, niczym niezwykłym nie są apanaże w wysokości 12 tysięcy (a 17 tysięcy zł też się zdarzyło). Wynagrodzenia samorządowców regulowane są nie tylko przepisami, ale także poczuciem przyzwoitości – w niektórych polskich wypadkach okazało się ono na tyle elastyczne, iż pozwoliło podnieść tzw. dodatek służbowy do... 600% pensji. Twierdzenie, iż ta skandaliczna praktyka ma zapobiegać ucieczce kompetentnych kadr, jest zwyczajnym kłamstwem. Pobory polskich urzędników rosną w stopniu znikomym (i dlatego kompetentni urzędnicy rzeczywiście starają się uciekać do administracji biznesu); horrendalne apanaże przydzielają sobie natomiast nomenklaturszczyzy. Kompetencje tych panów ograniczają się z zasady do opanowania reguł intryg personalnych. Znamy już wypadki ex-wojewodów partyjnych, którzy zarejestrowali się jako bezrobotni.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Aforyzmy polityczne

Laureat zeszłorocznej Nagrody Fundacji W. i N. Turzańskich, Władysław J. Stankiewicz, jest nie tylko autorem szeregu dzieł z dziedziny teorii politycznej (wśród których czołowe miejsce zajmuje wydany w 1993 roku tom „In Search of a Political Philosophy: Ideologies at the Close of the Twentieth Century”), ale także kilku zbiorów aforyzmów polityczno-filozoficznych. Pełny zbiór tych aforyzmów ukazał się niedawno w Republice Czeskiej, pod podwójnym tytułem „Zaznamy/Jottings” (Brno; Atlantis, 1995). Tom zawiera oryginalne wersje aforyzmów w języku angielskim i ich przekłady na czeski. Gotowe są przekłady na chiński i hiszpański.

Jedynym drukowanym dotychczas utworem aforystycznym Stankiewicza w tłumaczeniu na język polski jest opublikowana w Kulturze światna „litania polityczna” pt. „Czym jest post-totalitaryzm” (1996). Praca nad jej przekładem zachęciła mnie do próby przełożenia większej ilości aforyzmów Stankiewicza na polski.

Rezultatem jest poniższy wybór, dobrze ilustrujący, jak mi się wydaje, zarówno oryginalne przemyślenie przez autora szeregu podstawowych i paradoksalnych zagadnień współczesnej problematyki polityczno-ideologicznej, jak i celność sformułowań. Ich głównym wątkiem jest zjawisko szeroko rozpowszechnionego we współczesnym myśleniu relatywizmu oraz wewnętrzne sprzeczności zarówno ideologii jak i praktyki systemów politycznych określanych wspólnym mianem demokracji.

Bogdan CZAYKOWSKI

POPRAWNOŚĆ POLITYCZNA

Z nastaniem politycznej poprawności Wiek Kretynstwa osiągnął swoje nowe apogeum. Nie tylko dowiadujemy się nagle że popełniamy mnóstwo tak zwanych „błędów” ale zaczyna nas nękać mrowie ukrytych inhibicji. Strzeżmy się nadejścia nowej ery nietolerancji.

Poprawność polityczna to rodzaj konia trojańskiego, którego komunistyczni wrogowie liberalnej demokracji pozostawili po sobie przed swoim odwrotem.

WOLNOŚĆ

Najwyższa wartość demokracji, z wbudowanym mechanizmem samodestrukcji – gdyż relatywistyczno-egalitarna wolność zakłada również prawo do kwestionowania wolności i tym samym do podważania systemu który umożliwia proces krytycznej oceny. Co więcej, w kontekście egalitaryzmu postępy na drodze do rzeczywistej równości – takie jak poszerzanie prawa wyborczego, przymusowe nauczanie, prawodawstwo zwrócone przeciwko dyskryminacji, itp. – traktowane są jako poszerzanie wolności, choć wszystkie one wyraźnie ograniczają swobody takich czy innych grup w społeczeństwie. Oto prawdziwy paradoks wolności.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Spółczesność demokratyczne przyjmuje ogólne pojęcie sprawiedliwości za samą sprawiedliwość; traktuje ono sprawiedliwość „beztreściowo” – jako ogólnikowe hasło bez określonych przepisów, jako wartość z której nie wynikają żadne konkretne wnioski, ramy, które można dowolnie wypełniać. Stąd społeczeństwo dzisiejsze rozdzierają niesamowite konflikty, a abstrakcyjne rozumienie „wolności” czyni ludzi

skłonny do akcentowania swoich „praw” i domagania się spełnienia swoich żądań, niezależnie od ich kosztów społecznych.

WOLNOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

„Odpowiedzialność” nie stanowi już dzisiaj części liberalnego pojęcia demokratycznego wyboru; jej miejsce zajęło „prawo” do spełnienia pragnień. Stąd dzisiejszy liberał nie jest w stanie zrozumieć krytyki ruchów praw obywatelskich opartej na przekonaniu, że cechuje je egoizm i całkowity brak poczucia odpowiedzialności. W jego mniemaniu wolność to właśnie możliwość spełnienia pragnień.

PRAWA JEDNOSTKI

Nowe znaczenie praw jednostki: egzekwowanie egoizmu kosztem społeczeństwa i państwa.

RZĄDY WIĘKSZOŚCI

Jeden z mitów demokratycznego folkloru. W rzeczywistości większość ludzi ani nie stara się kontrolować rządu czy wpływać na niego dla swego dobra, ani też nie posiada stopnia racjonalności czy rozumienia norm które są do tego potrzebne. Nie chodzi o to, że niektórzy posiadają głębszą wiedzę, wyższą inteligencję, czy surowsze zasady etyczne, ale że ogółowi ludzi brak cech umożliwiających spełnianie funkcji wymaganych przez pojęcie „rządów większości”.

PRZYMUS

Wielu liberalnych relatywistów zdaje się przyjmować, że wolne społeczeństwo to takie społeczeństwo w którym wszyscy mogą się nawzajem przymuszać, i że wobec tego wszystkim wolno się przed przymusem bronić.

REFORMA

Państwo komunistyczne przypomina konstrukcję z lanego żelaza: nadkrusz jakąś jej część a całość się rozpadnie.

WYBÓR

„Paradoks wyboru” polega na tym, że demokracja, chlubiąc się swobodą wyboru jaką daje swoim obywatelom, czyni to z pełną nieświadomością faktu, że zakres wyboru nie pozostanie nieograniczony. Jak w słynnym „paradoksie wolności” Rousseau, system demokratyczny będzie musiał w przyszłości zmuszać swoich obywateli aby wybierali to, co służy dobru społeczeństwa. Ograniczenie „swobody wyboru” przestanie więc być wyłączną prerogatywą państw totalitarnych.

RÓWNOŚĆ SZANSY

Obiegowy potworek tautologiczny: pleonazm językowy mający zastąpić prostą, staromodną „Równość”. Pojęcie z rodzaju mętnych, służące celowi który nie jest osiągalny. Jak bowiem, biorąc rzecz praktycznie, ustalić drogę do jej osiągnięcia, i jak stwierdzić, że została osiągnięta? Wystarczy mieć świadomość jak bardzo ludzie są różni, by kryterium „równości szansy” stało się nieuchwytnie.

RÓWNOWAGA DEMOKRATYCZNA

System demokratyczny utrzymuje liberalne i konserwatywne tradycje w dynamicznej równowadze: nie pozwala liberałowi być rewolucjonistą a konserwatyście – radykałem.

ADMINISTRACJA DEMOKRATYCZNA

Rodzaj anarchii w której każdy jołop ma prawo głosu.

RELATYWIZM

Relatywizm odrzuca racjonalność norm i ich przewidywalność. Jeśli więc „zabijanie” ludzi uważane jest za zło, „niezabijanie” (jak i wyjątki od reguły że zabijanie jest złem) nie wchodzi w zakres jego myślenia.

Relatywizm piętnuje każde głębokie przekonanie mianem „uprzedzenia”, traktując na równi opinię ignorantą i wiedzę eksperta.

Sondaże opinii publicznej, czyli stawianie opinii ponad wiedzą; „obrazu” nad „wizją”; zobojętnienie na prawdę, poddawanie się władzy liczb – to całkowite zwycięstwo relatywizmu.

Relatywizm jest rzeczywiście groźny. Odrzucając hierarchię wartości upiera się by traktować każdą ideę osobno, ignorując ich wzajemne powiązania. Rezultatem jest linearna proza, której płaskość stanowi jedno z poważniejszych zagrożeń intelektualnego życia.

Angielszczyzna amerykańska świetnie nadaje się do linearnej prozy: jej kadencje *staccato*, jej skłonność do punktowania, jej predylekcja do krótkich zdań luźno powiązanych ze sobą – wszystko to uwypukla (rzekomą)

konkretność i precyzyjność do których dąży nauka behawioralno-relatywistyczna.

Dzisiejsze pojęcie praw człowieka (w odróżnieniu od frakcyjnych praw grup „prawicowych”) jest próbą powrotu, nawet w świecie opanowanym przez relatywizm, do wartości absolutnych.

Egalitaryzm: służalczość wobec niższości, pogarda dla wyższości. Egalitaryzm jest nieodrodnym dzieckiem relatywizmu.

Podsycany przez relatywizm kult wyrażenia siebie za wszelką cenę pozbawił sztukę jej tradycyjnego dążenia do piękna.

Władysław J. STANKIEWICZ

(z angielskiego przełożył Bogdan Czaykowski)

Nagrody

Tegoroczną „Nagrodę Bibliotekarza Polskiego im. Adama Mickiewicza”, ufundowaną przez East European Project, której przewodniczy p. Hanna Green, otrzymał dyrektor Biblioteki Polskiej w Londynie Zdzisław Jagodziński. Ponieważ p. Jagodziński nie mógł przybyć na uroczystość, jego wypowiedź odczytała p. Eugenia Maresch, przewodnicząca Komisji Bibliotecznej POSK-u. Nagroda wynosi 1000 dolarów.

Fundacja Kultury Polskiej w Warszawie przyznała swoją nagrodę „Złote Berło” Jerzemu Giedroycowi za całokształt jego działalności.

NAGRODA PISARSKA IM. MURDZEŃSKIEGO

Pan Tadeusz Murdzeński stworzył fundusz wieczysty swego imienia i powierzył Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu w Londynie administrowanie nim i nagradzanie osób o wybitnych osiągnięciach z dziedziny literatury, nauki i sztuki. Wyłonione jury w osobach: Jan Chodakowski, Zdzisław Jagodziński, Andrzej Paluchowski, Mieczysław Paszkiewicz, pod przewodnictwem Eugenii Maresch rozpatrywał: 118 tytułów książek, 79 wydawnictw krajowych, 20 emigracyjnych i 19 autorów emigracyjnych drukujących w Polsce. Nagrody przyznano:

Za twórczość w języku polskim:

Ks. prof. Roman Dzwonkowski (Polska) za „Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR 1917-1939. Martyrologium”, Lublin, Towarzystwo Naukowe KUL, 1998 oraz „Kościoł katolicki w ZSSR 1917-1939”, Lublin, Towarzystwo Naukowe KUL, 1997.

Prof. Jerzy Starnawski (Polska) za „Sylwetki wileńskich historyków literatury”, Bydgoszcz, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, 1997 oraz „Sylwetki lwowskich historyków literatury”, Łódź, Uniwersytet Łódzki, 1997.

Za twórczość w języku obcym o tematyce polskiej:

Prof. Tadeusz Piotrowski (USA) za „Poland's Holocaust”, Jefferson, North Carolina and London, McFarland & Co, 1998.

Za tłumaczenie z języka polskiego na obcy:

Noel Clark za angielską wersję „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego – „The Wedding”, London, Oberon Books, 1998.

Za twórczość odnośnie piśmiennictwa Josepha Conrada:

Frederic Karl i Laurence Davies za „The collected letters of Joseph Conrad 1912-1916”, Cambridge, Cambridge University Press, 1998, tom V.

Wysokość nagrody wynosi 1000 funtów

Następne nagrody będą rozpatrywane za dwa lata.

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 27-go maja w Sali Malinowej POSK.

KONKURS NA POWIEŚĆ LUB ZBIÓR OPOWIADAŃ. DRUGA EDYCJA

Przedstawiamy warunki drugiej edycji konkursu:

I nagroda 15.000 złotych, II i III nagroda: po 7.000 złotych. Skład jury: Jan Błński (przewodniczący), Paweł Huelle, Jerzy Illg, Jerzy Jastrzębski, Olga Tokarczuk. Opatrzzone godłem maszynopisy (3 egz.) nie drukowanych dotychczas utworów o objętości powyżej 150 stron prosimy wysyłać do dnia 30 listopada 1999 r. na adres: Wydawnictwo Znak, „Konkurs”, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. W kopertach oznaczonych godłem prosimy umieścić dane autora. Materiały nie będą odsyłane pocztą. Oprócz nagród autorzy wydanych książek otrzymają honoraria. Wyniki zostaną ogłoszone w 2000 r. Jury zastrzega sobie prawo innego rozdziału nagród, a Znak pierwszeństwo w wydaniu nadesłanych książek.

Jedyny fundator Nagród: Bank Przemysłowo-Handlowy BPH
Patronat radiowy: Program III Polskiego Radia

Uwaga!

Prace z pierwszej edycji naszego konkursu: „Madame” Antoniego Libery (I nagroda) i „Słowa Obcego” Bronisława Świderkiego (II nagroda) zostały wybrane do finałowej dwudziestki książek nominowanych do Nagrody Literackiej NIKE '99!

V WARSZTATY ARTYSTYCZNE IM. JÓZEFA CZAPSKIEGO

Z inicjatywy Polskiego Funduszu Humanitarnego i pod jego patronatem we wrześniu 1999 r. odbędą się w Lailly-en-Val (Francja) Piąte Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego. Warsztaty te pomyślane są jako pomoc dla artystów środowiska krakowskiego. Zajęcia plenerowe odbywać się będą w miejscu, w którym Józef Czapski wielokrotnie przebywał i malował.

Organizowane Warsztaty służyć mają:

- utrwalaniu pamięci Artysty,
- pogłębianiu znajomości Jego twórczości i działalności,
- poznawaniu kultury francuskiej, z którą tak bardzo był związany,

- spotkaniom z artystami polskimi żyjącymi we Francji,
 - pogłębianiu więzi polsko-francuskich poprzez sztukę.
- Zwracamy się do przyjaciół i miłośników twórczości Józefa Czapskiego z prośbą o pomoc finansową w realizacji tego przedsięwzięcia i uczczenia w ten sposób pamięci artysty.

Dary prosimy przysyłać na adres:
Fonds Humanitaire Polonais
24, rue de la Mairie
45740 Lailly-en-Val (Francja)

KOMUNIKAT KOMISJI STYPENDIALNEJ FUNDACJI IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 2000 r. upływa z dniem **15 grudnia 1999 r.**

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w **historii literatury polskiej** i w **krytyce literackiej**. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a zwłaszcza ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Przed przyjazdem do Francji, stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Komisja Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama
Soci t  Historique et Litt raire Polonaise
6, quai d'Orl ans
75004 PARIS

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

4.5.99

W Warszawie miała miejsce konferencja „Perspektywy Słowacji. Przemiany demokratyczne i otwarcie na świat” zorganizowana przez Fundację im. Stefana Batorego. W konferencji wzięło udział kilkunastu wybitnych słowackich polityków i specjalistów z zakresu stosunków międzynarodowych.

5.5.99

Były szef sztabu generalnego, gen. T. Wilecki, został członkiem Rady Nadzorczej zakładów zbrojeniowych „Lucznik” w Radomiu.

9.5.99

W Korostyszewie na Ukrainie odbyła się międzynarodowa konferencja pt. „Korostyszew w kulturze i historii Ukrainy”. Zakres konferencji obejmował tematy: Historia Korostyszewa, Korostyszew w historii Ukrainy; Historia Kresów i Rzeczypospolitej; Wołnia i Kijowszczyzny; Gustawa Olizar: życie, twórczość, działalność na rzecz społeczeństwa; Literatura Kresów, kresy literatury. Polonika literackie Ukrainy prawobrzeżnej; Wybitne osobistości Wołnia i Kijowszczyzny; Literatura, Kultura, nauka i oświata w Ukrainie prawobrzeżnej.

24.5.99

W Muzeum Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa Zygmunta Waliszewskiego (1887-1936) „Malarstwo i rysunek”.

26.5.99

Prezydent Kwaśniewski odznaczył Aleksandra Bocheńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. Aleksander Bocheński jest znanym publicystą gospodarczym. W okresie międzywojennym współpracował z *Buntem Młodych* i *Polityką*, pismami redagowanymi przez Jerzego Giedroycia.

28.5.99

Zmarł w Krakowie, po ciężkiej chorobie, w wieku 69 lat Jan Lebenstein, wybitny malarz i grafik. W najbliższym numerze *Kultury* omówimy obszernie jego twórczość.

ZACHÓD

20.4.99

W ambasadzie RP w Londynie odbył się wieczór poświęcony Jerzemu Pietrkiewiczowi pt. „Między dwoma lustrami języka”.

W programie czytane były utwory w języku polskim i angielskim. Ponadto wyświetlono fragmenty filmu poety „Powrót do Ziemi Dobrzyńskiej”.

24.4.99

Nowym przewodniczącym Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie został Artur Rynkiewicz. Był on m.in. wieloletnim prezesem Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii.

1.5.99

Zmarła w Waszyngtonie Jadwiga z Wolskich Nowak-Jeziorańska, żołnierz AK; łączniczka „Greta”.

10.5.99

W Bibliotece Polskiej w Paryżu miała miejsce promocja książki Zygmunta Lubicz Zaleskiego pt. „Journal et memoires”.

11.5.99

W Bibliotece Polskiej w Paryżu nastąpiła inauguracja Sali Archiwum Rękopisów BP. Przy tej okazji prof. Maciej W. Grabski, prezes Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej w Warszawie, przedstawił dorobek i program Fundacji na przyszłość.

17.5.99

Na Uniwersytecie Sztokholmskim miała miejsce sesja naukowa na temat „Kultura a literatura” z udziałem Andrzeja Stanisława Kowalczyka z Uniwersytetu Warszawskiego.

27.05.99

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się spotkanie poświęcone Jerzemu Turowiczowi z udziałem: prof. Jeana Baisnée, o. Adama Bonieckiego, Tadeusza Mazowieckiego, Jeana Offredo. Następnie, 28 czerwca, odbyło się kolokwium dla uczczenia pamięci Jerzego Turowicza na temat: „Les intellectuels catholiques et la formation de la démocratie en Pologne” z udziałem: kardynała Jean-Marie Lustigera, ambasadora Stefana Mellera, Bernarda Lecomte'a, Romana Graczyka, bp. Tadeusza Pieronka, Jean-Bernarda Raimonda, Aleksandra Smolara, Jeana Offredo, o. Adama Bonieckiego, Jacka Cichockiego, Andrzeja J. Morstina, Paula Tehibauda, Henryka Woźniakowskiego, Aimé Savarda, Jana Błońskiego, Jean-Françoisa Bouthorsa, o. Stanisława Musiała, Emmanuela Weintrauba, Stefana Wilkanowicza, Bernarda Guetta, Daniela Linderberga, Tadeusza Mazowieckiego, René Rémonda i Kazimierza Wóycickiego.

29.5.99

Fundacja „Helveto-Polonicum” we Fryburgu zorganizowała wystawę „Internowani Polacy w Szwajcarii w czasie drugiej wojny światowej”.

1.6.99. W programie czytane były utwory w języku polskim i uniwersytet Paris-Sorbonne nadał tytuł doktora *honoris causa* prof. Jerzemu Kłoczowskiemu, dyrektorowi Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie. ■ Prof. Andrzej Wyczański otrzymał tytuł profesora *honoris causa* Uniwersytetu w Białymstoku. Prof. Wyczański specjalizuje się w historii społeczno-gospodarczej oraz w dziejach kultury polskiej XVI i XIX wieku. W latach 1990-92 pełnił funkcję sekretarza naukowego wydziału PAN, a w latach 1993-96 wiceprezesa PAN-u.

8.6.99
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt prof. Jana Orłowskiego z Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie na temat „Fryderyk Chopin w poezji rosyjskiej”. ■ Pod patronatem Ambadora RP we Francji, p. Stefana Mellera, oraz Jacka Langa, przewodniczącego Komisji Zagranicznej parlamentu francuskiego i p. Xavier de Villepin została zorganizowana jednodniowa debata na temat „Polska i koniec komunizmu”. W debacie wzięli udział: Adam Michnik, dyrektor *Gazety Wyborczej*, Jerzy Wiatr, b. minister i profesor nauk politycznych, Aleksander Hall, poseł, ks. Henryk Hoser, superior pallotynów w Paryżu. Ze strony francuskiej zaś: Bernard Lecomte, publicysta, Georges Mink z CNRS, Alain Beçanson, publicysta, Jean-François Deniau z Akademii Francuskiej.

10.6.99
W Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Rzymie odbyła się konferencja dr Giovanni Buccoli na temat „NATO rozszerza się na Wschód”. Poprzednio, 26-go maja, prof. Calogero Bellinca mówił na temat „Odnova i rekonstrukcja Polski i Europy Środkowo-Wschodniej w ostatnim dziesięcioleciu”. 2-go czerwca prof. Dariusz Rosati, b. minister spraw zagranicznych, mówił na temat przebudowy Polski w ostatnich dziesięciu latach: osiągnięcia, problemy i zmiany.

14.6.99
W Instytucie Polskim w Paryżu odbyła się promocja książki Andrzeja Stanisława Kowalczyka pt. „Giedroyc i *Kultura*”. Rozmowę z autorem prowadził Krzysztof Pomian, fragmenty książki czytał Wojciech Pszonniak.

15.6.99
W Instytucie Polskim w Paryżu miało miejsce spotkanie z Józefem Henem, autorem książki „Błazen – wielki mąż. Opowieść o Tadeuszu Boyu-Zeleńskim”.

List do Redakcji

Rzym, 21 maja 1999 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o zamieszczenie poniższego wyjaśnienia:
W moim tekście w nr 5 dotyczącym stosunków z prawosławiem, oprócz kilku drobnych błędów drukarskich, jest pewne zdanie mało zrozumiałe na str. 105, które powinno brzmieć: Inicjatywa watykańska miała pierwotnie na celu utworzenie w Kosowie sił „diinterpozycyjnych” (w jęz. włoskim) tzn. sił rozjemczych z udziałem Rosji... Natomiast termin zapowiedzianej wizyty papieskiej w Armenii, nie okazał się przedwczesny, jak zakładałem (str. 103). W rzeczy samej bowiem odbędzie się w dniach od 2 do 4 lipca br.

Łączę pozdrowienia

Dominik MORAWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Michał K., *Polska*: – Wiersze słabe, nie dopracowane, a szkoda, gdyż w utworze bez tytułu („Gdy mnie tak bardzo boli głowa...”) pochwylił Pan godną uwagi i poetyckiego wysiłku sytuację.

Wielaw Janusz M., *Polska*: – Pana systematyczność w nadsyłaniu wierszy godna jest podziwu. Pańskie metafory jednak zdumiewają: nie sposób odgadnąć znaczenia zbitki „rękawice swawoli”, a w dodatku grube...

Waldemar B., *Polska*: – Że piach zgrzyta w zębach, to nie dziwi, ale że sam zębami zgrzyta, w dodatku w dość realistycznej narracji („W łodzi”), to Niemile zaskakuje. I jeszcze cytaty: „Czas mojej młodości z okna pokiwał nam na pożegnanie”. Czym?

KRONIKA KULTURALNA

Władysław J. Stankiewicz: <i>Aforyzmy polityczne (tłum. Bogdan Czaykowski)</i>	147
— <i>Nagrody</i>	152
— <i>Konkurs na powieść lub zbiór opowiadań</i>	154
— <i>V Warsztaty Artystyczne im. Józefa Czapskiego</i>	154
— <i>Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama</i>	155
● <i>Wydarzenia miesiąca</i>	156
● <i>Wydarzenia miesiąca</i>	156
D. Morawski: <i>List do Redakcji</i>	159
— <i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1999.Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi

par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1999

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; <i>Baltazar Krasuski</i> , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: <i>Kubon & Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; <i>POLONIA Bookstore</i> , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 507 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY ÓSMY

zawiera opracowania: J. Stadnicki: *Mój pamięciowy obraz Oświęcimia*; P. Waingertner: *Dekompozycja środowiska „Naprawy” (1935-1937)*; M. Sworzeń: *Sędziowie w podbitym kraju*; J. Nowak-Jeziorański: *Zrabowane zasługi*; J. Jedd: *Wyjątki z przemówienia*; H. Świdorska: *Z dziejów polskiej prasy w Anglii*; J. Dunin-Horkawicz: *Jak szanować Litwę?* G. Motyka: *Ostro tak, ale czy zawsze prawdziwie?* Z. Sroczyński: *Konspiracja krakowska 1939-1945*; S. Tamowicz: *Pluton łączności kanałami*; P. Wandycz: *Pożegnanie Aleksandra Gieysztor*; Z. Wysłouch: *Pożegnanie Ojca*; G. Gömöri: *Świadectwo bujnego życia*; T. Wyrwa: *Stosunki polsko-fińskie w latach 1939-1941; Jak Niemcy oceniali w 1920 r. polskich dowódców? Apel Kościuszkowski*; H. Anders-Nowakowska: *Dwa listy do Brata*; M. Rudzki: *Architekci Juliusz Nagórski i Jan Łukasik w latach okupacji niemieckiej*; M.K. Dziewanowski: *Wybitni ludzie o jakich otarłem się*; J. Jankiewicz: *Kijowskie impresje*; Nadesłane nowości wydawnicze i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 224

Cena F. 90,00